Gordon D. Shirreffs

Zasadzka na zboczu góry

(Ambush on the Mesa)

Pierwsze wydanie: 1957

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Rozdział 1

Sygnał „Do kwater” rozległ się na szerokim placu apelowym Fortu Craig i ucichł gdzieś nad Rio Grande. Noc w Nowym Meksyku była miękka jak aksamit. Hugh Kinzie przeprowadził swojego zmęczonego bułanego konia przez plac apelowy, w kierunku budynku sztabowego. Suchy wiatr omiatał płaski wierzchołek niskiej góry stołowej i trzepotał płótnami długich rzędów namiotów Sibleya. Z okien budynków posterunku na jałową ziemię padało żółte światło lamp. Hugh uwiązał bułanego, otrzepał ubranie z kurzu i wszedł do budynku sztabu.

Kiedy Hugh wszedł do środka, ordynans uniósł wzrok znad biurka.

— Kinzie — powiedział — Stary oczekiwał twojego przybycia.

— Jestem więc — powiedział krótko Hugh.

Ordynans pośpieszył do wewnętrznego biura, po czym wrócił.

— Major Roberts cię przyjmie, Kinzie. Jak było na południu?

— Ciężko.

Hugh wszedł do biura Robertsa. Major Roberts wstał i wyciągnął rękę. Spojrzał na Hugh spod krzaczastych brwi.

— Jakie są wieści z Południa? — spytał ze swoją szeleszczącą wymową z Vermont.

Hugh uścisnął dłoń majora i usiadł.

— Konfederaci są w Fort Thorn. Tylko patrol. Baylor jest ze swoim Drugim Pułkiem Teksańskich Strzelców Konnych w Mesilla. Generał Sibley jest w drodze z San Antonio, aby dołączyć do Baylora. Mówi się, że ma pułki strzelców konnych Rileya, Greena i Steele'a; baterie polowe Steele'a i Rileya. Baylor ma kilka haubic górskich.

Roberts zabębnił palcami po blacie biurka.

— W takim razie cała ta gadanina o Teksańczykach urządzających wielkie polowanie na bizony, to nonsens.

Hugh uśmiechnął się.

— Będą polować na Jankesów, panie majorze.

Roberts szybko uniósł wzrok.

— Będziemy gotowi na ich przywitanie. Wykonałeś świetną robotę, Hugh. Zamierzasz zostać jako cywilny zwiadowca?

— Nie.

— Potrzebujemy każdego lojalnego człowieka do obrony Nowego Meksyku. Dlaczego nie zaciągniesz się ponownie? Mogę załatwić ci stopień starszego sierżanta w Strzelcach Konnych.

— Wie pan, co o tym myślę, panie majorze.

Roberts skinął głową.

— Tak. Zarekomendowałem cię na stopień oficerski. Wczoraj kurier przywiózł odpowiedź z Santa Fe.

— I?

Roberts odwrócił wzrok.

— Pojawiły się pewne wątpliwości co do twojej lojalności.

Hugh uderzył się pięścią w udo.

— Dlaczego? Czy dlatego, że urodziłem się w Wirginii? Na miłość boską, panie majorze! Wyjechałem stamtąd z ojcem i matką na zachód, do Missouri, kiedy miałem siedem lat. Walczyłem za ojczyznę w wojnie meksykańskiej, mając zaledwie szesnaście lat. Służyłem z honorem w Strzelcach Konnych aż do zeszłego roku. Jestem zwiadowcą wojsk federalnych od początku tej wojny. Czego oni jeszcze chcą?

Roberts uniósł głowę.

— Nie rekomendowałbym cię do służby, gdybym nie wierzył, że jesteś lojalny.

— Jak więc pułkownik Canby mógł mnie odrzucić?

Roberts podsunął Hugh pudełko cygar.

— Spokojnie. Tak się składa, że wielu byłych regularnych żołnierzy wstąpiło do armii Konfederacji.

Hugh wziął cygaro i ze złością odgryzł jego końcówkę. Zapalił i z wdzięcznością wciągnął dym do płuc.

— Ich oficerowie… prawie wszyscy. Claiborne, Crittenden, Loring, Lee i Johnston.

Roberts również zapalił cygaro i spojrzał na Hugh przez dym.

— Miałeś ostatnio kontakt ze swoim starszym bratem, Ronaldem?

Hugh szybko uniósł wzrok.

— Nie. Ostatni raz, kiedy coś o nim słyszałem, był kapitanem piechoty w Fort Buchanan. Dlaczego pan pyta?

Roberts nachylił się do przodu.

— Oficer dowodzący Fortem Buchanan zniszczył duże ilości zapasów, kiedy forty w Arizonie były opuszczane. Garnizon wymaszerował do Nowego Meksyku.

— Więc Ron jest tutaj? — spytał niecierpliwie Hugh.

— Twój brat zrezygnował ze służby w armii Stanów Zjednoczonych i udał się do Meksyku. Mówi się, że udał się do Teksasu i wstąpił do wojsk Konfederacji.

Hugh wpatrywał się w Robertsa.

— Zawsze wierzył w prawa stanowe. Ale on w głębi duszy był Wirginijczykiem. Ja uważam się za mieszkańca Missouri.

Roberts machnął ręką.

— Wiem. Ale Ronald Kinzie był w Buchanan urzędnikiem ds. wypłat. W tym samym czasie, kiedy wyjechał do Meksyku zniknęło dwadzieścia tysięcy dolarów w zbywalnych wekslach rządowych. Rozumiesz?

— To cholerne kłamstwo! Ron mógł wstąpić do armii Konfederacji - to byłoby w jego stylu - ale nigdy nie okradłby rządu!

Roberts wzruszył ramionami.

— Czasy i ludzie się zmieniają.

— Wierzy pan w tę historię?

— Nie. Twój brat przesłał list z Meksyku, w którym twierdził, że przekazał pieniądze pewnemu porucznikowi o nazwisku Winston, który wyjeżdżał do Fort Ayres. Od tego czasu, po Winstonie ślad zaginął.

— A więc, to on je ma!

— Być może. Czy byłeś kiedyś w Fort McLane?

— W pobliżu Santa Rita del Cobre? Tak. Major Linde miał tam batalion z drugiego pułku piechoty, aż do czerwca zeszłego roku.

— W międzyczasie Fort McLane został opuszczony. Ale to Linde miał otrzymać te pobory od Winstona, który miał przybyć do Fort McLane z kilkoma ludźmi z Fort Ayres. Jednak Winston nigdy się tam nie pojawił.

— To raczej słaby dowód przeciwko Ronowi.

— Jest sposób na to, aby oczyścić Rona z zarzutów i udowodnić swoją lojalność, ale waham się, czy cię o to prosić.

— Proszę strzelać!

— Canby chce odzyskać te weksle. To pierwsza część problemu. Druga część jest następująca: Fort Ayres dowodził kapitan Maurice Nettleton. Miał opuścić placówkę kilka tygodni temu, udając się ze swoim oddziałem do Fort McLane. Nettleton i jego oddział zniknęli. Canby chce ich odszukać. Nie mogę wysłać żadnych sił do wykonania tego zadania. Potrzebuję każdego człowieka do obrony doliny Rio Grande, gdyby Baylor i Sibley nas zaatakowali.

— Dlaczego Nettleton jest taki ważny?

Roberts nachylił się do przodu.

— Nie tyle sam Nettleton nas tak bardzo interesuje, co jego żona. Marion Nettleton przed ślubem nazywała się Marion Bennett. Jest jedynym dzieckiem Sheltona Bennetta z Missouri.

Hugh zagwizdał cicho.

— Sam szef Bennett.

— Ten sam. Bennett rozpętał piekło. Do Canby'ego zostały wysłane rozkazy, aby ją odnaleźć. Nie muszę ci przypominać, że Shelton Bennett jest ważnym czynnikiem w krajobrazie politycznym Missouri. Prezydentowi Lincolnowi zależy na tym, aby Missouri pozostało w Unii. Jeśli coś się stanie Marion Nettleton, Bennett, z tym swoim wąskim myśleniem, może po prostu przerzucić swoje wpływy na stronę Konfederacji.

Hugh uśmiechnął się kwaśno.

— I chce pan, abym pojechał do kraju Apaczów, żeby odnaleźć dwadzieścia tysięcy dolarów i córkę polityka, by udowodnić swoją lojalność?

— Nie ja, Hugh. Pomyślałem tylko, że to może być szansa dla ciebie. Canby nieziemsko się na mnie piekli za to, że jej nie odnalazłem.

— Jeden człowiek zamiast całego pułku? Za kogo pan mnie ma?

— Nie znam żadnego innego człowieka w tym regionie, który mógłby to zrobić.

Hugh ponownie zapalił cygaro.

— Za pośmiertną nominację na oficera? To wysoka cena, zwłaszcza kiedy każdy dwulicowy polityk w Nowym Meksyku, nie wspominając już o całych przeklętych Stanach Zjednoczonych, podbija serca swoich wyborców, aby ci wybrali go na swojego dowódcę.

— Robi się z ciebie zgorzkniały człowiek, Hugh Kinzie.

Hugh popatrzył na oficera.

— Pan by to zrobił?

— Już dłużej jestem zawodowym żołnierzem, niż chciałbym się do tego przyznać. Poza tym jestem mieszkańcem Vermont. To wiele zmienia.

Hugh uderzył dłonią w udo.

— Jeśli człowiek jest lojalny wobec swojego kraju, to czy ma znaczenie, skąd pochodzi? Winfield Scott urodził się w Wirginii.

— Tak samo jak Robert E. Lee — stwierdził sucho Roberts.

Hugh wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem.

— W głębi serca wiem, że Ron nie zabrał ze sobą tych weksli. I nie tyle szansa na patent oficerski kieruje teraz moimi krokami. Chodzi o oczyszczenie go z zarzutów.

— Więc pojedziesz?

— Tak, jeszcze dziś wieczorem. Wezmę tylko świeżego konia. Przed świtem będę już u podnóża Black Range.

Roberts wstał.

— Wiedziałem, że pojedziesz. Będę potrzebował dobrych oficerów, zanim ta wojna się skończy. Jeśli ci się powiedzie, dopilnuję, byś został przydzielony do mojego szwadronu.

Hugh spojrzał w dół, na wyblakłe zielone paski wzdłuż szwów swoich spodni.

— Bardzo bym tego chciał — powiedział spokojnie.

— Byłeś jednym z najlepszych sierżantów w strzelcach konnych. Bierz wszystko, czego potrzebujesz na tę podróż.

— Czy wziąć trochę odwagi?

— Masz jej pełen zapas, Hugh.

Hugh uścisnął dłoń Robertsa, po czym opuścił budynek. Przez chwilę stał na placu apelowym, wsłuchując się w suchy szept pustynnego wiatru. Popatrzył na zachód, gdzie królował Dasoda-hae, Ten, Który Właśnie Tam Siedzi, olbrzymi wódz Apaczów Mimbreno. Miał już prawie siedemdziesiąt lat, ale wciąż był fizycznym i duchowym przywódcą swoich twardych wojowników. Biali znali go pod innym imieniem... Mangus Colorado... Czerwone Rękawy.

Rozdział 2

Hugh Kinzie leżał w szeleszczących zaroślach mesquite, spoglądając w dół na przyćmiony czworokąt Fort McLane. Ktoś urządził tam prawdziwe piekło. Dachy były zawalone, a corrale zburzone. Z tętniącego życiem posterunku granicznego, McLane zmieniło się w kolejną upiorną ruinę.

Hugh oparł się na łokciach i obserwował teren. Dotarł na wzgórza tuż przed świtem poprzedniego dnia i przez cały dzień obozował w ukryciu. O zmierzchu ruszył dalej, podążając starą, wyboistą hiszpańską drogą, która wiła się przez niskie wzgórza. Podczas podróży ogarnęło go dziwne uczucie. Przed wojną posterunki istniały przez całą drogę, aż do rzeki Colorado. Teraz wszystkie zostały opuszczone, a Apacze ponownie sprawowali pełną władzę nad swoim wielkim krajem. Pomiędzy Fort Craig nad Rio Grande a Fort Yuma nad Colorado, nic nie wskazywało na to, że te rozległe ziemie wciąż należały do Stanów Zjednoczonych. Z tego co wiedział, był jedynym lojalnym człowiekiem na zachód od Fort Craig i na wschód od Fort Yuma.

Hugh na wpół odbezpieczył, a następnie położył na wierzchu swojego Sharpa. Wyciągnął z kabury Colta Navy i sprawdził go. Tylko siedem strzałów dzieliło go od piekła. Ale był już u celu. Równie dobrze mógł kontynuować swoją wątpliwą misję.

Minął cmentarz posterunku z kopczykami grobów i pochylonymi płytami nagrobnymi. Zatrzymał się obok rozwalającego się domu z adobe i wyjrzał na zaśmiecony czworokąt placu apelowego. Ruszył dalej naprzód. Jego buty zgrzytały na potłuczonym szkle i chrzęściły po rdzewiejących puszkach. Materace były porozrywane, a ich zawartość leżała wszędzie porozrzucana. Roztrzaskane drewno skrzyń i pudeł mieszało się z innymi odpadkami. Stos namiotów Sibleya i dobrych koców został pocięty, a następnie podpalony.

Hugh podszedł delikatnie do starej siedziby sztabu posterunku. Dach się zawalił. Przyjrzał się kopcom gruzu z belek dachowych i wyschniętej gliny, które wypełniały wnętrze budynku. Wiele dni zajęłoby mu przekopanie się przez ten bałagan w poszukiwaniu zaginionych weksli. Kiedy kończył swoją inspekcję, w ruinach jęczał wiatr. Od początku wiedział, że nigdy nie uda mu się ich odszukać. Pozostawało mu więc odnaleźć Marion Nettleton, w kraju, w którym Apacze grasowali jak pustynne tygrysy, szukając białych mężczyzn… i kobiet.

Fort Ayres, o ile sobie przypominał, był posterunkiem dla jednej kompanii wojska, na rozwidleniu rzeki Gila, około osiemdziesiąt mil na zachód stąd. Osiemdziesiąt mil niebezpieczeństwa. Na południe od fortu McLane nie było niczego poza starym szlakiem Butterfielda, obecnie opuszczonym. Dalej rozciągał się niemal bezwodny kraj, aż do granicy z

Chihuahua. Na północ od opuszczonego fortu znajdowały się najtrudniejsze tereny, jaki kiedykolwiek widział. Posępne Black Range, pozbawione dróg i z kilkoma jedynie znanymi szlakami. Słyszał, że znajdowały się tam ruiny zbudowane setki lat temu przez Hohokamów: Dawny Lud. Żyli tam i rozkwitali, uprawiając kukurydzę i budując domy na skalnych klifach, aby zniknąć na wiele lat przed inwazją białych na Południowy Zachód.

Hugh skrył się z powrotem w zarośla. Opuszczony fort przygnębiał go. Musiał odnaleźć Marion Nettleton i zachować w całości swą skórę. Żadne z tych zadań nie będzie łatwe, a wiedział, które z nich jest dla niego najważniejsze.

Jego koń miękko zarżał, kiedy do niego podszedł. Poprowadził jeleniowatego na północ. Brakowało mu szybkości dużego bułanego, ale jeleniowaty miał w sobie wytrzymałość, której brakowało bułanemu.

Kilka mil na północ od opuszczonego fortu, w Pinos Altos, znajdował się wodopój. Podążał wyboistym szlakiem przez mrok, aż jeleniowaty parsknął. Wyczuł wodę. Hugh uwiązał konia na paliku i poszedł dalej pieszo. Zatrzymał się sto metrów od wodopoju, badając noc wszystkimi swymi zmysłami. Wydawało się, że nie ma tu niczego poza nocnym wiatrem szeleszczącym w zaroślach, ale wciąż czekał. Był to szósty zmysł, który rozwinął przez lata spędzone na pograniczu. Okrążył wodopój i położył się płasko na pagórku, z którego roztaczał się widok na niżej położony teren wokół wodopoju. Apacze zawsze unikali obozowania w pobliżu wodopojów. Rozbijali obozy na wzniesieniach, bez względu na to, czy była tam woda, czy nie.

Przyjrzał się uważnie zaroślom wokół wodopoju. Coś tam się poruszyło. Potem usłyszał ciche ryczenie burro. Hugh ruszył pod wiatr i skradał się przez zarośla, aż zobaczył matowy połysk wody. Jakiś człowiek siedział skulony w swoich kocach. Hugh dostrzegł niewyraźną sylwetkę jego kapelusza z szerokim rondem. Prawdopodobnie Mex.

Mężczyzna wstał i podniósł karabin.

— Kto tam? — zawołał po hiszpańsku.

— Przyjaciel.

Kurek karabinu zatrzasnął się z powrotem.

— Kim jesteś? — zawołał mężczyzna.

Hugh zaryzykował.

— Zwiadowcą wojskowym.

— Tak daleko na zachód od Rio Grande nie ma wojsk amerykańskich.

— Ja jestem.

— Podejdź więc, z rękoma wysoko do góry.

Hugh zapiął pasek karabinu, po czym zarzucił Sharpa na plecy. Wsunął Colta do kabury i wyszedł z zarośli.

Meksykanin był niewielkim człowiekiem. Przyjrzał się Hugh.

— Co tu robisz?

— Szukam grupy Amerykanów.

— Jestem tu tylko ja.

Hugh rozejrzał się. Burro stał w zaroślach. W zasięgu wzroku nie było nikogo innego.

— Potrzebuję wody — powiedział.

— Wystarczy dla ciebie.

— W takim razie przyprowadzę konia.

Meksykanin zawahał się. Przeszukał wzrokiem kołyszące się zarośla.

— Czemu się mnie boisz? Czy ja wyglądam jak Apacz?

— W promieniu wielu mil nie ma żadnego. Upewniłem się co do tego, senior.

— W takim razie pozwól mi sprowadzić konia.

— Będę tuż za tobą.

Hugh wzruszył ramionami. Ruszył z powrotem w stronę swojego jeleniowatego, a mały Meksykanin szedł w bezpiecznej odległości za nim. Hugh zaprowadził konia do wody i pozwolił mu się napić. Odwrócił się do małego mężczyzny.

— Jestem Hugh Kinzie — powiedział.

— Jorge Dura, do usług.

— Co tu robisz, Jorge?

Dura opuścił karabin.

— Kiedy żołnierze opuścili fort, nie zabrali paru koni. Są na tych wzgórzach. Szukam ich.

Hugh uklęknął i napił się. Krawędź wodopoju usiana była śladami kopyt, które nasiąkły wodą. Było tu wiele koni i to wcale nie tak dawno temu.

— Widziałeś gdzieś tu jakichś Amerykanów? — spytał przez ramię.

Dura skinął głową.

— Jacyś Amerykanie byli na zachód stąd. To byli żołnierze.

— Jakieś kobiety?

— Tak… dwie.

Hugh wstał i wyciągnął kapciuch z tytoniem. Dura oparł karabin na lewym ramieniu i wziął woreczek. Szybko skręcił sobie papierosa.

— To niebezpieczny kraj dla Amerykanów — powiedział.

— Wiem.

Dura zapalił. Oczy na jego małej brązowej twarzy były twarde.

— Dlaczego ich szukasz?

— Dostałem rozkaz, żeby to zrobić.

Dura zaciągnął się papierosem.

— Mieli dobre konie i broń. Muły juczne, obładowane zapasami.

— W którą stronę wyruszyli?

Dura szarpnął kciukiem przez ramię.

— W Pinos Altos. W kierunku górnego biegu rzeki Gila.

Hugh popatrzył na ciemniejące wzniesienia.

— Dlaczego? — zapytał, prawie sam siebie.

Dura postawił kolbę karabinu na ziemi i oparł się na długiej lufie.

— Nie wiem. Z tych gór nie ma drogi wyjścia. Być może udali się tam, by uniknąć Mimbrenos.

Hugh skinął głową. Ktokolwiek dowodził tą grupą, nie znał tych terenów. Niewielu białych tam było. Było to niezbadane pustkowie. Za górami rozciągały się równiny San Augustin. Jeśli się przez nie przedostaną, będą mogli skręcić na wschód w kierunku Rio Grande.

— Jeśli się przedostaną — powiedział na głos.

Dura wzruszył ramionami.

— To szaleństwo.

Hugh wyprowadził wierzchowca z wody. Dura go niepokoił. Żaden człowiek, który znał Apaczów i bał się ich, nie rozbijałby obozu nocą w pobliżu wodopoju.

— Dokąd pojedziesz? — spytał Dura.

— Z powrotem w stronę Rio Grande.

Dura opuścił wzrok na swój karabin.

— Masz wspaniałego konia.

Hugh skinął głową. Oparł dłoń na rękojeści rewolweru.

— I zamierzam go zatrzymać.

Dura uśmiechnął się. Znał tych wielkich Amerykanów i ich umiejętności posługiwania się pistoletami o obrotowych bębnach.

— Tak — powiedział spokojnie. — Jedź z Bogiem, przyjacielu.

— Jedź z Bogiem, Jorge Dura.

Hugh poprowadził jeleniowatego wokół wodopoju. Dura obserwował go. Potem osiodłał osła i spakował swoje koce. Wsiadł na zwierzę i szybko pojechał na południe. Mangus Colorado z radością przyjmie wieści o grupie bogatych Amerykanów błąkających się po tych surowych wzgórzach. Być może dzięki łaskawości Mangusa Colorado, Jorge Dura będzie mógł zdobyć część ich bogactw. To było warte ryzyka.

Rozdział 3

Pierwsze oznaki świtu szarzały na wschodnim niebie, gdy Hugh odnalazł pierwsze ślady szukanej grupy ludzi. Na nierównym szlaku leżała ostroga. Milę dalej znalazł znacznie więcej śladów, na miękkim skrawku ziemi. Byli cholernie nieostrożni w maskowaniu swojej trasy. Nawet dziecko Apaczów mogłoby ich wytropić bez najmniejszego trudu.

Słońce już wzeszło, kiedy znalazł kolejny ślad. Na nierównym odcinku szlaku przewrócił się koń. Ślady butów wskazywały na miejsce, w którym ludzie stali wokół leżącego konia i podnosili go na nogi. Było to tak czytelne, jak strona drukowanej książki.

W miarę jak jechał dalej, wzgórza otaczały Hugh coraz ciaśniej. Nie było żadnego niebezpieczeństwa zgubienia tropu, ponieważ nie było innej drogi, którą ci ludzie mogliby pojechać. Ze śladów wywnioskował, iż w grupie było co najmniej tuzin osób.

Popatrzył na południe, wspinając się na grzbiet wzgórza. Na tle nieba, niczym szorstkie włoski leżące na bladoniebieskiej tkaninie, widoczne były nitki dymu. Potarł porośniętą krótką szczeciną brody szczękę. W oddali, na zachodzie, na niebie wisiała kolejna smuga dymu. Wiedział już, że nie ma szans na powrót na południe.

Przekroczył płytki, rwący strumień, prawdopodobnie jakąś odnogę rzeki Gila. Tutaj napoili konie. Ślady były wyraźnie widoczne po drugiej stronie strumienia. Jechał wzdłuż dna wielkiej doliny, ciągle oglądając się za siebie. Dymy już się rozwiały.

Dno doliny porastała cholla, agawa i trochę mescalu, a w wyższych częściach jej zboczy królowały jałowce, sosny i dęby. Popatrzył przed siebie. Góry były wysokie, surowe i wydawały się nie mieć końca. Wyglądało to jak podróż w jedną stronę, w głąb niezbadanego kraju.

W miarę jak wspinał się coraz wyżej, zaczęły się pojawiać dębowe zarośla, sosny ponderosa i świerki. Ze zbocza przez chwilę obserwował go jeleń, po czym zniknął wśród drzew. Sójki o długich czubach skrzeczały na samotnego jeźdźca, który zakłócił ich ustronne siedliska. W oddali przemknął czarny niedźwiedź. Nie było jednak widać żadnych śladów pobytu ludzi, poza odciskami kopyt, nieustannie zmierzającymi na północ.

Był prawie pewien, że jest na tropie grupy Nettletona, ponieważ nie potrafił powiedzieć, kto inny mógłby to być. Gdyby byli sympatykami Konfederacji, kierowaliby się na południe. Przemierzali to pustkowie tak, jakby podróżowali jakąś główną drogą w cywilizowanym kraju. Hugh prawie kusiło, aby zawrócić i udać się w kierunku Rio Grande, ale zawsze pozostawało wspomnienie tych widocznych z tyłu sygnałów dymnych na tle rozległego nieba.

Po jego lewej ręce wznosił się masywny szczyt o wysokości co najmniej ośmiu tysięcy stóp. Daleko na północy dostrzegał kolejną gigantyczną górę. Był to kraj, którym mógłby się cieszyć, gdyby gdzieś za nim nie podążały tygrysy w ludzkiej skórze. Bez względu na to, jak bardzo uważał na swoje ślady, tropy grupy ludzi, za którą podążał, były zbyt wyraźne, aby je zatrzeć. Mimo to, jeden człowiek mógł dostać się do serca gór i uciec przed prześladowcami. Pokusa była silna.

Strumień zrobił się teraz szerszy. Hugh dotarł do miejsca, w którym się rozwidlał. Za rozwidleniem widział ziemię, która kiedyś była uprawiana. Natura prawie już zatarła ślady ludzkie.

Ciemność spowijała góry i miał już szukać kryjówki na noc, kiedy doleciał do niego niesiony delikatnym wiatrem zapach palącego się drewna.

Hugh zsiadł z konia i wziął karabin. Zaprowadził jeleniowatego w gęstwinę i uwiązał go. Następnie ruszył między drzewami w kierunku, z którego dochodził zapach dymu.

Kiedy wszedł za szczyt jednego z wzniesień, dostrzegł migoczące płomienie. Przykucnął nisko i popatrzył na ognisko. Dotarł do niego szmer głosów. Amerykanie. Z zapachem dymu mieszała się woń pieczonego mięsa. Za ogniskiem dostrzegł konie. Na pagórku na straży stał żołnierz, opierając się na karabinie, ale obserwował ludzi przy ognisku, a nie mrok za sobą. Obecność strażnika nie robiła żadnej różnicy, bo Mimbreno potrafili otoczyć obóz bezszelestnie jak duchy, czekając na okazję do uderzenia.

Hugh wstał i podszedł do nich.

— Hej tam, witajcie w obozie! — zawołał.

Następnie ostrożnie schował się za drzewem. Strażnik odwrócił się w jego stronę i uniósł karabin. Reszta ludzi stała wokół ogniska, wpatrując się w ciemność. Kobieta skryła się w cień. Wysoki oficer szybko wyciągnął rewolwer.

— Kto tam? — zawołał strażnik.

— Hugh Kinzie. Zwiadowca z Fort Craig.

— Wyjdź na światło!

— Zgaście ten przeklęty ogień, głupcy! Chcecie wystawić się na cel, jak kaczki?

— Za kogo on się uważa? — warknął jeden z oficerów.

Hugh podszedł, trzymając karabin nad głową. Lekko pulchny oficer z kapitańskimi naramiennikami, wystąpił naprzód.

— Kapitan Maurice Nettleton — przedstawił się. — Jesteśmy z Fort Ayres. Kto cię przysłał?

Hugh oparł o ziemię karabin i oparł na nim ręce.

— Major Benjamin Roberts, dowodzący Fort Craig.

Nettleton potargał ciemne bokobrody.

— Jak nas znalazłeś?

Hugh rzucił okiem na płonący ogień.

— To nie było trudne — stwierdził sucho. — Zostawiliście tak wyraźny trop, że mógłby nim podążyć nawet ish-ke-ne.

Podszedł do niego wysoki oficer. Był tylko kilka centymetrów wyższy od Hugh, ale o połowę od niego szerszy. Jego ramiona wypełniały bluzę munduru, grożąc przedarciem się przez szwy.

— Ish-ke-ne? Kim ty do cholery jesteś?

Hugh zignorował wielkiego mężczyznę.

— Proszę polecić swoim ludziom, żeby ugasili ogień — powiedział do Nettletona.

— Ale my jeszcze nie jedliśmy — jęknął Nettleton.

Hugh podszedł do przodu. Kopnął odrobinę ziemi na ogień.

— Jeśli go nie ugasicie, jeszcze przed świtem będziecie jedli w piekle.

Wysoki oficer położył dłoń na kolbie rewolweru i ruszył przed siebie.

— Chcę jakiegoś dowodu na to, kim jesteś — oznajmił groźnie.

Hugh popatrzył w twarz oficera. Jego oczy miały najzimniejszy szaro-zielony kolor, jaki kiedykolwiek widział.

— Powiedziałem panu, kim jestem — powiedział spokojnie.

— Wiem o tym. Jaki mamy dowód na to, że jesteś Hugh Kinzie z Fort Craig?

Z ciemności wyszła kobieta.

— To Hugh Kinzie, zgadza się — powiedziała spokojnie. — Witaj, Hugh.

Hugh odwrócił się.

— Katy Corse — powiedział.

Katy Corse odgarnęła do tyłu ciemne włosy.

— To do ciebie podobne, żeby pojawiać się tak w środku dziczy — stwierdziła cicho. — I równie szybko znikać.

Hugh zarumienił się.

— Co ty tutaj robisz, Katy?

Duży oficer chwycił Hugh za ramię.

— Rozmawiałem z tobą — oznajmił. — Nie rozpoznajesz oficera, kiedy go masz przed sobą?

Hugh zmierzył wielkiego mężczyznę wzrokiem, z góry na dół.

— Rozpoznaję. I co z tego?

Nettleton podszedł do niego.

— Zaraz, panie Clymer — szybko się wtrącił — nie chcę żadnych kłopotów.

Hugh rozejrzał się po obozie. Obserwowało go ośmiu innych ludzi. Jeden z nich był oficerem. Pozostali byli żołnierzami, z wyjątkiem chudego człowieka, ubranego na czarno.

— Dokąd planował pan się przedostać, kapitanie Nettleton? — spytał.

Nettleton zwilżył wargi.

— Próbowaliśmy dotrzeć do Rio Grande, ale usłyszeliśmy, że Mimbreno są między nami a rzeką. Nie chcieliśmy iść zbyt daleko na południe ze względu na Konfederatów. Postanowiliśmy więc jechać na północ przez góry, a następnie skręcić na wschód w kierunku Rio Grande w pobliżu Soccorro.

— I to, tak, ot — skomentował sucho Hugh. — Kto zna drogę tamtędy? — Machnął ręką w kierunku czarnych konturów gór rysujących się na niebie.

Nettleton zarumienił się.

— Nic innego nam nie pozostało.

Hugh dosypał więcej ziemi do ognia. Popatrzył na najbliższego żołnierza.

— Przynieś trochę wody — polecił.

Żołnierz wziął dużą manierkę i opróżnił ją na płonące drewno.

Hugh stał tam w półmroku. Ostry zapach mokrego drewna unosił się wokół niego.

— Nie mamy już czasu na rozmowy — powiedział. — Ruszajmy w drogę.

Clymer uniósł głowę.

— Jesteś tylko zwykłym żołnierzem — powiedział. — Masz tupet, żeby tak przejąć dowodzenie.

Hugh pokręcił przecząco głową.

— Jestem cywilnym zwiadowcą, Clymer. To oczywiste, że nie ma tu żadnego człowieka, który znałby Apaczów i ten kraj. Jeśli chcesz się wydostać z tych przeklętych gór cały i zdrowy, zrobisz, co ci każę.

Clymer uniósł grubą dłoń. Nettleton poderwał się na nogi.

— Proszę dopilnować, żeby konie były gotowe, panie Clymer — powiedział.

Clymer przyglądał się kapitanowi przez chwilę, po czym celowo splunął w dymiący żar.

— Phillips! — ryknął.

Z unoszącego się dymu wyszedł trzeci oficer. Clymer wyciągnął grubą rękę.

— Przygotuj konie — polecił.

Hugh potarł szczękę.

— Czy pańska żona jest tutaj, panie kapitanie? — spytał Nettletona.

Clymer obrócił się.

— Co ci do tego? — warknął.

— Jest tutaj, panie kapitanie? — spokojnie powtórzył swe pytanie Hugh.

Nettleton skinął głową.

— Oczywiście, że jest. Odpoczywa w swoim namiocie. Dlaczego pan pyta?

— Jej ojciec przetoczył się po całym Departamencie Wojny, żeby ją odnaleźć. To wszystko.

Nettleton przygryzł dolną wargę.

— Martwiłem się o to.

Clymer machnął ręką.

— Mogę ją bezpiecznie przeprowadzić — oznajmił głośno.

Nettleton patrzył, jak wielki oficer odchodzi.

— Co mamy robić, Kinzie? — spytał.

— Ruszyć na północ i znaleźć miejsce, w którym będziemy mogli się bronić.

— Obawiasz się ataku Apaczów?

— Tak.

Nettleton przełknął ślinę. Popatrzył w ciemność.

— Pójdę po żonę — powiedział. Pośpiesznie wyszedł.

Katy Corse popatrzyła na Hugh.

— Minęło sporo czasu, Hugh — powiedziała.

Hugh skinął głową.

— Gdzie jest twój mąż— spytał.

— Nie wyszłam za mąż — powiedziała spokojnie.

— Tak?

— Herbert umarł miesiąc po tym, jak opuściłaś Fort Buchanan.

Żołnierze siodłali konie. Zaryczał jakiś muł.

— Niech cię diabli, ty tępoto — zaklął jeden z żołnierzy. — Masz pysk jak brama.

Katy Corse popatrzyła na Hugh, po czym odwróciła się na pięcie. Poszła w kierunku stojącego wśród drzew namiotu.

Człowiek noszący naszywki kaprala spojrzał za Katy.

— Miła dziewczyna — zauważył.

— Tak — odparł cicho Hugh. — Nie spodziewałem się, że jeszcze ją kiedykolwiek zobaczę.

— Przejeżdżała przez tereny nad Gila mniej więcej tydzień przed naszym wyjazdem z Fort Ayres. Powiedziała, że zmierza nad Rio Grande. Nie było sposobu, by mogła jechać dalej. Kapitan Nettleton kazał jej zaczekać, aż my będziemy gotowi do wyjazdu. Jestem Harry Roswell. Słyszałem o tobie, Kinzie. Byłeś kiedyś sierżantem w Kompanii A Strzelców Konnych.

— Tak. — Hugh ze zniecierpliwieniem popatrzył na ludzi miotających się wśród koni i mułów. — Zachowują się, jakby mieli dwie lewe ręce.

Roswell skinął głową.

— Mamy tu niezły bajzel, Kinzie.

— Trzech oficerów i garstka żołnierzy. Gdzie jest reszta ludzi z Fort Ayres?

— Na posterunku mieliśmy stado bydła. Nettleton bał się, że jeśli je stracimy, zostanie o to obwiniony. Wysłał stado pod opieką pana Winstona i większości ludzi.

— I?

— Chiricahua spłoszyli bydło i przegnali stado przez ich pierwszy nocny obóz. Następnego dnia znaleźliśmy to, co z nich pozostało. Nie wyglądało to najlepiej. Nettletonowi puściły nerwy i ruszył w stronę wzgórz. Brakuje nam zapasów i amunicji. Tak wygląda nasza sytuacja.

— Co jest na tych jucznych mułach?

Roswell zaśmiał się sucho.

— Ubrania pani Nettleton. Srebrne mundury i mundury galowe Nettletona. Rejestry z Fort Ayres.

— To wszystko?

— Tak. Czekaj… Zapomniałem… Są jeszcze skrzynki z likierami i brandy.

— Nettletona?

— Nettletona.

— Na miłość Boską!

— Nie wzywaj imienia Pana, Boga swego, nadaremno — rozległ się grobowy głos, tuż za Hugh.

— Kim pan u diabła jest? — spytał Hugh, odwracając się.

— Nie bluźnij. Jestem Isaiah Morton.

Morton był chudym jak szczapa cywilem, którego Hugh dostrzegł wśród ludzi. Nawet w półmroku czuł, jak palące oczy mężczyzny go obserwują.

Roswell splunął.

— Morton dołączył do nas na szlaku, na zachód od Fort McLane. Powiedział, że zamierza nawrócić Mangusa Colorado.

— On są dziećmi Boga, tak jak ty i ja, bracie Roswell.

Roswell prychnął.

— To kwestia otwarta do dyskusji.

— Roswell! Gdzie do cholery jesteś? — Ostry głos brzmiał jak trzask patyka ciągniętego po płocie.

Roswell wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— To pierwszy żołnierz — powiedział. — Lepiej znajdę sobie coś do roboty.

W ciemności pojawił się krępy mężczyzna. Na jego rękawach widać było paski i diamenty sierżanta.

— Witaj, Matt — powiedział swobodnie Hugh.

Matt Hastings przysunął głowę do Hugh.

— Kinzie! Myślałem, że odszedłeś ze służby.

— Odszedłem.

Hastings uniósł głowę.

— Teraz jesteś zwiadowcą?

— Tak.

— W armii musi być ciężko o dobrych zwiadowców.

Hugh przechylił głowę na bok.

— I sierżantów. A więc w końcu dostałeś swój diament, Matt. Wystarczająco długo się na niego napracowałeś.

Hastings obejrzał się przez ramię.

— Wiem więcej o wojsku niż jakikolwiek facet w tej kompanii J.

Hugh zgodził się z nim. Matt Hastings nic się nie zmienił. Hugh znał go w Fort Stanton, a później w Arizonie. Był brzuchatym krzykaczem, samoukiem, z najbardziej rozrośniętym poczuciem własnej wartości wśród wszystkich konnych żołnierzy, jakich Hugh kiedykolwiek spotkał w czasie swojej służby.

— A co, może nie? — warknął Hastings.

— Na pewno zapomniałeś wszystkiego, czego się nauczyłeś o Apaczach. Obozowanie przy ognisku.

— W promieniu pięćdziesięciu mil nie ma żadnych Apaczów.

— Szkoda, że się ani razu nie obejrzałeś do tyłu, dzisiejszego popołudnia. Zobaczyłbyś ich dymy sygnałowe.

— Buty i siodła! — ryczał w ciemności Clymer.

Hugh wrócił po swojego jeleniowatego i przez jakiś czas stał w miejscu gdzie go uwiązał, wsłuchując się w nocne odgłosy. To nie miało sensu. Z zaciemnionego obecnie obozu, dobiegał na tyle głośny hałas, aby zagłuszyć wszystkie inne odgłosy, które mógłby dosłyszeć.

Kiedy Hugh wrócił do obozu, obok Maurice'a Nettletona stała szczupła kobieta. Miała na ciemnych włosach szal. Nettleton pomagał jej wsiąść na konia. Hugh spojrzał na nią ciekawie, kiedy sam wsiadał na konia. Twarz miała skrytą w cieniu, ale dostrzegł, że była ładna. Zastanawiał się, czy Boss Bennett jeszcze ją kiedykolwiek zobaczy.

Hałaśliwa kawalkada ruszyła szlakiem. Hugh pozostał na końcu, aby osłaniać tyły. Isaiah Morton truchtał na swojej szkapie o wygiętym grzbiecie. Kaznodzieja-amator spojrzał w górę na ciemne kształty gór, które majaczyły przed nimi.

— Kraina ciemności, wręcz sama ciemność; i mroki śmierci, bez żadnego prawa i porządku, gdzie nawet światło jest jak ciemność — oznajmił żałośnie.

Hugh popatrzył na niego.

— Masz jakąś broń? — spytał.

— Nie.

Hugh pochylił się w jego stronę i smagnął wodzami przez zad szkapy kaznodziei.

— To lepiej wejdź tam na górę i weź się za prorokowanie!

Na poboczu szlaku siedział na żołnierz koniu. Uśmiechnął się do Hugh.

— Ja nie potrafię prorokować, zwiadowco — oznajmił. — Ale potrafię strzelać.

— I dobrze!

— Nazywam się Chandler Willis.

— Hugh Kinzie.

Willis przeciągnął karabin po udach. Przesunął językiem prymkę tytoniu w ustach i splunął.

— Wygląda na to, że czeka nas długa noc — stwierdził lakonicznie.

— Tak. Jakich macie tu oficerów?

— Nettleton nawet żyje według paragrafów. Nie zrobi ani kroku, nie wyszukując jakichś przepisów, które obejmą to, co robi. I nigdy nie jest tego do końca pewien, stawiam na to całe swoje pieniądze.

— A Clymer?

Willis uśmiechnął się szeroko.

— W swoich fantazjach wyobraża sobie, że jest prawdziwym psem na kobiety. Ma moralność kota z zaułka. Niech Nettleton myśli sobie, że to on tutaj rządzi. Darrell Phillips nie jest złym hombre. Ma pochodzenie, naprawdę dobre. Mógłby być dobrym żołnierzem, gdyby nie musiał służyć pod tymi dwoma.

— A jakim oficerem był porucznik Winston?

— Jednym z najlepszych. Prawdziwy mężczyzna. Nie był z nami długo. Przybył z Fort Buchanan wykonując specjalne zadanie, tak przynajmniej słyszałem.

— Jakie specjalne zadanie?

Willis popatrzył na Hugh.

— A skąd mam to wiedzieć? Wiem tylko, że Nettleton nie wysłałby z tymi krowami Phillipsa, a Clymer by nie pojechał. Więc Nettleton rozkazał Winstonowi. Musiał z nimi wyruszyć.

Hugh skinął głową.

— Znaleźli ciało Winstona?

— Taaa. Jedynym sposobem, w jaki byliśmy w stanie go rozpoznać, to po mundurze.

Hugh popatrzył na zachód. Może weksle zostały wdeptane w ziemię razem z ciałami żołnierzy. Może Apacze je znaleźli i wyrzucili, nie znając ich wartości. Teraz nie było już szans, na oczyszczenie Rona. Wzruszył ramionami, a następnie spojrzał wzdłuż kolumny jadących ludzi. Widział Katy Corse jadącą obok Marion Nettleton. Od czasu do czasu podtrzymywała żonę kapitana w siodle, kiedy napotykali trudne miejsca na szlaku. Hugh zastanawiał się, czy uda mu się dokończyć drugą część zadania. Szanse na to również wydawały się wątłe.

Hugh spojrzał za siebie wzdłuż ciemnego szlaku. Pod nimi widział oko ognia mrugające w ciemności. Wiatr rozdmuchał żar ogniska ponownie do życia. Te żółtodzioby pozostawiły po sobie ślad tak łatwy do prześledzenia, jak Szlak Oregonu przez równiny Kansas.

Willis również się obejrzał.

— Myślisz, że ci Apacze są gdzieś tam z tyłu?

— Ja to wiem, Willis.

Jechali dalej przez ciemność, a groza jechała tuż za ich plecami.

Rozdział 4

Kapitan Nettleton zarządził postój, kiedy nad wschodnimi wzgórzami pojawiły się pierwsze zorze. Hugh ruszył szybko do przodu, pozostawiając Chandlera Willisa jako tylną straż. Nettleton był blisko żony, przytrzymując ją w siodle.

— Zatrzymamy się tutaj i rozpalimy ognisko — powiedział do Hugh.

— Żadnych ognisk — odparł krótko Hugh.

Able Clymer podniósł się w strzemionach.

— To kapitan Nettleton tutaj dowodzi, Kinzie.

Hugh popatrzył na wojowniczego byka w ciele człowieka.

— Będziemy mieli odpoczynek na zimno — oznajmił spokojnie.

Darrell Phillips podjechał do przodu, po czym zawrócił konia.

— Jest tu jakiś stary mur — poinformował. — Może służyć jako pozycja obronna.

Clymer splunął.

— Posłuchaj żołnierza — powiedział.

Hugh pchnął kolanami jeleniowatego, obok Clymera. Podjechał do Phillipsa. Ktoś, dawno temu, zbudował mur przed stromym zboczem skały.

— Nada się — stwierdził Hugh.

Clymer kłócił się o coś z Nettletonem. Jego głos był zbyt cichy, aby Hugh mógł dosłyszeć, co mówi.

Nettleton wyprostował się w siodle.

— Zrobimy tak, jak mówi zwiadowca, panie Clymer. Musimy mu zaufać.

Przystojna twarz Darrella Phillipsa pociemniała.

— Clymer to bydlę — powiedział.

Hugh skinął głową.

— Ale nadal wykonuje rozkazy.

Phillips skinął głową.

— Tak, tylko jak długo? Gdyby postawił na swoim, wszyscy trafilibyśmy pod jego brudną piętę. — Popatrzył na Marion Nettleton. — Jest wyczerpana — powiedział.

— Katy się trzyma.

— Jest pewna różnica. Marion jest delikatniejsza z natury.

— W tym kraju kobietę ocenia się na podstawie tego, co potrafi, a nie tego, jak została wychowana.

Ciemne oczy Phillipsa spoglądały na Hugh.

— Znałeś Katy wcześniej?

— Tak. W zeszłym roku, kiedy byłem w Forcie Buchanan.

— Zakładam, że byliście dobrymi przyjaciółmi?

Hugh spojrzał szybko na oficera.

— Tak. Była zaręczona z Herbertem Oglesbym, kapralem dragonów.

— Rozumiem. Byłaby dobrą żoną dla żołnierza.

Hugh nachylił się do przodu.

— Byłaby dobrą żoną dla każdego mężczyzny, panie Phillips. — Popędził swojego jeleniowatego z powrotem w stronę grupy.

Phillips wzruszył ramionami. Popatrzył na Katy Corse. Jechała okrakiem, jak mężczyzna. Jej zgrabne nogi były odsłonięte od kolan w dół i wydawało się, że doskonale czuje się w siodle. Po raz pierwszy, odkąd zobaczył ją w Fort Ayres, zdał sobie sprawę, że jest diabelsko atrakcyjną kobietą.

Hugh siedział na swoim wierzchowcu, podczas gdy żołnierze przenosili jedzenie i broń za niski murek. Marion Nettleton siedziała na kamieniu. Jej mąż krzątał się wokół niej, naciągając szal na jej zgrabne ramiona. Hugh przyglądał się jej. Owalna twarz kobiety najwyraźniej była chroniona przed gorącymi promieniami południowo-zachodniego słońca, bo jej cera wciąż miała w sobie coś z kamei. Oczy miała duże, prawie zbyt duże jak na jej twarz. Na jej pełnych ustach malował się wyraz gniewu.

— Wszystko w porządku, moja droga? — dopytywał się Nettleton.

— Maurice, przestań mnie denerwować — powiedziała. — Napiję się tutaj kawy.

Nettleton popatrzył na Hugh, a potem przygryzł wargę.

— Nie będziemy rozpalać ognia — powiedział.

— Dlaczego? Chcę gorącej kawy. To taka niewielka prośba.

Nettleton spojrzał na Hugh. Hugh pokręcił przecząco głową. Popędził konia do tyłu szlakiem. Za plecami usłyszał jej rozdrażniony głos.

— Chciałabym wiedzieć, kto tu dowodzi, Maurice.

Willis przykucnął na skale nad szlakiem.

— Na razie nic nie widać — poinformował.

— Ale pojawią się.

Willis popatrzył w górę kanionu.

— Co jest tam na górze?

— Niech mnie diabli, jeśli wiem.

Żołnierz przesunął w ustach prymkę tytoniu.

— Jezu! Co za bałagan!

— Zgadzam się z tobą.

— Jeden lub dwóch ludzi, mogliby się przedostać, podróżując nocą, a w dzień leżąc w ukryciu.

Hugh zmierzył żołnierza wzrokiem.

— Myślę, że tak. Ale mamy dwie kobiety, którymi musimy się zająć.

— Kto? Ja? Nie zaciągałem się po to, by opiekować się kobietami.

— Nadal musisz słuchać rozkazów, Willis.

— Tak. Ale jak długo jeszcze? Clymer nienawidzi Nettletona. Phillips nienawidzi Clymera. Sierżant Hastings nienawidzi wszystkich.

— A ty?

Zimne, blade oczy wytrzymały spojrzenie Hugh.

— Ja myślę o swojej własnej głowie.

Hugh spojrzał w dół na swojego Sharpa.

— Wytrzymasz do końca — powiedział.

Willis przesunął się odrobinę.

— Może. A może nie. Nie strasz mnie, Kinzie. Nie daję się łatwo zastraszyć. Poza tym w tym oddziale są też inni, którzy nie są zbyt szczęśliwi z tego, że muszą ciągnąć za sobą tych oficerów i kobiety, przez ten piekielny kraj. Przekonasz się z czasem.

Hugh pojechał dalej szlakiem do tyłu. Znajdował się dobre dwie mile od tymczasowego obozu, kiedy zobaczył unoszący się ze szczytu dym. Był bliżej niż wczoraj. Skręcił sobie papierosa i zaczepił lewą nogę o róg siodła. Zapalił i popatrzył na odległy dym. Konie były wyczerpane. Potrzebowały przynajmniej dnia odpoczynku. Przed nimi był piekielnie trudny szlak.

Hugh wrócił do obozu, gdy słońce pojawiło się nad wschodnimi szczytami. Kobiety odpoczywały na kocach. Isaiah Morton czytał zniszczoną Biblię. Kapral Roswell stał na zboczu z karabinem opartym o uda. Przed Hugh stanął barczysty szeregowiec.

— Jestem Dan Pearce — powiedział z nowojorskim akcentem. — Jakie są szanse, że nam się uda, zwiadowco?

Hugh zsunął się z siodła.

— Całkiem niezłe.

Pearce miał twardą twarz i małe zielone oczy. Wyglądał na skrytego.

— Rozmawiałeś z Willisem? — spytał.

— O czym?

— O wyrwaniu się na wolność i próbie przepłynięcia Rio Grande.

— Tak.

— I, co?

— Jeśli odejdzie, odejdzie sam. Jeśli zobaczę, że ucieka, zabiję go.

Pearce uniósł głowę.

— Trudny z ciebie przypadek, co?

— Nie. Ale mam robotę do wykonania i zamierzam ją wykonać.

Hugh odwrócił się od Pearce'a. Pearce przez chwilę wpatrywał się w szerokie plecy Hugh, po czym poszedł ścieżką w kierunku Willisa. Obaj usiedli na półce skalnej, rozmawiając cicho.

Jeden z żołnierzy zajmował się wiązaniem koni na palikach. Hugh podszedł do niego.

— Uwiąż je na osobnych palikach i linach — powiedział.

Żołnierz odwrócił się do Hugh z dobroduszną miną.

— Mogę zapytać, dlaczego?

— Jeśli zostaną spłoszone, możemy uratować większość z nich. Na jednej linie i paliku poszłaby cała grupa.

Żołnierz skinął głową.

— Na Boga, nigdy bym o tym nie pomyślał. Nazywam się Jonas Stevens

Hugh skinął głową.

— Nie masz zbyt wielkiej pomocy — powiedział. Rozwinął linę i wbił palik głęboko w miękką ziemię. Uwiązał na nim dorodnego kasztana Phillipsa.

Stevens popatrzył do tyłu, na obóz.

— Wygląda na to, że nikt z nich nie chce pracować razem. Kiedy zaciągnąłem się w Jefferson Barracks w pięćdziesiątym dziewiątym, mieliśmy wykłady o tym, że armia zawsze pracuje zespołowo. Zdaje się, że jestem tu jedynym, który o tym pamięta.

Hugh uwiązał kolejnego konia.

— Ja pamiętam — zauważył spokojnie.

Pracowali razem wiążąc konie w pobliżu kawałka trawy. Hugh podszedł do jucznych mułów. Były śmiertelnie zmęczone, ponieważ nikt nie pomyślał o zdjęciu z nich juków. Stevens pomógł mu je zdjąć.

— Biedne muły — powiedział.

Podszedł do nich Abel Clymer.

— Zostawcie te ładunki — polecił.

Hugh odwrócił się i cisnął jednym z nich w wielkiego oficera.

Clymer zrobił kilka chwiejnych kroków do tyłu, aż odzyskał równowagę.

— Niech cię szlag! — warknął.

Hugh uśmiechnął się.

— Załóż go na siebie — powiedział.

Clymer rzucił pakunek na ziemię u stóp Hugh. Przez chwilę spoglądał na niego gniewnie, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę własnego konia. Zdjął z niego torby i założył je na ramię. Popatrzył ponownie na Hugh, po czym ruszył do obozu.

— Niezły gość — stwierdził sucho Stevens.

— Głupi jak byk.

— Tak, ale nie da sobą łatwo pomiatać, Kinzie. Uważaj na siebie.

— Byłeś w miejscu, gdzie znaleziono Winstona i jego ludzi?

Stevens wzdrygnął się.

— Tak. Co za bałagan!

— Znaleziono jakiś osobisty bagaż Winstona?

— Niczego. Wszystko zostało wbite w ziemię. Ludzie, koce, jedzenie... wszystko. Dlaczego pytasz?

— Pomyślałem, że ktoś mógł zabrać jego rzeczy. Dla jego rodziny, no wiesz.

— Nie. Kompletnie nic. Poza tym, mamy wystarczająco wielki ładunek osobistych rzeczy Nettletona. Srebra, alkohole, ubrania i tym podobne. Praktycznie niemal nic do jedzenia, ale wszystkie graty Nettletona. Niezły kanał, co?

Hugh skinął głową. Uwiązał muła na paliku. Stevens przyglądał mu się jak pracuje. Potarł szczeciniastą szczękę i wzruszył ramionami.

— Osobisty przykład — stwierdził sucho. — Jezu Chryste!

Hugh wrócił do obozu.

Mały, schludnie wyglądający żołnierz, trzymający blaszany talerz, podszedł do Hugh. Wyciągnął rękę z jedzeniem.

— Peklowana wołowina i suchary — powiedział spokojnie. — Nie jest tego dużo, ale to wszystko, co mamy.

Hugh machnął ręką.

— Zostaw to sobie. Ja mam własne zapasy.

Mały mężczyzna skinął głową.

— Dzięki. Jestem Myron Greer, ordynans dla oficerów.

— Fajna robota — zauważył Hugh.

Greer wzruszył ramionami.

— Byłem urzędnikiem kompanijnym, w rzeczy samej. Pan Clymer kazał mi przejąć obowiązki ordynansa, żeby zastąpić Willisa. Powiedział, że Willis jest mężczyzną, a nie wystraszonym robakiem.

Greer mówił kulturalnym tonem. Był wykształconym człowiekiem. Nie wyglądał na kogoś, kto mógłby być twardym, jeżdżącym w szalonym tempie dragonem.

Hugh zaciągnął się dymem.

— Jak to się stało, że wykształcony człowiek, taki jak ty, skończył jako urzędnik w kompanii dragonów, Greer?

Greer uśmiechnął się smutno.

— Alkohol.

— Słyszałem o tym już wcześniej. Mój stary dowódca szwadronu zwykł mawiać, że jeśli ma urzędnika wartego cokolwiek, to jest to pijak.

Greer uniósł wzrok.

— Kinzie, gdyby nie whisky, w wojsku nie byłoby urzędników. Nie napiłbyś się przypadkiem, co?

Hugh pokręcił przecząco głową. W jednej z sakw miał butelkę mescalu, ale dobrze wiedział, że Greer nie zadowoli się jednym łykiem. Będzie potrzebował całej butelki.

Nettleton podszedł do nich.

— Greer! — oznajmił zgryźliwie. — Pani Nettleton chce trochę zimnej, czystej wody.

Greer wyciągnął wolną rękę.

— Manierki są pełne, panie kapitanie.

— Znajdź źródło.

— Tak jest, panie kapitanie.

Hugh pokręcił głową.

— Będzie musiał tu zostać.

— Boisz się, że ucieknie? — warknął Nettleton. — Greer? W tej chwili jest śmiertelnie przerażony.

Hugh popatrzył na południe. Na tle nieba wciąż unosiła się smużka dymu.

— Ja też — odparł.

Greer ruszył w stronę obozu. Nettleton wyjął srebrne etui na cygara, wybrał cygaro, przyciął końcówkę srebrną obcinaczką, która wisiała na srebrnym łańcuszku. Włożył cygaro do ust i zapalił je.

— Co proponujesz zrobić? — spytał.

— Odpocząć tutaj. Wątpię, czy zdołają nas ominąć i zaatakować od zachodu, wschodu lub północy. Willis jest na straży. Ja pójdę na zwiad w górę kanionu.

— Tam nie ma Apaczów.

— Nie znamy terenu. Od teraz będziemy musieli szukać szlaku. Zbyt łatwo byłoby wylądować w jakimś kanionie i musieć się cofać. Stracilibyśmy godziny, jeśli nie dni.

— Rozumiem. Jak myślisz, jakie mamy szanse?

Hugh wyjął sakiewkę z tytoniem.

— Jest pan trzecią lub czwartą osobą, która mnie dziś o to pyta.

Nettleton wyjął gwałtownie cygaro z ust.

— Nie chcę, żebyś za dużo mówił tym żołnierzom. Zachowaj swoje rady dla oficerów.

Hugh zaciągnął się dymem.

— Żołnierze też w tym wszystkim siedzą — powiedział spokojnie.

Twarz Nettletona napięła się. Spojrzał w dół na spodnie w zielone paski, które Hugh włożył w buty.

— Sam byłeś w wojsku?

— Tak.

— Strzelcy konni?

Hugh skinął głową i zapalił.

— Nigdy nie mieli zbyt wiele szacunku dla oficerów.

Hugh popatrzył na wściekłego oficera.

— Ja tak nie uważałem. Pamiętam, jak jeden z naszych chirurgów powiedział, że oficerowie strzelców konnych to dżentelmeni; odważni i hojni do granic możliwości, ale najbardziej trudni we współpracy ludzie, jakich kiedykolwiek spotkał. W moim pułku, kapitanie Nettleton, żołnierz nie miał zbyt wielu okazji, aby okazać brak szacunku oficerowi.

Nettleton odwrócił wzrok.

— No cóż, zajmij się swoją robotą. — Ruszył z powrotem w stronę obozu.

Hugh podszedł do konia, wziął manierkę i Sharpa. Podeszła Katy Corse i położyła dłoń na nosie kasztana.

— Nie bierzesz go, prawda? — spytała.

— Nie.

— Nie sądziłam, że to zrobisz. Jest zmęczony.

— Ma w sobie więcej ikry niż jakikolwiek inny wierzchowiec tutaj.

— Wierzę w to.

Katy odgarnęła do tyłu ciemne włosy.

— Nigdy mi nie wybaczyłeś, prawda, Hugh?

— Dokonałaś wyboru.

— Nigdy nie dawałeś mi zbyt wielu nadziei.

— Nie zakochałem się w tobie tak jak Herbert Oglesby.

— Herbert był dobrym człowiekiem.

Hugh przypiął manierkę do paska.

— Skończyłabyś jako żona kaprala, może sierżanta, Katy.

— I co z tego? Ty byłeś też tylko sierżantem.

— Dostanę patent oficerski.

Oparła się o konia.

— Jeśli się stąd wydostaniemy.

— Musimy.

Zmierzyła go wzrokiem.

— Kiedyś myślałam, że różnisz się od swojego brata, ale teraz wydaje mi się inaczej.

— Jak to?

— On był biznesmenem. Czy to prawda, że przyłączył się do Konfederatów?

— Tak mówią.

— A ty?

Uniósł szybko wzrok.

— Wiesz, że zostanę wierny Unii.

— Ta wojna podzieli wiele rodzin.

— Ron i ja nigdy nie byliśmy sobie bliscy.

— Może właśnie dlatego chcesz uzyskać stopień, żeby udowodnić sobie, że jesteś tak samo dobry jak on.

— Katy, czasami za dużo mówisz.

Uśmiechnęła się.

— Nie zmieniłeś się.

— Jestem za stary, żeby się zmieniać, Katy. — Rozsiodłał konia i zrzucił siodło na ziemię. — Znałaś porucznika Winstona?

— Tak. Jechałam z nim z fortu Buchanan do fortu Ayres, praktycznie mi to kazał.

— Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś ci cokolwiek rozkazywał — stwierdził sucho.

— Dlaczego o niego pytasz?

— Po prostu jestem ciekawy.

Pokręciła głową.

— Chodzi o coś więcej. Chodzi o te rządowe weksle, prawda?

— Tak.

Spojrzała w stronę obozu.

— Myślę, że miał je przy sobie. Twój brat był za nie odpowiedzialny, prawda?

Hugh skinął głową.

— Zostałam w forcie Ayres, kiedy on pojechał z bydłem. Został wysłany na śmierć. Bydło nie było warte straty tych wszystkich ludzi, a zwłaszcza człowieka takiego jak on.

— A co z tymi wekslami?

— Nie jestem pewien, czy je miał, Hugh, ale zawsze starał się spać z głową na siodle. Protestował przeciwko konieczności zajęcia się stadem bydła, ale Nettleton nalegał. Nettleton tak naprawdę chciał, żeby to Abel Clymer poprowadził stado - tylko po to, aby się go pozbyć - ale Clymer ma Nettletona pod kontrolą. Przynajmniej tak było, dopóki ty tu nie przyjechałeś.

— I co?

— Kiedy dotarliśmy do miejsca, w którym był ten popłoch bydła, pani Nettleton i ja otrzymałyśmy rozkaz pozostania z tyłu, abyśmy nie widziały, co się stało. Z tego, co mi mówili ludzie, to było straszne. Ale do obozu nie przywieziono żadnych weksli. Jestem tego prawie pewna.

— Kto z ludzi udał się na miejsce, w którym zginął Winston?

— Poszli tam wszyscy trzej oficerowie.

— Czy ktoś jeszcze?

— Kapral Roswell, szeregowi Pearce, Willis i Stevens. — Przyjrzała mu się uważnie. — O czym myślisz, Hugh?

— O wyruszeniu na zwiad.

— Czy to wszystko?

— To wszystko — odparł krótko. Odszedł od niej.

Kiedy Hugh mijał obóz, usłyszał, jak pani Nettleton woła:

— Katy! Przynieś trochę wody i przemyj mi skronie, jak grzeczna dziewczynka.

Hugh obejrzał się za siebie, kiedy dotarł do drzew. Pani Nettleton zachowywała się tak, jakby wszyscy w obozie zaciągnęli się do jej osobistej służby. Była tylko jedna osoba, która nie spełniała tego warunku - Hugh Kinzie.

Rozdział 5

Szlak nie robił się lepszy, kiedy Hugh wyruszył na północ od obozu. Ciężko było poruszać się po nim pieszo, nawet człowiekowi w doskonałej kondycji fizycznej. Jelenie przyglądały mu się z oddali, wydawało się, że nie boją się go, i zorientował się po tym, że nie są przyzwyczajone do widoku człowieka, na swojej ziemi. Idąc dalej, od czasu do czasu dostrzegał starożytne pola, które niegdyś były uprawiane przez Hohokamów.

Było około południa, kiedy znalazł szlak. Był wyraźnie widoczny na ziemi i prowadził na północny zachód do kanionu o nierównych ścianach. Nie było na nim widać śladów kół ani kopyt. Szlak został wydeptany przez pieszych podróżników i był mocno wykorzystywany.

Hugh zsunął kapelusz na tył głowy i otarł pot z czoła. Przyjrzał się szlakowi, podążając za nim wzrokiem, aż do miejsca gdzie znikał z oczu w gęstwinie zarośli i niewielkich skałek, za którymi widać było przysadzisty kształt, wznoszący się wysoko w niebo - skalisty płaski wierzchołek stołowego wzgórza, usiany zaroślami karłowatych drzew i dużymi sosnami. Zastanawiał się, kto wytyczył ten szlak i dokąd on prowadzi. Popatrzył na północny wschód. Tam teren zmieniał się w splątaną masę gór, pozornie nieprzejezdną. Być może szlak prowadził do rzeki San Francisco, której źródła znajdowały się na północnym zachodzie. Podążanie tym szlakiem wiązałoby się z forsownymi marszami, zmuszającymi grupę do pokonania wielu kilometrów, nadkładając drogi. Możliwe było, że istniała jakaś inna droga prowadząca na wschód, w kierunku Rio Grande. Nie chciał jednak ryzykować przedzierania się przez pasmo górskie, widoczne na wschodzie.

Hugh napił się wody z manierki i zaczął podążać szlakiem. Było parę miejsc, w których osunęły się nań skały. Dostrzegł też miejsca, gdzie powodzie zmiotły wszelkie ślady szlaku, niczym jakąś gigantyczną miotłą. Lecz po pewnym czasie, znów go odnalazł. Ściany kanionu zbliżały się do siebie, a on podążał między nimi, spoglądając wysoko w górę, gdzie w zaroślach widać było szarzejące drewno zaklinowane w pęknięciach i szczelinach terenu. Błyskawiczna powódź wypełniała wąski kanion wodą o głębokości wielu stóp, zmiatając wszystko przed sobą.

Długie cienie zaczęły już spływać po zboczach, kiedy wspiął się ponad splątaną masę skał gęsto porośniętych kolczastymi krzewami. Za sobą widział miejsce, w którym kanion się rozszerzał; jego ściany opadały w lewo, u stóp wielkiej płaskiej góry, którą zobaczył z dołu. Po prawej stronie ściany były prawie pionowe, jakby czekały tylko na hałas wystrzału z broni, który spowodowałby ich zawalenie. Spojrzał dalej, w górę kanionu, lecz tam panowały gęste cienie, a wielkie zbocze skalne

wystawało w głąb przejścia, zasłaniając mu widok. Nie było sposobu na to, aby się dowiedzieć, czy szlak biegnie dalej wokół skalnego zbocza, czy też kończy się gdzieś w labiryncie skał.

Usiadł na skale i przyjrzał się kanionowi. Na lewej ścianie znajdowała się ciekawa, równa linia skał. Wznosiła się kilkoma poziomami i wydawała się mieć inny kolor niż reszta ściany. W regularnych odstępach wzdłuż linii skał pojawiały się ciemne plamy, dziwnie równe. Sięgnął po lornetkę i przypomniał sobie, że zostawił ją w obozie.

Wstał i podniósł karabin, wciąż przyglądając się ciekawej formacji skalnej. Wzruszył ramionami i odwrócił się. Nie przybył do tego samotnego kraju, aby studiować geologię.

Kiedy opuścił ujście kanionu, szybko skierował się z powrotem w stronę obozu. Słońce schowało się za zachodnimi szczytami, a chłodny wiatr wiał mu w plecy, chłodząc go przez mokrą od potu koszulę.

Kiedy zbliżał się do obozu, huknął strzał. Jego echo odbijało się tam i z powrotem, między wzniesieniami terenu, po obu stronach. Hugh ruszył szybciej naprzód, odbezpieczając swojego Sharpa. Niebawem zobaczył ludzi z odnalezionej grupy, stojących za niskim murkiem, za którym rozbili obóz. Greer, ordynans, biegł w stronę muru z karabinem w rękach.

Hugh pojawił się nad obozem. Stevens odwrócił się szybko i uniósł karabin, po czym opuścił go, gdy rozpoznał Hugh. Greer zmęczony dopadł potykając się do muru i oparł o niego karabin.

— Apacze — oznajmił swym wysokim głosem.

Przez szczyt ściany natychmiast zostały przerzucone karabiny. Abel Clymer wyjął swojego Colta i odciągnął kurek. Przechadzał się w tę i z powrotem, jakby znajdował się na pokładzie jakiejś ruszającej do bitwy fregaty.

Hugh zsunął się ze ściany.

— Właź tutaj, Greer — powiedział.

Stevens pomógł Greerowi przejść przez ścianę. Twarz ordynansa była biała ze strachu.

— Czy naprawdę widziałeś Apacza? — spytał Hugh.

— Tak.

Hastings splunął.

— On mógł zobaczyć cokolwiek.

Greer otarł zimny pot z wąskiej twarzy.

— Byłem na straży, Kinzie — powiedział nerwowo. — Wiatr szeleścił w zaroślach. Potem zobaczyłem, jak zarośla poruszają się, jakieś sto metrów ode mnie. W zaroślach było coś ciemnego. Strzeliłem do tego.

Hugh chwycił go za przód koszuli.

— Ale czy widziałeś indiańskiego wojownika?

Greer popatrzył na otaczających go ludzi. Potem odwrócił wzrok.

— No cóż, teraz już nie jestem tego taki pewien.

Clymer uniósł wielką dłoń.

— Powinienem ci przyłożyć i wsadzić ci knebel w gębę — oznajmił.

— Osiodłajcie konie — polecił Hugh. — Przygotujcie juczne muły.

— Dlaczego? — spytał Nettleton. Zwilżył wargi. — Jeśli nie ma tam Apaczów, możemy spędzić noc tutaj.

— Mieliście cały dzień odpoczynku. Konie i muły są już w dobrym stanie. Nie dalibyśmy rady utrzymać tej pozycji, gdyby Apacze wyszli ponad nas. Najpierw spłoszyliby zwierzęta, a potem usiedli na tych skałach nad nami i zaczęli do nas strzelać. Wystrzelaliby nas jak kaczki.

Phillips potarł szczękę.

— On ma rację.

Clymer rzucił Phillipsowi pogardliwe spojrzenie.

— Obaj wpadliście w panikę, tak samo jak Greer.

Nettleton popatrzył w dół kanionu.

— Co znalazłeś, Kinzie?

— Na północ stąd jest szlak.

Nettleton spojrzał na żonę, po czym westchnął głęboko.

— Dobrze! W takim razie możemy udać się do Rio Grande.

— Nie. Nie znalazłem żadnej drogi, w tym kierunku. Ten szlak prowadzi na północny zachód, prawdopodobnie do rzeki San Francisco.

— Nie jedziemy w tamtą stronę — zauważył Clymer.

Hugh popatrzył na niego.

— Więc zostań tutaj. Ja jadę na północ. Jeśli wszyscy chcecie zaryzykować ruszenie tym szlakiem, lepiej jedźcie ze mną.

Nettleton skinął głową.

— W takim razie musimy zaryzykować.

Clymer zakręcił Coltem w palcach, po czym zręcznie wsunął go do kabury.

— Phillips! Zajmij się końmi.

Phillips zrobił się czerwony. Clymer potraktował go, jak kapral instruujący surowego rekruta. Potem bez słowa protestu zawołał Willisa, Pearce'a oraz Stevensa, i poprowadził ich do zwierząt.

Hugh poszedł kanionem na południe. Zatrzymał się w miejscu, w którym było stanowisko strażnika. Kanion był pogrążony w głębokim cieniu. Wysoko nad głową unosił się polujący na swoje ofiary jastrząb. Nagle szybko odleciał na zachód. Nie było tam widać żadnych innych oznak życia, lecz w tym miejscu panowała jakaś ponura atmosfera.

Hugh przebadał wzrokiem zarośla. Poruszały się na wietrze. Nawet bardziej pewny człowiek niż Greer mógłby pomyśleć, że w zaroślach coś się porusza.

Hugh wrócił do obozu. Roswell siodłał konia Hugh.

— Zobaczyłeś coś? — spytał.

Hugh pokręcił przecząco głową.

— Greer łatwo wpada w popłoch — stwierdził Roswell.

— W tym kraju nerwy często zawodzą. Może człowieka najbardziej przeraża to, czego nie widzi.

Roswell skinął głową.

— Wiem, o co ci chodzi.

Hugh podszedł do muru. Pani Nettleton stała koło niego z szalem narzuconym na ramiona.

— Będziesz jechał całą noc po tym trudnym zwiadzie w kanionie? — spytała.

Hugh zdjął kapelusz.

— To moja praca, pani Nettleton.

Zmierzyła wzrokiem jego szerokie ramiona i szczupłą talię. Hugh nagle zdał sobie sprawę ze stanu swoich wąsów i przepoconego ubrania.

— Czuje się pani już lepiej? — spytał.

— Tak, dziękuję. Czy to będzie ciężka droga?

Uśmiechnął się.

— Wszędzie w promieniu pięćdziesięciu mil kwadratowych są tylko ciężkie drogi.

— Czy w ogóle damy radę dotrzeć do Rio Grande?

Uciekł spojrzeniem na bok.

— Z pewnością.

Podeszła bliżej.

— Nie okłamuj mnie.

Popatrzył na nią w dół.

— Więc, dobrze. Szanse wynoszą pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Może nawet mniej.

Popatrzyła na męża. Sprawdzał umocowanie bagaży na mułach w stadzie.

— Maurice martwi się o mnie. Ale ja jestem twardsza, niż mu się wydaje.

Hugh uśmiechnął się.

— Powinna pani być. Jest pani córką szefa Bennetta, prawda?

Uśmiechnęła się.

— Więc znasz go?

— Ja też jestem z Missouri.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

— Od razu czuję się lepiej. Proszę na szlaku trzymać się blisko mnie, panie Kinzie.

— Będę.

Spoglądał, jak z gracją podchodzi do konia. Abel Clymer przytrzymał jej wodze. Popatrzył ponad jej głową na Hugh, a na jego szerokiej twarzy malowała się zimna nienawiść.

Hugh wsiadł na konia. Podjechała do niego Katy Corse.

— Widzę u ciebie te same stare fascynacje — stwierdziła.

— O co ci chodzi, Katy?

Popatrzyła na Marion Nettleton. Clymer stał i rozmawiał z nią, z uśmiechem na twarzy.

— O nią — odparła.

— Co to znaczy?

Katy przechyliła głowę na bok i zmierzyła wzrokiem Hugh.

— Niektóre kobiety lubią wszystkich mężczyzn. Uważają, że mężczyźni zostali umieszczeni na ziemi w jednym celu... aby opiekować się nimi i tylko nimi.

— Katy, daj spokój. Muszę zapewnić tej grupie bezpieczeństwo, a potem pójdę na wojnę. W tej chwili nie mam czasu martwić się o Marion Nettleton, poza doprowadzeniem jej do Rio Grande. — Pchnął konia do przodu ostrogą i zostawił ją.

— Tak się zastanawiam — powiedziała cicho Katy Corse do siebie samej.

Darrell Phillips wysłał Willisa i Stevensa na tyły grupy, po czym podjechał do Katy.

— Jest pani gotowa? — spytał.

Popatrzyła na niego.

— Tak bardzo, jak nigdy przedtem w życiu, panie Phillips.

Nachylił się blisko niej.

— Moi przyjaciele nazywają mnie Darrell.

— W takim razie, Darrell.

— Dzięki — powiedział.

Jechali razem na tyłach grupy.

Rozdział 6

Każdy Apacz w promieniu mili od razu by wiedział, gdzie jest ich poruszająca się z mozołem grupa. Była to myśl Hugh Kinziego, który siedział na koniu przy szlaku i nasłuchiwał hałaśliwej wspinaczki ciemnym kanionem. Kopyta uderzały o skały. Od czasu do czasu ryczał jakiś muł. Metal brzęczał o metal. Ludzie przeklinali. Cała ta kakofonia wzbijała się w nocne niebo i odbijała się głośnym echem od ścian kanionu, wielokrotnie potęgujących każdy hałas.

Hugh był pewien, że tej nocy księżyc będzie w nowiu. Zwiększy to widoczność na szlaku, ale także może ukazać podróżników bystrym oczom Mimbreno. Lecz gdyby nawet podróżowali w atramentowej czerni nocy, odgłosy, które wydawali, zdradziłyby ich każdemu.

Hugh odkroił prymkę tytoniu i włożył ją do ust. Wolałby zapalić, ale wiedział, że lepiej tego nie robić. W miarę jak hałasy czynione przez grupę słabły w oddali, zdał sobie sprawę z naturalnych odgłosów nocy. Jęki wiatru w kanionie. Szelesty zarośli. Od czasu do czasu krzyk jakiegoś nocnego ptaka.

Popatrzył w dół kanionu. Był pewien, że ten sukinsyn Jorge Dura popędził jak na skrzydłach wiatru, aby zaalarmować Mimbreno. Powinien był go zabić z takim samym wyrachowaniem, z jakim lew górski zabija jelenia. Hugh przesunął dłonią po zimnej lufie karabinu. Gdyby zobaczył Durę z Mimbreno, wyprułby sobie flaki, żeby zasadzić się na niego.

Hugh zastanawiał się, na których ludziach z grupy, mógłby polegać w walce. Odrzucił Greera i Nettletona. Greer uciekłby, a Nettleton martwiłby się o żonę. Hastings będzie walczył. Miał ikrę, mimo całej swej niewyparzonej gęby. Stevens i Roswell też dadzą radę. Pearce i Willis będą dbali o własne tyłki. Isaiah Morton padnie na kolana. Phillips, zdaniem Hugh, odznaczał się dużą odwagą. Clymer może być wielkim fanfaronem, który zmięknie, gdy przeciwstawi mu się nawet malutki człowieczek. Wszystko okaże się, kiedy talia wejdzie do gry, lecz Apacze mieli znaczone karty.

Ponownie wsłuchał się w odgłosy nocy. Greer mógł zobaczyć Apacza. Jeśli tak było, będzie ich więcej, pewnie zaczną węszyć w opuszczonym obozowisku jak psy gończe.

Hugh dotknął boków konia ostrogami. Kiedy zmierzał w górę kanionu, za nim była tylko ciemność, ale jego wyobraźnia zaludniała ją Mimbreno, poruszającymi się cicho i szybko ich tropem.

Księżyc rzucał blade światło na kanion, kiedy grupa dotarła do miejsca, w którym antyczny szlak skręcał na północny zachód. Hugh zarządził postój. Światło było na tyle dobre, że mogli kontynuować podróż wielkim kanionem, który dostrzegł wcześniej za zaporą skał.

Ludzie zsiedli z koni. Clymer pomógł Marion Nettleton zejść na ziemię. Katy Corse zsunęła się z siodła i patrzyła na nich. Nettleton podbiegł do żony, spojrzał gniewnie na Clymera, a potem na nią.

— Nic ci nie jest, Marion? — spytał.

— Wszystko z panią w porządku, panie kapitanie — odpowiedział Clymer.

— Nie ciebie pytałem, Abel.

Clymer wzruszył ramionami i podszedł do swego konia. Wziął manierkę i napił się z niej, obserwując Nettletona i jego żonę.

— Wielki ogier pracuje nawet w nadgodzinach, jak zwykle — rzucił suchy głos za Hugh.

Hugh odwrócił się. To był Chandler Willis.

— Masz coś do żucia, zwiadowco? — spytał Willis.

Hugh w milczeniu podał mu swój tytoń. Willis odciął skrawek prymki i schował go w szerokich ustach. Rozgryzł odcięty kawałek, a następnie splunął.

— Bueno! — powiedział.

— Gdzie jest Pearce?

Willis wzruszył ramionami.

— Gdzieś tam. Pewnie zajmuje się odpowiedzią na zew natury.

— Znajdź go. Wracajcie na szlak. Obserwujcie i nasłuchujcie. I na miłość boską, bądźcie cicho.

Willis zapiął pas z rewolwerem.

— Jasne. Bywałem już w pobliżu czerwonoskórych.

— Gdzie?

— Apacze. Komancze. Lipan. Kiowa. Tonka.

— Jesteś z Teksasu?

Willis przesunął żuć i mocno splunął.

— Tego nie powiedziałem, prawda? — Odszedł w cień. — Hej, Dan! — zawołał. — Bierz swój karabin. Mamy wartę.

— Znowu? Nie ma tu innych żołnierzy?

Willis roześmiał się.

— Tylko ty i ja, synku. Vamos!

Dwaj żołnierze ruszyli w dół kanionu. Hugh słyszał, jak Pearce przeklina, potykając się.

Hugh podszedł do grupy.

— Będziemy podążać tym szlakiem jeszcze przez jakiś czas. Jest ciężko, ale damy radę. Odtąd będziemy iść pieszo.

— Co jest przed nami? — spytał Phillips.

— Dalszy ciąg kanionu. Robi się coraz większy w miarę jak się nim idzie.

— Czy można się z niego wydostać?

— Nie wiem.

Clymer uniósł swoją wielką głowę.

— Co masz na myśli?

Hugh oparł się o głaz.

— Dokładnie to, co powiedziałem.

— Nie podoba mi się twoja gęba, zwiadowco. I nie podoba mi się pomysł włóczenia się po tych górach, nieznanymi szlakami.

— Zawsze możesz wrócić.

Clymer zacisnął duże dłonie i oparł je na biodrach.

— Zaufać wyłącznie jednemu człowiekowi. Nie podoba mi się to. Skąd mamy wiedzieć, kim i czym ty jesteś?

— Zajrzyj do cenzusu społecznego — odparł sucho Hugh.

— Kinzie? Kinzie? Jakiś twój krewny był w Fort Buchanan parę tygodni temu?

— Mój brat był tam przez pewien czas. Kapitan Ronald Kinzie.

Clymer podszedł do Hugh.

— Ten zdrajca? Przeszedł do rebeliantów, prawda?

— Nie wiem.

— Nie wiesz, czy nie chcesz powiedzieć? Które?

Hugh wyprostował się.

— Powiedziałem już, że nie wiem.

Clymer uniósł głowę.

— Jest w tobie coś fałszywego, Kinzie.

— I? — odparł spokojnie Hugh.

Clymer podszedł jeszcze bliżej. Rzucił okiem w dół, na Colta w kaburze Hugh.

— Prowadzisz nas na samo dno piekła, nie wiedząc dokąd idziesz.

— Zgadzam się.

— Taaa — prychnął Clymer. — Z jakiego powodu?

Isaiah Morton stanął między nimi.

— Zachowajmy spokój — powiedział.

Clymer odrzucił go na bok jednym ruchem wielkiej ręki. Mężczyzna uderzył mocno o ziemię. Roswell pomógł mu się pozbierać. Nettleton pospieszył naprzód.

— Clymer — oznajmił. — Skończ z tym szaleństwem. Kinzie robi, co może.

— Jego starania nie są wystarczające.

— W takim razie, to ja rozkazuję ci przestać!

Clymer nie odrywał wzroku od Hugh.

— Wracaj do żony, Nettleton — powiedział cicho.

Nettleton zrobił się czerwony.

— Wszyscy tu jesteśmy zdani wyłącznie na siebie — mówił dalej Clymer.

Hugh spojrzał w dół, na Colta Clymera.

— Jeśli jesteś zdany na siebie, Clymer, to najlepiej będzie jeśli rozegramy to teraz.

Rozległ się tupot butów po luźnych kamieniach. Chandler Willis podbiegł do grupy.

— Lepiej się stąd zabierajmy — powiedział. — Zdaje się, że w dole wąwozu są Apacze.

Hastings oderwał wzrok od Clymera i Hugh.

— Ty też coś widziałeś, Willis?

Willis splunął.

— Nic nie widziałem. Ale słyszałem w kanionie rżenie konia, a my nie zostawiliśmy tam żadnego z naszych, prawda, sierżancie?

Hugh popatrzył na Nettletona.

— Lepiej ruszajmy dalej — powiedział. — Będę musiał poprowadzić.

Nettleton skinął nerwowo głową.

— Sierżancie Hastings, zostańcie jako straż tylna z Pearcem i Willisem.

— Tak jest, panie kapitanie.

Clymer wciąż stał jak byk czekający, by stratować sklep z porcelaną. Hugh podniósł swój karabin. Popatrzył na Clymera. Clymer odwrócił się i podszedł do konia.

Isaiah Morton podniósł głos.

— Bądźmy mili dla siebie nawzajem — zaintonował. — Czyż nie jesteśmy wszyscy braćmi?

— Zamknij się! — warknął Clymer. Sprawdził swoje grube sakwy i poprowadził konia w górę kanionu.

— Twardziel — powiedział Jonas Stevens do Hugh. — Nie musiałeś się martwić. Przez cały czas kiedy cię prowokował, miałem wycelowany w jego plecy karabin.

— Dzięki — odparł sucho Hugh.

Hugh przeprowadził jeleniowatego koło małej kolumny ludzi. Wielki płaski wierzchołek góry widoczny był na zachodzie, posrebrzony światłem księżyca, samotny i zimny. Prowadził dalej grupę skalistym szlakiem, wsłuchując się w ciemności za nimi, próbując wyłowić odgłosy kopyt uderzających o skały.

Szlak zrobił się ciemniejszy, kiedy wszedł do wąskiego kanionu. Wszystkie instynkty Hugh Kinziego, wyczulone przez lata życia w niebezpieczeństwie, zdawały się krzyczeć, aby nie wkraczać do tego wąskiego korytarza skalnego. Inaczej było w sytuacji, kiedy wroga można było zobaczyć i do niego strzelać; tutaj nie było niczego oprócz milczącego zagrożenia za nimi. To było najgorsze z tego wszystkiego. Hugh mógł się wycofać. Jakoś by sobie poradził, pieszo lub konno. Ale w jakiś sposób wydawało mu się, że ciągle widzi przed sobą spokojną twarz Katy Corse, która radzi sobie z trudnym szlakiem równie dobrze, jak każdy z mężczyzn.

Hugh przechylił głowę, nasłuchując odgłosów. Wysoko nad sobą widział, jak księżyc srebrzy skały. Skaliste zbocza zdawały się poruszać i kołysać, gdy przemykały po nich cienie poruszanych wiatrem zarośli. Wydawało się, że na barkach Hugh Kinziego spoczęła straszliwa odpowiedzialność, jak na Starym Człowieku z Morza, który dręczył Sindbada. Hugh próbował otrząsnąć się z tego uczucia. Sindbad był wędrowcem, tak jak i on. Mieli ze sobą wiele wspólnego, ale Sindbad zawsze prowadził samotną grę, dbając o tylko swój własny, twardy tyłek.

To był piekielny kraj. Z daleka wyglądał miło i spokojnie, jak śpiący kot. Ale wystarczyło go zdenerwować, a spod jedwabistego futra wysuwały się ostre pazury, by rozerwać człowieka na strzępy. Jeśli ktoś zapuścił się

w głąb tego kraju, od razu czuł, jak potworna samotność otula jego ramiona. Czuł upiorną siłę górskiej nocy, wywoływaną przez cicho jęczący wiatr i migoczące cienie.

Na przykład szlak, którym podążali. Kto go wytyczył? Skąd ci ludzie przybyli i gdzie zniknęli? Przecież już dawno nie żyli. Hugh otrząsnął głowę, aby odpędzić te myśli. Pewien stary zwiadowca powiedział mu kiedyś, że w tym kraju najlepszym zwiadowcą jest człowiek, który używa swojej wyobraźni tylko do tego, aby rozmyślać o alkoholu i kobietach, i odcina ją natychmiast, kiedy do głowy próbują wkraść się mu przerażające myśli.

Przed nim wyłoniła się duża skalna ściana. Poprowadził konia do góry, po nierównej drodze. Na szczycie zatrzymał się i popatrzył w dół. Clymer pomagał Marion Nettleton wdrapać się na pierwsze zbocze. Katy Corse szła tuż za nimi. Hugh słyszał, jak ludzie przeklinali, próbując zmusić wierzchowce i zwierzęta juczne do podążania w górę po śliskich skałach.

Wciągnięcie wszystkich mułów na wierzchołek zajęło im pół godziny. Hastings i jego dwaj ludzie pojawili się, kiedy ostatni muł wspinał się niezdarnie na szczyt.

Nettleton zsunął kapelusz na tył głowy i popatrzył na wielki kanion, skąpany w upiornym świetle księżyca.

— Czy jest tu woda? — spytał.

— Nie wiem. Będziemy musieli racjonować ją sobie.

— Świetnie! — burknął Clymer.

Hastings, Pearce i Willis dotarli na szczyt. Wszystkie oczy wpatrywały się w kanion za nimi. Panowała w nim głęboka samotność. Kiedy ktoś się odzywał, nieświadomie robił to szeptem, jakby znajdował się w nawie jakiejś wielkiej katedry.

Hugh poprowadził konia w dół po stromym zboczu. Nie było sensu mówić pozostałym, aby jechali za nim. Znajdowali się na drodze jednokierunkowej.

Hugh dojechał na sam dół, kiedy jeden z mułów wpadł w dziurę, przewrócił się na bok, a następnie stoczył się w kierunku Hugh. Muł zaryczał tylko raz, po czym wylądował ciężko dziesięć stóp od Hugh.

— Niech cię szlag, Pearce! — krzyknął Clymer. — To twoja wina!

Pearce odwrócił się i spojrzał na oficera z wykrzywioną twarzą.

— A co niby, u diabła, miałem zrobić? Utrzymać go za ten przeklęty kantar?

— Niech cię diabli! Każę cię zakuć w kajdany i zakneblować! Powieszę cię za kciuki! Postawię cię przed sądem wojennym! Zostaniesz wydalony ze służby!

— Możesz gówno zrobić, Clymer! To wszystko, co możesz!

Hastings podniósł karabin. Uderzył Pearce'a kolbą między ramionami.

— Dosyć już tego!

Pearce spadł głową w dół, rozbijając sobie głowę o skałę. Potrząsnął głową i poczuł, że krew spływa mu po twarzy. Otworzył usta i spojrzał na Hastingsa. Potem je zamknął. Ale w jego zimnych, zielonych oczach widać było czystą nienawiść.

Hugh podszedł do muła. Był martwy. Z pomocą Roswella przeciął odciągi i zdjął juki.

— Straciłem dobrego muła dla tego złomu — stwierdził kapral.

Nettleton zatrzymał się za nimi.

— Załóż te juki na innego muła, Roswell.

Roswell odwrócił się z dziwnym wyrazem twarzy.

— Panie kapitanie? Pozostałe dwa muły i tak są przeciążone.

— To włóż je na konia!

— Czyjego?

Wszyscy byli już u podnóża zbocza. Nettleton powiódł wzrokiem po wszystkich ludziach, a potem spojrzał na pakunki.

— To nasze srebra — powiedział pieszczotliwie. — Nasz prezent ślubny od teścia. Co by powiedział, gdybyśmy je tu zostawili?

Willis zaśmiał się cicho, schowany gdzieś za innymi.

Hugh chwycił wodze swojego konia.

— Czy w tych jukach jest jakieś jedzenie?

Nettleton pokręcił przecząco głową.

— Tylko duży komplet sreber i kilka moich dodatkowych mundurów, w które są pozawijane. Być może parę naczyń i jakieś sprzęty gospodarstwa domowego.

— Dobrze! Zostawmy to, tak jak leży.

Nettleton popatrzył na żonę. Przytaknęła i Nettleton poszedł do swojego konia…

Clymer znów zrzędził, gdy Hugh prowadził ich dnem kanionu. Wciąż było ciężko z powodu porozrzucanych skał i gęstych zarośli.

— Nie ma tu wody. Żadnego szlaku — powiedział. — Jesteśmy prowadzeni przez brata buntownika. Co dalej?

Stevens jechał obok Hugh. Obejrzał się za siebie.

— Dlaczego go nie uciszysz, Kinzie? Wiem, że się go nie boisz. Dlaczego pozwalasz mu tak po sobie jeździć? Robi to odkąd do nas dołączyłeś.

Hugh spojrzał na żołnierza.

— Mam zadanie do wykonania, Jonas. Doprowadzić tę grupę do Rio Grande.

— A potem? — Stevens przyjrzał się uważnie pełnej napięcia twarzy Hugh. Hugh nie musiał mu nic mówić. Wszystko było wypisane na twarzy zwiadowcy jak na kartce papieru. — Niech Bóg ma w opiece Clymera — stwierdził cicho.

Rozdział 7

Hugh obejrzał się za siebie, kiedy dotarł do końca zwaliska skał. Przed jego oczyma rozciągała się wychodząca z boku skalna ściana, która niemal przesłaniała kanion. Wyglądała jak wielkie skalne ściany starożytnych. Nie było na niej widać żadnych oznak życia. Na wpół spodziewał się, że zobaczy tam rząd wojowników obserwujących wędrującą u ich stóp grupę.

Ściana za nim wciąż tkwiła mu w pamięci, gdy poprowadził konia przez gęste zarośla. Przypomniał sobie ten dziwny, równy pas skał, który widział wcześniej tego dnia, na lewej ścianie kanionu. Odwrócił się i spojrzał ponownie na skalną ścianę. Szczęka mu opadła. Zatrzymał się jak wryty.

— O co chodzi? — spytał Stevens.

Hugh próbował przełknąć ślinę w suchym gardle.

— Spójrz tam — powiedział chrapliwie.

— Na miłość boską!

Phillips podszedł i stanął za nimi.

— Co tam jest? Apacze? — Potem sam też się zatrzymał i spoglądał ze zdziwieniem w ciemnych oczach.

Na odcinku wielu metrów wzdłuż zbocza płasko ściętej góry, rozpościerał się łukowaty dach ogromnej pieczary. Wypełniało go milczące kamienne miasto zbudowane na tarasach, wspinających się w głąb wielkiej jaskini. Światło księżyca oblewało podziurawione ściany łagodnym blaskiem. Okna i drzwi wyróżniały się ostrymi cieniami. Gdzieniegdzie wznosiła się okrągła lub kwadratowa wieża, przerywając nieregularną linię głównych zarysów konstrukcji. Wyglądało to jak średniowieczny zamek przeniesiony za pomocą magicznych środków w góry Nowego Meksyku.

Reszta grupy stłoczyła się za nimi.

— Co was zatrzymało? — warknął Nettleton.

Phillips w milczeniu wyciągnął rękę i wskazał na zbocze góry.

— Co za dziwaczna formacja skalna — zauważyła Marion Nettleton.

— To nie jest prawdziwe, prawda? — spytał Dan Pearce.

— Słyszałem o takich miejscach — powiedział powoli Darrell Phillips. — To mieszkania na skalnej ścianie.

— Jest tam ktoś? — spytał Willis. Podniósł swój karabin.

Hastings splunął.

— Widziałem kiedyś takie miejsce w Arizonie. Tylko nie było aż tak duże.

Harry Roswell podszedł do przodu.

— Jest z pewnością prawdziwe. Coś podobnego jest też w pobliżu Santa Cruz. Brudasy nazywają go Casa Grande.

— Kto to zbudował? — spytała Katy Corse.

— Hohokamowie... Starożytni — odparł cicho Hugh. — Zauważyłem to późnym popołudniem, ale trudno było to dobrze zobaczyć. Powinienem był wiedzieć, co to jest... te niegdysiejsze pola uprawne, które widzieliśmy po drodze... szlak w miejscu, w którym nie powinno go być.

Stali tak w świetle księżyca, patrząc na skalną ścianę. Nagle jeden z mułów zaryczał głośno, a echo jego ryku odbiło się od ściany klifu. Hugh odwrócił się szybko i uniósł karabin.

— Zamknij się! — krzyknął Clymer na muła.

— Jeden osioł każe drugiemu, żeby się zamknął — skomentował to Willis.

Hugh cofnął się i popatrzył w stronę skalnej ściany za nimi. Muły były najlepszymi wartownikami w kraju Indian. Potrafiły wyczuć wojowników na milę.

Coś poruszyło się u podnóża skalnej ściany. Hugh uniósł karabin, a po chwili go opuścił. Zaczynał się robić równie nerwowy jak Greer. Przyjrzał się ciemności u podnóża zbocza po którym weszli. Coś poruszało się w pobliżu muła. Może jakiś włóczący się kojot. Jedno wiedział na pewno: Apacze uwielbiali słodkie mięso mułów.

Cofnął się w stronę grupy.

— Obejdźmy te skały — powiedział przez ramię.

— Co się stało? — spytał Nettleton.

— Nie wiem. Coś jest u podnóża skalnej ściany, koło muła.

— Moje srebra!

— Do diabła z pańskimi srebrami! Ruszać się!

Hugh obserwował miejsce, w którym wydawało mu się, że widzi ciało muła. Kopyta zastukały za nim, kiedy konie i muły zostały sprowadzone ze szlaku.

Roswell podszedł koło Hugh. Zwilżył wargi.

— Widzisz ich?

— Nie.

— Są tam?

— Myślę, że tak.

— Nie możemy tutaj walczyć.

— Nie zaatakują w nocy.

— Taaa. Ale co ze świtem?

— I na tym właśnie polega problem. Pogoń resztę w stronę klifu z domami, szybko!

Hugh usłyszał zirytowany głos Nettletona.

— Dlaczego chce, żebyśmy tam poszli?

— Nie damy rady odeprzeć ataku tutaj, na otwartej przestrzeni, panie kapitanie — powiedział Roswell.

— On ma rację — potwierdził Phillips.

— A co, jeśli tam są Indianie?

Clymer roześmiał się.

— Jeśli tam są, to nie żyją od kilkuset lat. Bez obaw, panie kapitanie, chyba że boi się pan duchów.

— Nadwyręża pan moją cierpliwość, panie Clymer!

— Jezu Chryste — mruknął Hugh sam do siebie.

Hugh wycofał się za skalny występ i ruszył za resztą. Narobili tyle hałasu, że każde uśpione echo w tym wielkim kanionie zaczęło się budzić.

Pod domami rozciągało się wielkie piarżysko z pokruszonych kamieni, poprzetykanych kolczastymi krzakami. Konie płoszyły się na nim, ale dwa muły parły dalej. Nettleton ruszył w górę zbocza, ciągnąc Marion za ramię. Katy Corse popatrzyła na Hugh.

— Jak z tobą, dobrze się czujesz?

Hugh otarł pot z twarzy.

— Tak.

Dan Pearce stał z boku, wpatrując się w srebrzyste domy.

— Na Jezusa, Chand — powiedział do Willisa — może tam jest jakiś skarb. Może nawet złoto.

Willis popatrzył szybko na pozostałych.

— Zamknij się, przeklęty głupcze — warknął.

Hurkocząc kamieniami, zmierzali w górę zbocza. Hugh szedł jako ostatni. Wschodni kraniec kanionu wydawał się pozbawiony życia. Może tylko mu się przywidziało, że coś poruszyło się w pobliżu martwego muła.

Wzdłuż brzegu pierwszego tarasu ciągnął się niski, nierówny murek z nieoszlifowanych kamieni. Znaleźli miejsce, w którym się rozpadł i przez powstałą lukę wyprowadzili zwierzęta na długi taras z płaskich kamieni o nieregularnych kształtach. Szczeliny między nimi wypełnione były ubitą ziemią. Tu i ówdzie wzdłuż tarasu widoczne były okrągłe obszary, pośrodku których znajdowało się coś w rodzaju zapadni. Z niektórych z nich wystawały trzony prymitywnych drabin.

Ściany ściśle połączonych ze sobą budynków podziurawione były małymi prostokątnymi oknami i drzwiami, o dziwnych kształtach. Wyglądały jak wielka litera T z wyjątkowo szeroką poprzeczką u góry. Gdzieniegdzie o parapety drzwi na wyższych piętrach wciąż opierały się prymitywne drabiny. Pozapadane drewniane chodniki opierały się na belkach wystających ze ścian, tworząc wejście do mieszkań na drugim piętrze.

Z bliska budowle nosiły wyraźne ślady zniszczenia. Część dachów była pozawalana, wypełniając wnętrza niewielkich pomieszczeń. Niektóre ściany rozpadły się, zaśmiecając tarasy i przejścia między budynkami. Na skrawkach ziemi tu i ówdzie wyrastały kępy roślinności, a gdzieniegdzie jakieś uparte drzewa zakorzeniły się w miejscach, gdzie wiatr zaniósł ich nasiona.

Nikt się nie odzywał. Przyglądali się starożytnym budowlom pytającymi spojrzeniami. Ciszę przerywało jedynie tupanie któregoś ze zwierząt i westchnienia wiatru przelatującego przez otwory w budynkach.

Hugh w końcu wyrwał się ze swego transu. Przeszedł na dalszy kraniec tarasu i popatrzył w dół, na oświetlony księżycem kanion. Naprzeciwko ruin, gdzieś z wysoka zawył kojot. Chwilę później kolejny kojot odpowiedział pierwszemu, tym razem ze wschodniego krańca kanionu. Hugh skinął głową. Apacze byli ekspertami w naśladowaniu głosów zwierząt, lecz wyćwiczone ucho mogło wykryć różnicę. Ilu ich tam było? Jeśli byli już po drugiej stronie kanionu, mogli również zablokować drogę do rzeki San Francisco. Nadszedł czas na podjęcie decyzji. Zostać w

ruinach, gdzie mogliby się bronić, czy spróbować dotrzeć do jedynego wyjścia z kanionu. Jeśli Apacze dopadną ich na dnie kanionu, zetrą ich z powierzchni ziemi. Jeśli grupa pozostanie w ruinach, będą osaczeni, dopóki głód i pragnienie nie wypchną ich wreszcie na otwartą przestrzeń. Byli skazani, jeśli wyruszą dalej i skazani, jeśli tego nie zrobią.

Darrell Phillips podszedł do tarasu, wciąż wpatrując się w starożytne budowle.

— Niesamowite — powiedział, kiedy dotarł do Hugh.

— Tak.

— Jak myślisz, jak długo tu stoją?

— Quién sabe?

Kojot zawył w oddali na zachodzie. Hugh skinął głową. Darrell Phillips spojrzał zaciekawiony na Hugh.

— Co się stało?

— Posłuchaj.

Wiatr jęczał w kanionie. Mijały minuty. Potem z zachodu, od strony krańca ruin wychodzącego na kanion, dobiegł skowyt kojota. Sieć teraz już ich otoczyła całkowicie. Połów był w sieci.

— To tylko kojot — stwierdził Phillips. Roześmiał się.

— Nie, Mimbreno.

— Jesteś pewien?

Hugh tylko spojrzał na młodego oficera. Phillips skinął głową.

— Powinienem być mądrzejszy, i nie pytać.

Phillips machnął ręką w stronę skalnych ścian za nimi.

— To dziwna rzecz. Ci ludzie byli ludem rolniczym, prawdopodobnie prostym i spokojnym. Dlaczego zbudowali swoje miasto tutaj, w tak trudno dostępnym miejscu, skoro równie dobrze mogliby to zrobić na równinach?

— Ty mi powiedz.

— Ponieważ coś ich tutaj przygnało, zmuszając do zbudowania fortecy, w której będą mogli zamieszkać, tak jak nasi przodkowie w mrocznych wiekach, kiedy bandy rabusiów przemierzały okolice.

— Więc?

— Apacze są nomadami, podobnie jak Navajo. Czy przypuszczasz, że to ich przodkowie zmusili tych ludzi do życia w taki sposób?

— To możliwe.

Phillips podniósł kamień i przerzucił go przez ścianę. Uderzył daleko w dole, a następnie z grzechotem spadł po zboczu.

— Jest tu pewna ciekawa zbieżność, Kinzie.

— Tak?

Phillips popatrzył na oświetlony księżycem kanion.

— Skryliśmy się tutaj, ponieważ my również jesteśmy zmuszeni chronić się przed koczowniczymi rabusiami.

— Pojmuję, o co ci chodzi.

— Niepokoi mnie jeszcze jedna sprawa.

— Tak?

Phillips popatrzył na Hugh.

— Co się stało z ludźmi, którzy tu mieszkali?

Hugh zsunął kapelusz na tył głowy.

— Rozumiem, co masz na myśli. Powiem ci tak: Jeszcze mnie nie załatwili. Żaden przeklęty Mimbreno nie będzie gdzieś tam siedział, jak pająk w swojej sieci, czekając, aż Hugh Kinzie w nią wpadnie. Chodźmy! Mamy dużo rzeczy do zrobienia.

Ruszyli z powrotem wzdłuż tarasu. Phillips zerknął na Hugh.

— Całkiem dobrze znałeś Katy Corse przed wojną, prawda?

— Już raz mnie o to pytałeś.

— Tak.

— Dlaczego więc pytasz mnie ponownie?

Phillips zarumienił się.

— Zdaje się, że zapomniałem.

— Niech pan nie żartuje, panie Phillips. Nie mam do niej żadnych praw.

Phillips uśmiechnął się.

— Dzięki.

Hugh zatrzymał się i chwycił młodego oficera za ramię, obracając go z łatwością tak, że stanął ze zwiadowcą twarzą w twarz.

— Mówiłeś wtedy, że byłaby dobrą żoną dla żołnierza. Powiedziałem, że byłaby dobrą żoną dla każdego mężczyzny. Czy wyraziłem się jasno?

Phillips próbował się wyrwać, ale silne palce wbiły się w jego lewy biceps jak stalowe druty.

— Nie groź mi, Kinzie — rzucił przyciszonym głosem.

Hugh puścił go.

— Nie groziłem ci. Przypominałem ci tylko, że Katy Corse jest damą, równie dobrą jak każda inna, którą kiedykolwiek spotkałeś, i o wiele bardziej prawdziwą kobietą niż Marion Nettleton. — Hugh podszedł do pozostałych.

Nettleton popatrzył w dół na opustoszałą dolinę.

— Są tam?

Hugh skinął głową.

— Zostaniemy tu, dopóki nie zyskamy pewności, że odeszli.

— Jak długo to potrwa?

— Quién sabe?

— Nie podoba mi się to, Kinzie. Mamy bardzo mało jedzenia i wody.

Hugh popatrzył na dwa juczne muły.

— Może być tutaj trochę wody. A jeśli chodzi o jedzenie... no cóż, te trzy muły, z którymi wyruszyliście, mogłyby unieść dosyć zapasów żywności dla całego plutonu.

— Jasne, jasne — stwierdził Clymer. — Ale teraz nic już nie możemy z tym zrobić.

— Możemy natomiast zrobić coś takiego — oznajmił spokojnie Hugh. — Umieśćmy całą naszą żywność pod strażą i zacznijmy ją racjonować. Jeśli dopisze nam szczęście, może uda nam się upolować jelenia lub niedźwiedzia. Do tego czasu będziemy mieli ograniczone racje żywnościowe.

Nettleton zwilżył wargi.

— Sierżancie Hastings — powiedział — zajmijcie się całą żywnością i zbierzcie manierki. Umieśćcie je w jednym z tych małych pomieszczeń i postawcie przy nich strażnika.

Hastings zasalutował.

— Stevens i Greer! Chodźcie ze mną. Sprawdźcie wszystkie torby pod siodłami, kantary i popręgi pod kątem możliwości zjedzenia ich.

Willis oparł się o ścianę. Zerknął na dwa juczne muły.

— Mam nadzieję, że wliczono w to alkohol Nettletona — powiedział. — Przydałaby mi się szklaneczka lub dwie.

Abel Clymer podszedł do swojego konia. Zdjął torby do siodła.

— Greer! — polecił. — Sprawdź, czy nie ma w nich jedzenia.

Greer podszedł do niego. Śmiertelnie bał się Apaczów, ale wyglądał, jakby wolał stawić czoła im, niż Ablowi Clymerowi.

— Jestem pewien, że nie ma tam żadnego jedzenia — powiedział.

— Sprawdź je! — powiedział Hugh.

Clymer zarumienił się. Myślał, że wybrał człowieka, który mu się podporządkuje, w osobie Greera, i miał co do tego rację, ale nie spodziewał się ingerencji Hugh Kinziego.

Greer rozpiął jedną z toreb i włożył do niej ręce. Rozejrzał się, po czym wyciągnął ręce i otworzył drugą torbę. Pogmerał również i w niej. Nagle popatrzył na Clymera z dziwnym wyrazem twarzy. Clymer przyglądał się uważnie małemu urzędnikowi. Greer cofnął ręce i zapiął paski.

— W porządku, panie poruczniku — powiedział. — Jest pan czysty.

Clymer splunął na ścianę i przewiesił sakwy przez lewe ramię.

— Willis! — polecił. — Posprzątaj jeden z pokoi dla pani Nettleton.

— Tak jest, panie poruczniku. — Willis podszedł do rzędu budynków. Zerknął przy tym na juczne muły. Przydałby mu się teraz porządny drink.

Hastings ułożył jedzenie pod ścianą. Było tam około tuzina puszek peklowanej wołowiny, kilka płatów suszonego bekonu, kilka pojemników z podpłomykami. Niewielka ilość, którą przywiózł ze sobą Hugh, została dodana do tego stosu.

— Nie jest tego dużo, prawda? — spytał Stevens Hugh.

— Wystarczy na dwa dni, gdyby to troszeczkę rozmnożyć.

— Bóg to zapewni — oświadczył uroczyście Morton.

— Lepiej niech już zacznie to robić — odparł Pearce.

Clymer podszedł do jednego z otworów w podłodze tarasu. Sprawdził drabinę ręką.

— Za słaba dla mnie. Kto tu jest najlżejszy? Ty... Greer!

Greer otarł usta brudną dłonią.

— Ja... panie poruczniku?

Clymer skinął niecierpliwie głową.

— Zejdź tam na dół.

Greer podszedł do drabiny i popatrzył w dół, do dziury.

— Nie mam żadnego światła.

Clymer podał mu pudełko zapałek fosforowych. Greer wziął je i wyciągnął jedną. Przeciągnął zapałką po sprzączce paska i przytrzymał ją w otworze. Zapałka rozpaliła się w strumieniu powietrza. Wrzucił zapałkę do otworu i wpatrywał się za nią.

— Nic nie widzę — powiedział.

Clymer popchnął Greera w stronę otworu.

— Wchodź do środka — polecił.

Hugh odwiązał od siodła linę i podszedł do Greera. Zrobił pętlę na końcu liny i przeciągnął ją Greerowi przez głowę, a następnie przez ręce. Zacisnął pętlę wokół klatki piersiowej Greera.

— No, dalej — powiedział.

Na szczupłej twarzy Greera pojawił się nieskrywany strach.

— Co tam jest, Kinzie?

Hugh uśmiechnął się.

— Podłoga. To przecież nie szyb kopalniany.

— Jesteś pewien?

— Nie jestem pewien niczego, poza tym, że nie puszczę tej liny. — Hugh przymocował swój koniec liny do siodła, a następnie zwinął luźny koniec.

Clymer rzucił z wściekłością.

— Ruszaj, Greer.

Mały człowieczek popatrzył na Hugh, a potem na Clymera. Potem ostrożnie postawił stopy na drabinie i zaczął schodzić. Nie spieszył się. Hugh słyszał, jak ciężko oddycha, sprawdzając każdy chwiejny szczebel.

Clymer zsunął kapelusz na tył głowy.

— Przeklęty tchórz — powiedział.

— Nie widziałem, żebyś sam popędził tam na dół, Clymer — zauważył Hugh.

Z dołu nie dochodziły żadne dźwięki. Nagle coś trzasnęło. Z dziury buchnął jak armatnia kula piskliwy wrzask. Pękło coś drewnianego, a potem rozległ się odgłos spadającego ciała. Sądząc po odgłosach, Greer nie spadł z wysoka. Hugh wybrał linę. Mały urzędnik krzyknął ponownie.

— Pomóż mi! — rzucił ostro Hugh do Clymera. Wyciągnęli Greera, przeciągając go przez dziurę. Hugh wpatrywał się w twarz Greera. Była zalana krwią.

Marion Nettleton krzyknęła:

— Co jest, tam na dole!

Greer osunął się na ziemię, obmacując się po zakrwawionej twarzy. Z jego ust co jakiś czas wydobywały się niezrozumiałe krzyki.

— To było straszne! — w końcu udało mu się wykrztusić.

Hugh złapał Greera za kołnierz.

— Co, głupcze! — zawołał. — Co takiego tam zobaczyłeś?

Oczy Greera były wielkie i wytrzeszczone.

— Nic! Niczego nie widziałem! To chodzi o uczucie, które miałem tam na dole.

Hugh odwiązał linę od Greera. Przełożył sobie jej koniec pod pachami i zawiązał ją.

— Stevens — powiedział, — wybieraj luz, kiedy będę schodził.

Hugh zanurzył się w ciemnościach, macając nogami szczeble drabiny, w miarę schodzenia. To była tylko niewielka wysokość. Dotknął stopami twardej ziemi i lekko poluzował linę. Zapalił zapałkę i rozejrzał się. Migoczące światło dużej zapałki ukazało okrągłe pomieszczenie, mające

może dwadzieścia stóp średnicy. Dookoła, ściany otaczała nisko położona półka, a z niej wznosiło się kilka niewysokich pilastrów podtrzymujących dach. Półka była podtrzymywana przez pomysłową konstrukcję z drewnianych belek pokrytych twardą ziemią tarasu.

Hugh zapalił kolejną zapałkę. Ubita podłoga była zbryzgana krwią z nosa Greera. Kiedy tam stał, Hugh poczuł dziwne uczucie. Pociągnął za linę, a następnie wspiął się po drabinie, ręka za ręką, aż wyszedł na taras. Popatrzył na pozostałych.

— Tam na dole nic nie ma — powiedział.

Greer wycierał twarz.

— Nie ma? Może to coś, czego nie widać, ale tam na dole coś jest, Kinzie, i ty to wiesz. Widzę to w twoich oczach!

Niektórzy z przyglądających się ludzi byli zdenerwowani. Inni stali ze ściągniętymi twarzami. W całym tym zdarzeniu było coś, co wzbudziło w ich umysłach dziwne myśli. Całe to miejsce miało w sobie coś niesamowitego, niepokojącego, jakby przez cały czas obserwowały ich czyjeś niewidzialne oczy.

Willis wyszedł się z pomieszczenia.

— Całkiem nieźle je wysprzątałem — powiedział. — Tam było mnóstwo śmieci. Pani Nettleton, będzie pani tam dobrze.

Nettleton popatrzył na Greera.

— Pomóż pani Nettleton, żeby się tam urządziła. Tylko na litość boską, zmyj resztę krwi z twarzy. — Nettleton odwrócił się następnie w stronę Clymera. — Proszę zorganizować warty, panie Clymer.

Clymer popatrzył na Phillipsa.

— Proszę się tym zająć, panie Phillips — polecił krótko.

Później, kiedy Hugh wnosił swoje koce do jednego ze schronień, które wciąż miało dach, popatrzył na taras. Stevens chodził tam i z powrotem na jednym z jego końców. Pearce oparł się o ścianę na drugim końcu. Konie zostały rozsiodłane, a juki mułów rozładowane. Gdzieś w jednym z małych pomieszczeń usłyszał przenikliwe chrapanie. W kanionie nadal nie było widać śladu życia.

Hugh rozłożył swoje koce. Harry Roswell uniósł głowę w miejscu, w którym leżał.

— Myślisz, że będą nas dziś niepokoić? — spytał.

Hugh ściągnął buty.

— Mało prawdopodobne. Chyba że spróbujemy odejść. Nie lubią tych miejsc. Miejsca Umarłych, tak je nazywają. Będą czekać, aż będziemy zmuszeni stąd się wycofać.

— Wtedy dostaniemy za swoje.

— Może… a może nie.

Hugh położył się na kocu i popatrzył w górę na ciemny sufit małego mieszkania. Zastanawiałem się, ile lat minęło, odkąd sypiali tu budowniczowie tego pomieszczenia.

Roswell przewrócił się na bok i znów popatrzył na Hugh.

— Co się stało Greerowi, tam na dole? — spytał cicho.

— Nerwy.

— Czułeś coś tam na dole?

— Nie.

Roswell potarł szczękę.

— Wyglądałeś trochę blado, kiedy stamtąd wyszedłeś.

Hugh podniósł się na łokciu.

— Posłuchaj, Harry. Nie podoba mi się to miejsce. Nie podoba mi się sytuacja, w której się znaleźliśmy. Ale nie zamierzam leżeć bezsennie i rozmawiać o duchach, jeśli o to ci chodzi.

Roswell położył się i zasłonił oczy prawą ręką.

— Przepraszam, Hugh — powiedział.

Wiatr zawodził przez małe okienko i niewielkie drzwi. Wzdychał pod wielkim łukiem jaskini wysoko nad ruinami na skalnej ścianie. Gdzieś w dole kanionu cicho zawył kojot.

Rozdział 8

Hugh wstał o świcie. Kiedy wyszedł na taras, zadygotał na zimnym wietrze. Roswell stał na straży z Greerem. Hugh skręcił sobie papierosa i podał bibułki Roswellowi.

— Jak poszło, Harry?

Roswell popatrzył na ciemny kanion. Wzruszył ramionami.

— Spokojnie jak w grobowcu.

Hugh uśmiechnął się.

— Zgrabne porównanie.

Roswell zapalił papierosa.

— Greer zachowuje się dziwnie.

— Co się stało?

— Coś w nim pękło.

Hugh skinął głową.

— Spodziewałem się tego. Idę się rozejrzeć.

Hugh popatrzył na Greera, przechodząc za małym urzędnikiem. Greer stał na skraju tarasu, patrząc w ciemność kanionu i mamrocząc coś cicho do siebie.

Hugh przeszedł przez stertę gruzu w przejściu między dwoma domami. Wysoko nad nim na łukowatym sklepieniu wielkiej pieczary widoczne były ciemniejsze smugi głębokiej czerwieni. Zlewały się one w czarne plamy tam, gdzie kończyło się sklepienie pieczary. Smugi występowały w prawie regularnych odstępach i Hugh w końcu doszedł do wniosku, że to pewnie dym z ognisk odbarwił czerwonawo-brązową skałę.

Za tylnymi ścianami ostatniego rzędu domów znajdowała się trójkątna przestrzeń, tworząca długie przejście między ścianami, a pochyłym sklepieniem pieczary. Było ono mocno zaśmiecone. Hugh wziął do ręki pięknie ukształtowaną ceramiczną misę, ozdobioną czarno-białym wzorem.

Hugh przeszedł przez całą długość korytarza, do jego wschodniej części. Kończył się on pustą ścianą, poplamioną dymem jakichś starożytnych ognisk. Ruszył z powrotem na drugą stronę, czując absolutną samotność tego miejsca. Po drodze znalazł kwadrat maty z juki, kawałki ceramiki i krzemienny grot strzały.

Doszedł do zachodniego krańca przejścia. Tutaj znajdował się półokrągły obszar, zaśmiecony kaczanami suszonej kukurydzy. W ścianie jaskini znajdował się wielki uskok, tworzący wąską szczelinę w kształcie litery V. Została ona starannie wypełniona zaprawą skalną. Hugh ominął kruszącą się ścianę na końcu korytarza i przeszedł przez wąskie drzwi na dolne piętro kwadratowej, trzypiętrowej wieży. Na kolejne piętro prowadziła odrapana drabina zbita drewnianymi kołkami. Hugh wspiął się

na drugie piętro. Nie było drabiny prowadzącej na trzecią kondygnację, ale udało mu się stanąć na stercie gruzu, chwycić krawędź górnego otworu i wciągnąć się na najwyższą kondygnację. Z jednej strony dach się zawalił. Światło wczesnego poranka wpadało przez okno i wlewało się przez dziurę w dachu.

Hugh podszedł do okna i trzymając w pewnej odległości od niego, wyjrzał na kanion. Z wieży można było obserwować cały obszar przed ruinami. Na zarośniętym dnie kanionu nie było ani śladu życia. Hugh popatrzył na jego przeciwległą ścianę. Mógłby przysiąc, że zarośla w pewnym momencie poruszyły się nieco, jakby pod wpływem wiatru.

Hugh skręcił sobie kolejnego papierosa i przyjrzał się dokładniej kanionowi. Dobry strzelec w wieży mógł kontrolować całe zbocze przed ruinami. Wiedział, że daliby radę utrzymać ruiny nawet przed pięćdziesięcioma Mimbreno. Ale czy Mimbreno zaatakują? Było to miejsce umarłych, a ich przesądy i lęki działały na nich na tyle mocno, że trzymali się od niego z daleka. Mogli jednak poczekać, aż brak jedzenia i wody wypędzi białookich z ruin. Nie powinno im to zająć zbyt wiele czasu.

Hugh popatrzył na taras pod sobą. Willis rozpalał ogień z połamanych słupów dachowych. Stevens napełniał wodą z manierki duży dzbanek do kawy. Greer kucał oparty o front jednego z budynków, jego chude ręce zwisały mu przed kolanami. Morton stał na tarasie tuż pod wieżą ze zniszczoną Biblią w rękach.

Z jednego z domów wyszła Katy Corse. Odgarnęła do tyłu długie włosy i wepchnęła grzebień z jednej strony grubych, czarnych warkoczy. Podeszła do krawędzi tarasu i stanęła tam, oddychając głęboko świeżym, porannym powietrzem. Hugh pomyślał, że Katy Corse wszędzie czułaby się jak w domu.

Darrell Phillips podszedł do Katy. Roześmiała się, kiedy coś do niej powiedział. Stali tam razem, spoglądając w stronę kanionu, prawie tak jakby byli bezpieczni w jakimś parku na wschodzie.

Dan Pearce wyszedł spomiędzy dwóch budynków, popatrzył w górę i w dół tarasu, po czym ukradkiem schował się z powrotem w przejściu. Pierwszy sierżant Hastings sprawdzał niewielkie zapasy żywności, kręcąc przy tym głową. Harry Roswell sprawdzał ustawione wzdłuż końca tarasu konie.

Kapitan Nettleton wyszedł z pomieszczenia, w którym spędził noc:

— Kawa gotowa, Stevens? — zawołał.

— Nie, panie kapitanie.

— Pośpiesz się.

— Ogień nie jest dostatecznie gorący.

Nettleton uniósł ręce w gniewie. Zajrzał do pomieszczenia, które właśnie opuścił.

— To nie potrwa długo, kochanie — powiedział.

Hugh pomyślał o braku wody. Może powinien zabronić Stevensowi robienia kawy. Ale miał już dosyć kłótni, nie posuwając się do pozbawiania ich porannego napoju.

Hugh zszedł na drugie piętro wieży. Z pierwszego piętra doleciał zaskoczony okrzyk, a potem tupot butów po zasypanej gruzem podłodze.

Hugh zajrzał na dół, przez otwór. Pierwsze piętro było puste. Obrócił się na pięcie i skoczył do bocznego okna, spoglądając w dół, na wąskie przejście pomiędzy murem, a tylną ścianą wielkiej pieczary. Było tam pusto. Coś jednak zobaczył. Naprzeciwko niego znajdowała się skalna półka, opadająca nieco ku skale. Na ścianie nad nią lśniła cienka strużka wilgoci.

Hugh podciągnął jedną z pozbijanych drewnianymi kołkami drabin i przerzucił ją przez pustą przestrzeń między wieżą a skalną półką. Przeszedł na drugą stronę. Znajdowała się tam płytka misa skalna z wodą, w ilości ledwie wystarczającej do lekkiego zmoczenia skały. Ze strużki przy ścianie powoli kapały do niej kolejne krople. Wody było zbyt mało, aby utrzymać przy życiu choćby jedną osobę, a co dopiero trzynaście.

— Trzynaście! — powiedział na głos.

Przeszedł po drabinie z powrotem i odłożył ją na miejsce, w którym ją znalazł. Przez pewien czas zachowa wiedzę o wodzie dla siebie, dopóki nie wymyśli, co robić. Ruszył z powrotem do trójkątnego przejścia. Nie było w nim żywego ducha.

Hugh wyszedł na taras. Na jego drugim końcu pojawił się Abel Clymer i popatrzył na Hugh, po czym podszedł do ogniska. Hastings rozdzielał mięso i suchary.

— Willis — powiedział — ty i Pearce weźmiecie poranną wartę.

Willis zatrzymał się z mięsem w połowie drogi do swych szeroko rozwartych ust.

— Do diabła, sierżancie! Ostatniej nocy też miałem cztery godziny.

— Nie prowadzimy w tym oddziale grafiku wart.

Willis spojrzał na Phillipsa, na Clymera, a potem na Hugh.

— Niektórzy z nich przespali całą noc — powiedział.

Hugh oparł się o ścianę.

— W ciągu dnia wystarczy nam jeden wartownik — powiedział. — Wyślij go do wieży na zachodnim krańcu. Będzie stamtąd widział cały taras, zbocze i sporą część kanionu. Dobre pole ostrzału.

Clymer przez chwilę spoglądał w oczy Hugh, po czym wielki oficer odwrócił wzrok.

— Kapitanie Nettleton — oznajmił głośno — jak długo zamierzamy tu zostać?

Nettleton odstawił kubek z kawą.

— Dopóki nie będziemy pewni, że wokół tych ruin nie ma Apaczów — powiedział.

Clymer roześmiał się.

— Jeszcze żadnego nie widzieliśmy. Może ich tam w ogóle nie ma.

— Zejdź w dół zbocza — poradził mu Hugh. — Przejdź się trochę w górę lub w dół kanionu. Jeśli nie wrócisz, będziesz wiedział, że tam są.

— Nie podoba mi się to — oświadczył Clymer. Popatrzył na Hastingsa. — Wyślij człowieka, żeby się rozejrzał.

Hastings wstał. Wytarł swe duże dłonie o uda.

— Jednego człowieka, panie poruczniku?

— A co, miałeś zamiar wysłać cały oddział? — spytał sarkastycznie Clymer.

Hugh skręcił sobie papierosa. Zmierzył wzrokiem Clymera.

— Poproś o ochotnika, Hastings — zasugerował.

Wszyscy ludzie odwrócili wzrok. Hastings zwilżył popękane wargi.

— Jacyś ochotnicy? — spytał niepewnie. Nikt się nie odezwał.

Hugh przesunął się odrobinę.

— Ma pan tu dwóch dobrych młodszych oficerów, kapitanie Nettleton. Dobry oficer nie wysłałby człowieka do wykonania zadania, którego sam by się nie podjął.

Clymer popatrzył groźnie. Phillips zbladł pod opaleniznę. Nettleton wstał i postawił kubek z kawą na kamieniu.

— A czemużby nie — oznajmił jasno. — To jest to! Panie Clymer, pan i pan Phillips zdecydujcie między sobą, kto ma pójść.

Clymer popatrzył na Phillipsa.

— Ty pójdź — powiedział.

Phillips poszperał w kieszeni spodni.

— Może rzucimy o to monetą — powiedział spokojnie.

Clymer parsknął.

— Zapomnijmy o tym. Zapomnijmy o całej tej sprawie! — Tupiąc odszedł po tarasie.

Willis roześmiał się cicho, podnosząc karabin i idąc w stronę wieży, aby stanąć na straży.

****

Popołudniowy upał zdawał się okrywać cichy kanion niczym gruby koc. Nie było nawet śladu powiewu wiatru. Nic się nie poruszało. Niebo było bezlitośnie błękitne, bez choćby jednej chmurki, która mogłaby zasugerować możliwość schronienia się przed palącym słońcem.

Hugh siedział w wieży i przyglądał się odległej ścianie kanionu przez lornetkę polową, czując, jak lepki pot spływa mu po bokach. Opuścił szkła i przetarł zaparowane soczewki chustką. Od czasu do czasu któryś z koni skomlał żałośnie, na co odpowiadało mu suche rżenie muła. Coś zaszurało pod Hugh. Odwrócił się i spojrzał na otwór w podłodze.

Z pierwszego piętra dobiegło jakieś grzechotanie. Hugh schował lornetkę do pokrowca i delikatnie podszedł do otworu. Popatrzył w dół przez oba otwory. Dotarł do niego odgłos ostrego sapania. Hugh poruszył się lekko. Kawałek kamienia przetoczył się przez krawędź otworu i spadł na zbitą drewnianymi kołkami drabinę, która ustawiona była pomiędzy pierwszym a drugim piętrem. Buty zachrupały o gruz.

Hugh podskoczył do bocznego okna wieży. Wystawił głowę przez okno. Popatrzył na niego Dan Pearce.

— Co cię niepokoi, Dan? — spytał Hugh.

Pearce zarumienił się.

— Woda — powiedział.

— Będziesz musiał poczekać.

— Willis mówi, że gdzieś tu jest woda.

— Jest. Ale nie w pomieszczeniu na pierwszym piętrze.

Pearce popatrzył w dół.

— Do diabła — wyznał. — Pomyślałem, że może tu być coś, co można by zabrać ze sobą.

— Na przykład?

— Na przykład złoto.

Hugh wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Ci ludzie byli biednymi rolnikami, Pearce.

Pearce zmrużył oczy, patrząc w górę.

— Znalazłeś coś?

— Ceramikę. Groty strzał. Maty. To wszystko.

— Musieli mieć coś wartościowego.

Do przejścia wszedł Abel Clymer. Wpatrywał się w Pearce'a.

— Co ty tu robisz?

Pearce wyprostował się w postawie zasadniczej.

— Jestem następnym wartownikiem, panie poruczniku.

— Więc wejdź do wieży!

Pearce popatrzył w bok na wielkiego oficera. Wszedł do wieży i stanął obok Hugh.

— Sukinsyn — stwierdził. — Sam grzebał w tych ruinach. W Fort Ayres zawsze szukał wszystkiego, na czym mógłby położyć ręce.

— Na przykład?

— Pieniądze. Kobiety. Alkohol. Co jeszcze?

Hugh podał Pearce'owi lornetkę.

— Trzymaj się z dala od wody — powiedział.

Pearce zerknął przez boczne okno.

— Nie ma tam wystarczająco dużo wody, aby zmoczyć bibułę — warknął.

— Tak czy inaczej... zostaw to w spokoju.

Pearce splunął sucho, gdy Hugh zszedł przez otwór.

Clymer wciąż stał w przejściu. Przyglądał się Hugh.

— Masz posłuch u kapitana — powiedział. — Przekonaj go, by wydał nam rozkaz wyruszenia dalej.

— Już to przerabialiśmy.

Clymer zarumienił się.

— Pani Nettleton nie znosi zbyt dobrze tego upału.

— A kto go znosi?

Clymer chwycił Hugh za przód koszuli i przyciągnął go do siebie.

— Niech cię diabli! Nie denerwuj mnie, Kinzie!

Hugh upuścił kolbę karabinu na jedną ze stóp Clymera. Clymer chrząknął z bólu i cofnął się. Lufa karabinu dźgnęła wielkiego oficera w brzuch.

— Zejdź mi z drogi — powiedział spokojnie Hugh.

Clymer utykając cofnął się. Jego oczy były wypełnione gwałtowną nienawiścią, gdy patrzył, jak Hugh wychodzi na taras. Nad Clymerem rozległ się cichy śmiech. Popatrzył w górę i zobaczył uśmiechniętą od ucha do ucha twarz Dana Pearce'a.

— Niech cię diabli, Pearce! — powiedział Clymer. — Niczego od ciebie nie chcę!

Pearce zrzucił przez krawędź okna kamyk. Uderzył on Clymera w głowę. Clymer sięgnął po swojego Colta, ale Pearce spokojnie oparł lufę karabinu na dnie okna. Odbezpieczył kurek. Jego spojrzenie spotkały się ze spojrzeniem Clymera. Clymer wypuścił rewolwer i utykając wrócił do przejścia. Pearce dotknął częściowo zagojonej blizny na głowie, po czym splunął sucho w korytarz.

Rozdział 9

Myron Greer siedział w wąskiej przestrzeni pomiędzy dwoma budynkami. Panował tam półmrok, ale wciąż było mu gorąco. Czuł pot spływający po jego szczupłym ciele. Przejechał językiem po suchych ustach. Ale nie chciał wody, potrzebował czegoś znacznie mocniejszego.

Myronowi Greerowi krążyły po głowie dziwne myśli. Miał wrażenie, że powinien wstać i podejść do krawędzi tarasu, wspiąć się po ścianie, a następnie zsunąć po zboczu na rozległe dno kanionu. Gdzieś tam pewnie uda mu się znaleźć coś do picia.

Może ten zwiadowca, Hugh Kinzie, miał jakąś butelkę. Ci ludzie zwykle mieli coś takiego, choć nie pili, kiedy pracowali. To było zbyt niebezpieczne. Ale alkohol przydawał się do oczyszczania ran i łagodzenia bólu.

Nad nim po murze krążyła jaszczurka, zrzucając kawałki zaprawy na gołą głowę Greera. Nie ruszył się nawet.

Może ludzie, którzy zbudowali te szalone domy na skalnej ścianie, nauczyli się fermentować kukurydzę. Ale tych ludzi nie było tutaj już od pokoleń. Wszystko, co mogliby po sobie pozostawić, już dawno by wyschło. Mimo to, gdyby alkohol był dobrze zapieczętowany i leżał zakopany w ruinach, mogło go trochę pozostać i miałby moc, jakby wypić całą beczkę.

Greer uniósł głowę. Młot zaczął walić mu pod czaszką, a wokół głowy zdawała się zaciskać żelazna opaska. Popatrzył na kanion. Nie zobaczył migoczącej i falującej w upale ściany skał, ale raczej wirującą, szarawą masę, która zdawała się formować w stożek, jak wnętrze jakiegoś wiru. Wydawało się, że wystarczy podbiec do krawędzi tarasu i zanurkować w ten wir, aby zostać porwanym w jego chłodne głębiny.

Abel Clymer chodził w tę i z powrotem trójkątnym przejściem za ruinami. Było tam trochę chłodniej, a przynajmniej tak mu się zdawało. Bolało go prawe podudzie w miejscu, gdzie ten sukinsyn Kinzie opuścił stalowe okucie kolby swojego Sharpa. Czas na Kinziego jeszcze nadejdzie, lecz na razie Clymer nie był gotowy na to, aby się go pozbyć. Clymer chciał się wydostać z tego piekła i zabrać ze sobą Marion Nettleton. Zwilżył językiem grube wargi, kiedy pomyślał o Marion Nettleton.

— Jezu — powiedział cicho.

Gdyby udało mu się doprowadzić ją z powrotem nad Rio Grande i dotrzeć z nią do Santa Fe, zostałby największym bohaterem na południowym zachodzie. Jako że szybkie awanse były obecnie czymś na porządku dziennym, on, Abel Johnston Clymer, najlepszy porucznik

kawalerii Stanów Zjednoczonych, mógłby wtedy prosić niemalże o wszystko. Z poparciem Bennetta mógłby nawet dostać brygadę. Generał Clymer! To była przepustka do kariery!

Clymer zatrzymał się na końcu korytarza i otarł poty gorąca i ambicji, ze swojej szerokiej twarzy. Na drodze stał mu Maurice Nettleton. Nettleton miał pieniądze. Dlatego Clymer wstrzymywał się ze swoją małą gierką, dopóki nie znalazł odpowiedniej dla siebie stawki. Teraz już ją miał. Następną rzeczą, jaką należało zrobić, było nakłonienie Nettletona do wyruszenia stąd, w ten czy w inny sposób. Mając Kinziego za przewodnika, Clymer jakoś zdoła się przedrzeć. Pozbycie się Kinziego mogło nie być łatwe, ale tym zadaniem również trzeba będzie się zająć. Potem już tylko Santa Fe i pochwały dowódcy departamentu. A jeszcze później St. Louis i mocne, przyjazne uściski dłoni szefa Bennetta. Pomimo upału, Clymer zadrżał lekko w ekstazie.

— Kapitan Clymer. Major Clymer. Pułkownik Clymer. Generał Clymer! — powiedział na głos.

****

Dan Pearce zerknął przez lornetkę polową Hugh Kinziego. Przyglądał się wschodniemu krańcowi kanionu. Gdzieś we mgle leżał ten przeklęty martwy muł ze srebrami Nettletona wciąż w jukach. Dan widział kiedyś w forcie Ayres ten srebrny serwis. Dotarcie do tego cuchnącego muła i odwiązanie pakunków, nie zajęłoby człowiekowi zbyt wiele czasu. Mógłby ukryć srebro i wrócić po nie pewnego dnia. Może razem z Chandlerem Willisem mogliby uciec dalej w kierunku rzeki, ale srebro nie było na tyle cenne, by dzielić się nim we dwóch. Należało zdobyć srebro, ukryć je, a następnie namówić Willisa, aby wyruszył z nim z kanionu. Dwóch miałoby większe szanse niż jeden. Trzej ludzie mogliby to zrobić bez większych problemów - gdyby tym trzecim był Hugh Kinzie.

Darrell Phillips popatrzył w dół na swoje buty Wellington. Wyprodukowane przez firmę Bascomb z Londynu. Najlepsze buty w całym departamencie, a on musiał je nosić w tym kraju. Buty były całe porysowane, a jeden z nich miał rozcięcie w cienkiej skórze. Żadna ilość czyszczenia i polerowania już nie sprawi, żeby te buty znowu wyglądały na wartościową rzecz.

Phillips zamknął oczy i oparł się plecami o ciepłą ścianę małego pokoju, który dzielił z Clymerem. Zmarszczył lekko nos. Abel Clymer roztaczał wokół siebie zwierzęcy zapach, nawet gdy był świeżo wyszorowany. Clymer zgotował mu piekło już od pierwszego dnia, kiedy Phillips pojawił się w Fort Ayres. Zgodnie z przepisami zarówno Abel Clymer, jak i Darrell Phillips byli oficerami i dżentelmenami. Obydwaj zostali oficerami na mocy nadanych im stopni. Różnica między nimi polegała na tym, że Abel Clymer osiągnął cudowny status dżentelmena, zostając oficerem, podczas gdy Darrell Phillips urodził się dżentelmenem i umrze jako dżentelmen.

Phillips pomyślał o Katy Corse. Wyglądałaby tak samo nie na miejscu w salonie jego matki, jak Abel Clymer, lecz była w niej jakaś świeżość, pomimo nieco zbyt swobodnych manier. W jakiś sposób była w stanie złagodzić ból jego pełnej goryczy samotności. Była atrakcyjna i miała dobre kształty… Zadrżał lekko, kiedy pomyślał o sprowadzeniu jej do domu swojej matki.

Wstał i wziął kapelusz. Katy była gdzieś na zewnątrz. Musiał się z nią zobaczyć, porozmawiać.

Chandler Willis zmrużył oczy, spoglądając na kanion. Niech go diabli, jeśli widział gdzieś tam Apaczów, ale wiedział równie dobrze jak wielki zwiadowca, że tam są. Leżą w krzakach, na wzgórzach po drugiej stronie kanionu; może nawet na górze, która wznosiła się nad ich skalnym klifem. Willis niemalże już zdecydował się na ucieczkę, wtedy gdy znaleźli stratowane szczątki oddziału Winstona, zajmującego się przepędem bydła. Być może udałoby mu się samotnie przedrzeć do Rio Grande, a potem na południe, aby dołączyć do Drugiego Regimentu Teksańskich Strzelców Baylora w La Mesilla. Ale dwóch ludzi nieustannie miało na niego oko: porucznik Clymer i pierwszy sierżant Hastings. Każdy z nich zastrzeliłby go, gdyby doszedł do wniosku, że zamierza zdezerterować do armii Konfederacji.

****

Chandler Willis przeklinał swoje szczęście. Kiedyś, jesienią 1859 roku, zabił człowieka na South Llano i zwiał przez Rio Grande, zaledwie w odległości strzału z karabinowego przed krewnymi zabitego. Stamtąd udał się do Fort Bliss, gdzie zaciągnął się na zimę, aby zapewnić sobie jedzenie i schronienie. Z tego powodu Hastings nadał mu przydomek Śnieżny Ptak.

Willis przesunął się odrobinę i splunął po raz kolejny. Ten przeklęty Jankes Pearce knuł coś niecnego. Chandler Willis był mu do czegoś potrzebny. Do czegoś korzystnego dla Pearce'a, nie dla Willisa. Wszyscy Jankesi byli tacy sami.

Zastanawiał się, jak bardzo lojalny jest Hugh Kinzie. Był dostatecznie twardy, by zostać prawdziwym Tejano. Może myślał o wstąpieniu do armii Konfederacji. We dwóch mogliby sprzątnąć tę zgraję Jankesów i wjechać jak królowie do La Mesilla z mnóstwem karabinów i sprzętu, a także z kilkoma cholernie dobrymi końmi i mułami.

****

Maurice Nettleton popatrzył w dół, na swoją śpiącą żonę. Pot zrosił jej owalną twarz. Jej miękkie usta rozchyliły się lekko, ukazując równe, białe zęby. Piersi mocno wypełniały materiał podróżnej sukni. Nettleton

przełknął ciężko ślinę. Na myśl o jej utracie, ogarniała go zimna, skręcająca fala strachu.

To ona go stworzyła. Kiedy ją poznał i natychmiast się w niej zakochał, był kompletnie nieznanym podporucznikiem dragonów w Jefferson Barracks,. Pochodził z dosyć zamożnej rodziny, co umożliwiło mu zaloty do niej. Shelton Bennett zawsze powtarzał, że chce mieć zięcia równie twardego jak on, ale nie była to prawda, bo Shelton Bennett rządził każdym, kto mu na to pozwolił. Również jego córka, pomimo delikatnego wyglądu, była twarda jak skała. Wyszła za mąż za młodego Maurice'a Nettletona, ponieważ myślała, że jest on mężczyzną, którego może ukształtować według swoich potrzeb. Jej osąd okazał się błędny.

Pierwsze lata ich małżeństwa były jak sen. Mieszkali w pięknym, dużym domu w St. Louis; jego awans miał miejsce na wiele lat przed terminem; został przydzielony do kwatery głównej departamentu, jako oficer sztabowy. Potem Shelton Bennett pokłócił się z kimś w Departamencie Wojny. To wystarczyło, aby Maurice został przeniesiony do przeklętej Arizony. Ból nieco mu złagodził awans na kapitana. Marion traktowała tę sprawę jako świetną przygodę. Ale Maurice był mocno wstrząśnięty. Kraina była zbyt duża i niebezpieczna. Nie miał doświadczenia w dowodzeniu tymi twardymi żołnierzami z pogranicza. Abel Clymer, który wcześniej dowodził Fort Ayres, słuchał rozkazów Maurice'a z pewnym szacunkiem, ale nadal to on kierował posterunkiem. Wtedy do Maurice'a powoli dotarło, że Clymer mocno zabiega o Marion. Zabiegał o nią i wykorzystywał niemal każdą okazję, by pokazać się Maurice'owi.

Maurice Nettleton zaczął wachlować żonę. Słyszał potężny głos Abla Clymera, który w sąsiednim pokoju jeździł po Darrellu Phillipsie. Nettleton spojrzał na swój świetnie grawerowany rewolwer Colta w kaburze, jeden z dwóch podarowanych mu przez Sheltona Bennetta. Nettleton poczuł jak drżą mu ręce. Nienawidził przemocy i rozlewu krwi. Jedyne, czego pragnął, to uratować żonę, a potem znaleźć sobie jakieś stanowisko, na którym mógłby być przy żonie, gdyby ta go potrzebowała. Lecz jeśli Abel Clymer stanie mu na drodze, zobaczy, że Maurice Nettleton będzie walczył o swoje.

****

Matt Hastings ściągnął przez głowę swoją przemoczoną koszulę i przetarł nią pachy. Miał świeżą koszulę w plecaku, ale zachowywał ją na wjazd do Santa Fe. Przez dwadzieścia lat służby piął się po szczeblach kariery dzięki umiejętności wykonywania rozkazów i stwarzania wrażenia prawdziwego żołnierza. Był czas, kiedy diament pierwszego sierżanta był wszystkim, czego pragnął, ale pogłoski o wojnie zmieniły ambicje Matta Hastingsa. Po raz pierwszy w swojej karierze wojskowej zaczął myśleć o naramiennikach zamiast szewronach. Zamiast bezwarunkowo słuchać rozkazów oficerów, zaczął myśleć, że być może on wie więcej niż oni.

Zaczął wypalać po nocy olej, czytając każdą książkę militarną, na której był w stanie położyć ręce. Matt znał je wszystkie na pamięć, a to było o wiele więcej, niż mógłby o sobie powiedzieć niezdarny kapitan Nettleton, Abel Clymer ze swoją niewyparzoną gębą czy Darrell Phillips ze swoją wrażliwą twarzyczką i dobrymi manierami.

Matt wytarł karabin i rewolwer. Utrzyma ten oddział Kompanii J razem, nawet gdyby to była ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek zrobi.

****

Słońce zgasło na zachodzie, płonąc różem i złotem. Góry spowiły fioletowe i czarne cienie. Chłodny wiatr skradał się ze wzgórz i szeleścił w zaroślach.

Jonas Stevens przechodził wzdłuż szeregu spragnionych koni. Szarpały się na uwiązanych do kołków linach. Jonas dotknął językiem popękanych warg. Zaoszczędził swój przydział wody na ten dzień, ale było jej za mało nawet dla jednego ze zwierząt. Brak wody był jedną z wielu rzeczy, o których nie pomyślał, gdy prosił o służbę na południowym zachodzie. Wody nie dla niego, lecz dla zwierząt. Na wschodzie było inaczej. Mnóstwo dobrej wody i świetne pastwiska dla kawaleryjskich wierzchowców. Jonas poklepał po nosie jednego z koni. Popatrzył z góry, na ciemny kanion. Może gdzieś tam była woda. Kinzie nic o tym nie mówił, ale Kinzie zawsze trzymał język za zębami. Ale jeśli była tam woda, Jonas Stevens dopilnuje, żeby konie i muły się do niej dostały.

****

Harry Roswell pełnił swoją zmianę warty na wieży. Upuścił wzrok na swoje dwa paski. Nosił je, ponieważ zawsze wykonywał rozkazy bez pytania, nawet te od starszego stażem kaprala. Matt Hastings powiedział kiedyś, że starszeństwo wśród kaprali i podporuczników jest jak cnota wśród dziwek, ale Matt Hastings był zdolnym pierwszym sierżantem wartym pół tuzina zielonych oficerów.

Roswell dotknął swoich dwóch pasków i poprawił kapelusz. Chwycił karabin i odrzucił ramiona do tyłu. Jego przełożeni mogli na nim polegać, jeśli chodzi o wykonywanie rozkazów. Opuścił się przez otwór w podłodze i poszukał zbitej na drewniane kołki drabiny.

****

W kanionie było ciemno jak w smole. Gdzieś zawył kojot. Wiatr jęczał nad przepaścią, szeleszcząc zaroślami i nawiedzając ruiny na klifie

upiornymi szeptami. Coś poruszyło się ukradkiem na ścianie, która otaczała front tarasu. Przez mur przetoczył się człowiek i miękko wylądował na zboczu. Leżał tam przez chwilę, wsłuchując się w noc. Następnie zszedł po zboczu, aż dotarł do zarośli w dole. Potem zagłębił się w zaroślach, kierując się na wschodni kraniec kanionu.

****

Isaiah Morton siedział w ciemności zniszczonego pokoju, z plecami i głową przyciśniętą do ciepłej ściany. Jego Biblia leżała otwarta na kolanach, a jeden z palców Isaiaha spoczywał na kartce. Było zbyt ciemno, by czytać, ale to naprawdę nie miało znaczenia, ponieważ on znał tę księgę na pamięć. Był pewien, że Bóg umieścił go w obecnym towarzystwie z jakiegoś niejasnego, lecz sprawiedliwego powodu. Byli to ludzie bezbożni. Ich namiętności i pragnienia były widoczne jak na dłoni. W żadnym z nich nie było wewnętrznego spokoju. Niektórzy z nich śmiali się z Isaiaha Mortona, lecz on traktował to jako część swojego męczeństwa, część zadania, które zostało mu powierzone w wizji. Isaiah Morton został wybrany, aby zanieść chrześcijaństwo Mangusowi Colorado. Mówiono, że wiele lat wcześniej próbował tego dokonać pewien stary kapłan. Ale nie udało mu się. Niektórzy twierdzili, że ojciec Font był dobrym człowiekiem i zawiódł nie z powodu tego, co zrobił lub czego nie zrobił, ale raczej dlatego, że Mangusa Colorado zdradzili właśni ludzie.

Ten zwiadowca, Hugh Kinzie, twardy i gwałtowny człowiek, powiedział, że Mimbreno czekają w ciemnościach nocy na swoją szansę. Kiedy ta szansa nadejdzie, uderzą i zabiją. Isaiah próbował wyobrazić sobie Mangusa Colorado.

— Siedzi przyczajony w komyszach swych wiosek, w sekretnych miejscach morduje niewinnych, jego oczy są skrycie skierowane przeciwko biednym. — Isaiah Morton wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem. — Czyha w ukryciu jak lew w swej jamie: czyha, by schwytać biednych; łapie biednych, gdy wciągnie ich w swoją sieć. — Szorstki głos Isaiaha odbił się echem od ścian. — Schylił głowę i poniżył się, aby biedni mogli paść ofiarą jego silnych!

Ktoś zawołał coś na tarasie. Głos Isaiaha ucichł. Słabe, mrucząće echo jego wybuchu, dobiegło z łukowatej ściany skalnej wysoko nad domami w pieczarze. Zimny pot oblał wychudłe ciało Isaiaha.

Skądś w ciemności rozległ się suchy głos.

— Jeśli ci Apacze tego nie słyszeli, to są głusi. Ten człowiek to strasznie krzykliwy duchowny.

Isaiah pochylił głowę zatapiając się w modlitwie.

Marion Nettleton była ciągle zmęczona. Odpoczywała więcej niż ktokolwiek inny w grupie i była narażona na jak najmniejsze trudności. Leżała bezsennie w ciemnościach, próbując sobie wyobrazić, że znajduje się w swoim dużym łóżku w przytulnym pokoju, w obronnym olbrzymim domu jej ojca, w Missouri. Miała silną wolę i bogatą wyobraźnię, ale nie

była w stanie walczyć z tą niesamowitą ciemnością ruin, nieustannie napierającą aby wykorzystać każdą możliwą przewagę.

Maurice był gdzieś na zewnątrz, niezdarnie się gdzieś kręcił, próbując odgrywać rolę twardego żołnierza na pograniczu. Maurice zawsze był dla niej dobry. Zakochała się w nim, albo myślała, że tak się stało, ponieważ posiadał wszelkie zewnętrzne cechy mężczyzny, jakiego pragnęła. Lecz czas i bliższe poznanie pokazały jej, jak bardzo się myliła. Teraz znajdował się w defensywie, spełniał każde jej życzenie, rozpieszczał ją i zagłaskiwał, podczas gdy ona miała nadzieję na mężczyznę takiego jak jej ojciec, który rządził kobietami, a zresztą również wszystkimi innymi, z żelazną wolą.

Marion przyjechała na zachód z Mauricem, mając nadzieję, że jej mąż się wyróżni i zbuduje sobie reputację, ale niestety zbyt długo był pod twardym butem i silną wolą Sheltona Bennetta. Nie byli w Fort Ayres dłużej niż miesiąc, kiedy stało się oczywiste, że jego ludzie śmieją się z niego. „Matka" Nettleton to był jego przydomek, jakiego używali za plecami kapitana. Marion często zastanawiała się, jak ją nazywają za jej plecami, aż pewnego dnia podsłuchała rozmowę dwóch podoficerów na jej temat. Nie została wymieniona z imienia. „Mały Kapral" - powiedział jeden z nich.

Marion nie była specjalnie zaniepokojona, kiedy opuszczali Fort Ayres. Teraz Marion Nettleton mocno pochwyciły wątpliwości. Zawsze zależała od tych ludzi, jeśli chodzi o jej wygody; a teraz była zależna od nich, jeśli chodzi o jej życie. Maurice spieprzył sprawę jak zwykle. Gdyby porzucił stado bydła, nie straciłby większej części swojej kompanii, a także usług doświadczonego indiańskiego wojownika. Gdyby szybko ruszył w stronę Rio Grande, zamiast dla wygody żony, podróżować niemal nieśpiesznie, mógłby wymknąć się z sieci zarzuconej na niego przez Mangusa Colorado. Nawet teraz bardziej martwiły go małe pragnienia żony, niż otaczające ich zagrożenia. Gorąca kawa, miękkie miejsce do spania, ciepłe koce w chłodne noce i zimna woda w gorące dni: żadna z tych rzeczy nie miałaby znaczenia, gdyby spadła na nich wrzeszcząca horda krwiożerczych Apaczów, zerwała z Marion ubranie i tłustymi łapskami rozdarła cytadelę z kości słoniowej, jej kształtnego ciała.

Marion usiadła prosto i powoli poprawiła włosy. Kiedyś myślała, że to Abel Clymer jest mężczyzną, który ją uratuje. Na początku nienawidziła zwiadowcy, Hugh Kinziego, z tymi jego ostrymi rozkazami i pełnym goryczy spojrzeniem. Ale Hugh Kinzie mógł ją uratować, jeśli w ogóle ktokolwiek był w stanie to zrobić. Marion wstała i otrzepała ubranie. Tej nocy na niebie będzie księżyc. Kiedyś obiecał, że na szlaku będzie trzymał się koło niej. Tej nocy da mu szansę. Nie za wiele, tylko tyle, żeby mocno wbić haczyk.

****

Na wschodnim niebie widać było słabiutki ślad księżyca. Dan Pearce obejrzał się przez ramię. Ledwie był w stanie dostrzec położone za nim

domy na skalnym klifie. Nikt za nim nie poszedł. Minie sporo czasu, zanim ten trój-paskowy drań, sierżant Hastings, zauważy jego nieobecność. Do tego czasu Dan schowa gdzieś w ukryciu srebrną zastawę i wszelkie inne łupy niesione w jukach przez muła.

Dan przedzierał się przez zarośla. Było prawie jak za dawnych czasów w Five Points, kiedy krążył po ulicach w poszukiwaniu pijaków, którym mógłby dać po głowie i odebrać forsę. Rozejrzał się w górze po wysokich ścianach kanionu. Przypominało mu to prawie spacer wąską uliczką w Nowym Jorku, pomiędzy rzędami zapadających się kamienic. Dan Pearce zrobi to, nie ma problemu. Miał szczęście i odwagę.

Katy Corse powoli zapinała guziki na przedzie sukienki. Dzienny upał już dawno minął, a w kanionie szeptał chłodny wiatr. Miała ochotę wykąpać się i zmienić ubrania na czyste, ale wyrzuciła tę myśl z głowy. Wody wystarczało zaledwie do picia, a jedyne dostępne damskie ubrania należały do Marion Nettleton. Nie zaproponowała Katy, aby z nich skorzystała.

Katy wyszła na ciemny taras. W kanionie panowała ponura cisza. Czuła, choć nie widziała, ludzi z ich małej grupy, wpatrzonych w mrok i nasłuchujących każdego nocnego odgłosu. Już wcześniej doświadczyła czegoś podobnego. Przeżyła atak na Tubac, kiedy miała piętnaście lat. W tym napadzie zginęła jej matka. W 1858 roku jej ojciec był handlarzem w Fort Buchanan, a Katy mu pomagała. Dwa lata później zginął z rąk Apaczów podczas przewozu zaopatrzenia. Katy oddała sklep handlarzowi Cassowi Wilkersonowi. Cass zatrzymał ją jako swoją urzędniczkę. Wtedy poznała Hugh Kinziego.

Katy poczuła, jak wiatr chłodzi jej ciepłe ciało. Zakochała się w Hugh Kinzie, prawdopodobnie dlatego, że nie zwracał na nią większej uwagi, na posterunku wojskowym, na którym każdy żołnierz, w ten czy inny sposób, uczciwie lub nieuczciwie, próbował zyskać jej względy. Hugh Kinzie był bardzo podobny do swojego brata Ronalda. Co dziwne, Katy interesowała się wcześniej kapitanem Kinzie, ale ten nie zwracał na nią większej uwagi niż na swojego konia czy psa. Hugh wydawał się być trochę bardziej ludzki, ale nadal miał w sobie tę Kinzie'owską powściągliwość.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Hugh zdawał się zaczynać wykazywać trochę więcej zainteresowania, energicznie rozpoczął swoje zaloty do Katy, Herbert Oglesby. Katy lubiła Herberta i wykorzystała go, aby wzbudzić odrobinę zazdrości w Hugh Kinziem, aby zobaczyć co tamten zrobi. Katy niestety przeszarżowała, ponieważ Hugh wymknął się, jak źle ujeżdżony koń. Podobnie jak większość mężczyzn na posterunku, założył, że jest kobietą Herberta. Nic, co mogła zrobić, w granicach rozsądku, nie zmieniało chłodu Hugh wobec niej. Herbert się oświadczył. Ona przyjęła go, mając nadzieję, że Hugh w końcu coś zrobi. Nie zrobił. Pewnego dnia był na miejscu; następnego zniknął w sinej dali. Miesiąc później Herbert Oglesby był martwy, z krzemiennym grotem strzały wbitym w pierś.

Katy podeszła do krawędzi tarasu. Jakoś za każdym razem, gdy próbowała być miła dla Hugh, wszystko się rozsypywało. Hugh był zadziornym człowiekiem i trzeba było obchodzić się z nim delikatnie, a Katy Corse najwyraźniej brakowało tej delikatności dotyku.

Za Katy na taras wyszedł jakiś człowiek. Szybko się odwróciła, mając nadzieję, że to Hugh. Uniosła wzrok i dostrzegła niewyraźną w ciemności twarz Darrella Phillipsa. Nie było w nim ani krztyny wahania. Przyciągnął ją do siebie i przycisnął usta do jej ust. Była tak zaskoczona, że nie stawiała żadnego oporu.

— Jeśli macie zamiar tu się powłóczyć — oznajmił suchy głos za nimi, — to lepiej zejdźcie z linii bezpośredniego widoku. Księżyc wschodzi.

Phillips ją puścił i szybko odwrócił się, by spojrzeć w rozbawioną twarz Hugh Kinzie.

— Nie masz prawa tak się do nas podkradać! — warknął Phillips.

Hugh popatrzył na kanion.

— Jesteś wystarczająco blisko zbocza, żeby jakiś Mimbreno mógł się do ciebie podkraść i wbić ci nóż w plecy, zanim nawet poczujesz jego smród.

Phillips uniósł rękę. Zrobił krok do przodu.

Hugh się uśmiechnął.

— Proszę nie robić niczego, czego będzie pan później żałował, panie Phillips.

Phillips opuścił rękę. Rozpaczliwie chciał udowodnić w obliczu Katy Corse, że jest mężczyzną, ale nie kosztem walki z Hugh Kinziem.

Hugh podniósł głowę.

— Będziesz dzisiaj w nocy trzymał wartę. Wszyscy będziemy się zmieniać. Żołnierze są zmęczeni robieniem całej roboty przy wartach. Wszyscy siedzimy w tym samym bagnie. Będziemy musieli na chwilę zapomnieć o rangach.

— W porządku, Kinzie.

Hugh popatrzył na Katy.

— Nie odchodź za daleko od żadnego z mężczyzn, Katy. — Odwrócił się i odszedł w ciemność jak wielki chudy kot.

Darrell Phillips popatrzył na Katy.

— Co miał na myśli, mówiąc to?

Odwróciła wzrok. Jej dłonie zacisnęły się w ciasne piąstki.

— Do diabła z tobą — rzuciła gorąco. — Odejdź ode mnie!

Phillips wyciągnął do niej rękę, zawahał się, po czym obrócił się na pięcie i odszedł.

Cisza zdawała się wypełniać cały wielki kanion. Nawet wiatr ucichł. Wyglądało to niemal tak, jakby kanion czekał, aż coś się wydarzy.

Rozdział 10

Kapitan Nettleton zwołał radę wojenną. Naciski ze wszystkich stron zaczynały drążyć jego duszę. Clymer próbował go zastraszyć. Phillips z pewnością nie był mu przychylny. Ale większa część presji pochodziła od Marion. Potrafiła dać mężczyźnie do zrozumienia, co do niego czuje, nawet nie otwierając ust.

Maurice chodził tam i z powrotem przed wieżą strażniczą. Hugh Kinzie oparł się o ścianę wieży. Abel Clymer przykucnął przy ścianie tarasu z wielkimi dłońmi zwisającymi między postrzępionymi kolanami spodni. Darrell Phillips stał prosto, z wyprostowanymi ramionami i dłońmi złożonymi przed sobą.

Nettleton przygryzł dolną wargę.

— Panowie — powiedział z wahaniem. — Musimy zdecydować się na jakiś plan. Nasze zapasy żywności są prawie na ukończeniu. Wody jest mało, a zwierzęta są w złym stanie z jej braku. Jeszcze jeden dzień takiego upału i wszystkie padną.

— Apacze nie atakują w nocy — zauważył Abel Clymer. — Co stoi na przeszkodzie, abyśmy pozbyli się nadmiaru sprzętu i spróbowali się stąd wydostać?

Wtedy odezwał się Darrell Phillips.

— Być może udałoby się nam zrobić wypad na Mimbreno. Powiedzmy, że pół tuzina dobrych ludzi wyruszyłoby stąd, gdy księżyc zniknie, i wspięło się na ścianę kanionu, aby zaatakować Mimbreno w ich obozie.

Nettleton spojrzał błagalnie na Hugh. Hugh przesunął tytoń w ustach i splunął bez pośpiechu.

Nettleton chodził w tę i z powrotem.

— Obie sugestie są dobre. Być może, łącząc je, uda nam się opracować skuteczny sposób ucieczki.

— Na przykład? — spytał spokojnie Hugh.

Nettleton odwrócił się.

— Możemy odciążyć konie i muły. Część z nas może pozostać tutaj z kobietami. Inni, sprawnie dowodzeni, mogą zaatakować Mimbreno, odwracając ich uwagę od tych z nas, którzy są tutaj. Podczas gdy Mimbreno będą zajęci czym innym, kobiety mogą wyruszyć w jakieś inne bezpieczne miejsce. Następnie, kiedy kobiety będą miały dobrą przewagę odległości, ci, którzy trzymali Mimbreno w szachu, mogą podążać za główną grupą, osłaniając jej odwrót, dopóki nie wydostaniemy się z kanionu.

Chandler Willis stał na straży na wieży strażniczej. Hugh usłyszał, jak żołnierz szura nogami, a potem pluje mocno w ścianę jaskini kilka stóp od

bocznego okna wieży. Hugh nie musiał widzieć twarzy Willisa, by wiedzieć, jak ona wyglądała.

Nettleton był już w pełni pochłonięty swoim mistrzowskim planem, urzeczony sposobem, w jaki jego elementy układały się w zgrabną i pewną całość.

— Podzielimy się na dwie grupy. Grupa atakująca będzie oczywiście dowodzona przez jednego z nas. Drugi z nas musi przejąć dowodzenie nad główną grupą. Człowiek rozsądny, który będzie w stanie określić dokładny czas, w którym należy wyruszyć.

— Pozostaje nas dwóch — zauważył sucho Hugh.

Nettleton zawahał się. To był kluczowy moment. Jego plany zawsze dobrze wyglądały na papierze, ale nakłonienie ludzi, tych istot o tak różnorodnych impulsach i emocjach, do podążania za jego czysto nakreślonymi planami, zawsze było problemem Maurice'a Nettletona. Wyprostował się. W końcu to on był dowódcą.

— Obejmę osobiste dowództwo nad główną grupą, z panem Phillipsem jako moim pomocnikiem. W głównej grupie będą oczywiście panie, sierżant Hastings, kapral Roswell, szeregowy Stevens i pan Isaiah Morton.

Abel Clymer uniósł swoją wielką głowę i popatrzył na Nettletona.

Nettleton odwrócił wzrok.

— Pan Clymer poprowadzi grupę atakującą, a pan Kinzie będzie jego zwiadowcą. Grupa będzie się składać z szeregowych Willisa, Pearce'a i Greera.

Z wieży dobiegł cichy gwizd.

— Jezu Chryste — powiedział Chandler Willis.

Abel Clymer podniósł się na nogi i zacisnął knykcie lewej dłoni.

— Jako starszy oficer, kapitanie Nettleton, to raczej ja, a nie pan Phillips, powinienem pozostać z główną grupą.

Phillips uniósł głowę.

— Pan kapitan wydał rozkazy — oznajmił.

Clymer odwrócił się.

— No i co? A może ty go do tego namówiłeś? Mam ochotę złamać ci tę twoją przeklętą szczękę, Phillips!

Phillips opuścił rękę na swojego colta w kaburze. Clymer zbliżył się i chwycił młodszego oficera za przód koszuli.

— Nie masz odwagi wyciągnąć przeciwko mnie tej broni — warknął. — Przyznaj się! Namówiłeś Nettletona, żeby wziął ciebie zamiast mnie!

Nettleton ruszył do przodu.

— Clymer! To ja tu dowodzę!

Hugh wyprostował się i wypluł zwitek tytoniu do żucia na ścianę tarasu.

— Jesteś tu najważniejszy — powiedział spokojnie Phillips. — Pokaż Marion Nettleton, jaki z ciebie wielki mężczyzna, chroniąc resztę z nas, Clymer.

Clymer uderzył Phillipsa w twarz, wielką dłonią. Głowa Phillipsa poleciała do tyłu. Clymer pochwycił go i uderzył jego plecami o ścianę wieży.

— Niech cię diabli! I będę jej bronił, zgadza się! Podczas gdy ty będziesz powstrzymywał Apaczów!

Hugh odepchnął Nettletona na bok. Wyciągnął swojego colta i odbezpieczył go. Wbił lufę w plecy Clymera.

— Daj spokój, ogierze — powiedział. — Daj sobie spokój z tym bohaterstwem. Cały ten przeklęty plan jest do niczego. Nie będziemy go realizować.

Clymer puścił Phillipsa. Odwrócił głowę, by spojrzeć w zacienioną twarz Hugh.

— Nie ośmielisz się strzelić, Kinzie — rzucił z drwiną.

Hugh cofnął się. Ten wielki mężczyzna miał naprawdę jaja. Hugh schował swojego colta.

Nettleton podszedł do niego.

— Co masz na myśli mówiąc, że nie zrealizujemy tego planu? — zażądał odpowiedzi.

Hugh popatrzył na cichy kanion.

— Te konie i muły nie przeszłyby nawet dziesięciu mil. Nie wiemy też, czy za kanionem jest jakiś szlak. Jeśli wyruszycie stąd teraz, zanim wydostaniecie się z kanionu, minie dzień. To przeklęte cholerstwo może ciągnąć się kilometrami, a każdy jego centymetr jest pilnowany przez Mimbreno. Co do waszego tak zwanego wypadu. Nawet gdybyście zabrali wszystkich ludzi, których tu macie, zginęlibyście na długo przed dotarciem do „obozu” Mimbreno, jak nazwał go Phillips. Oni nie mają żadnego obozu, z rzędami namiotów i ogniskami biwakowymi. Leżą w zaroślach w ciemności, nasłuchując każdego nocnego odgłosu. Można by było przejść przez sam środek ich obozu i nie wiedzieć o jego istnieniu, dopóki z pustej ziemi nie wyrosłyby noże, aby was wypatroszyć. Jeśli pięciu z nas poszłoby szukać tych drani po ciemku, jak sugerowano tutaj, żaden z nas by nie wrócił, a nawet jeśli zdołalibyśmy się z paroma rozprawić, zanim nas dopadną, ledwie byśmy uszczuplili ich siły. Potem ruszyliby za główną grupą. Są w stanie prześcignąć nasze konie, nawet pieszo.

Clymer splunął.

— No dobrze. A co ty sugerujesz?

Hugh wzruszył ramionami.

— Wygląda na to, że jestem tutaj jedyną osobą, która nie ma żadnego pomysłu.

Phillips otarł krew z kącika ust.

— Być może jeden człowiek zdołałby przedostać się do Rio Grande i sprowadzić pomoc.

Nettleton pokiwał głową.

— Kapitalna myśl, panie Phillips.

Clymer popatrzył na Hugh.

— Przypuszczam, że on?

— Możesz ty zgłosić się na ochotnika — stwierdził sucho Hugh.

— Pojedziesz? — spytał Nettleton. Chwycił Hugh za ramię.

— Mógłbym pojechać. Może mi się uda. Ale jeśli chodzi o sprowadzenie pomocy, to nie ma mowy. W Departamencie Nowego Meksyku nie ma

obecnie wystarczającej liczby ludzi do obrony doliny Rio Grande. Canby z pewnością nie wyśle wojska w te góry, aby dało się zniszczyć.

Clymer zwilżył grube wargi. Spojrzał w stronę domu, w którym znajdowała się Marion Nettleton.

— Być może ja dałbym radę się przedostać z jedną z kobiet.

Phillips dotknął kącika ust.

— Ja jestem w stanie zrobić to samo — powiedział.

Maurice Nettleton zawahał się, jak zawsze. Popatrzył na Hugh.

— Moja żona — powiedział cicho. — Wiem, że nie pojechałaby beze mnie, ale może uda mi się ją do tego zmusić. — Spojrzał z nadzieją na Hugh. — Co ty na to, Kinzie?

— Śmiało — odparł Hugh. — Pan Clymer jest chętny.

Nettleton pociągnął się za bokobrody.

— Nie jego miałem na myśli. Kinzie, jesteś z nas najbardziej doświadczony w tego typu sprawach. Możemy cię osłaniać, dopóki nie wyrwiesz się stąd. Marion nie jest silna, ale ma w sobie odwagę. Weźmiesz ją?

— To znaczy, że poświęca się pan, aby uratować żonę? — spytał sucho Hugh.

— Tak.

— Zdaje się, że o czymś pan zapomniał, Nettleton.

— Tak?

— Katy Corse.

Nagła cisza, która nastąpiła po słowach Hugh, została nagle przerwana przez huk karabinu na wschodnim krańcu kanionu. Między ścianami kanionu odbiło się jego echo.

— Atak! — zawołał Nettleton. — Wszyscy do broni!

Tupot butów zatrząsł tarasem. Wzdłuż ściany tarasu rozstawiły się mroczne sylwetki. Matt Hastings zapiął pas.

— Sprawdzić karabiny! Sprawdzić spłonki w rewolwerach! — oznajmił. — Kapral Roswell!

— Jestem!

— Greer!

— Jestem!

— Pearce!

Nie było odpowiedzi. Hastings popatrzył w prawo i w lewo po ciemnym tarasie.

— Pearce! — zawołał gniewnie.

Na tarasie pojawił się Willis.

— Stevens! — zawołał Hastings.

— Yo!

— Willis!

— Jestem!

Hastings zsunął kapelusz na tył głowy.

— Gdzie jest Pearce?

— Niech mnie diabli, jeśli mam jakiekolwiek pojęcie, sierżancie — odparł Willis. Spojrzał z góry na kanion.

— Ktoś go widział? — spytał Hastings.

Nie było odpowiedzi.

— Ten sukinsyn poszedł na wzgórza? — spytał Hastings.

— Nie można go winić — powiedział Willis.

— Zamknij się!

W kanionie znów zapanowała cisza. Hugh ruszył za żołnierzami i zatrzymał się na końcu tarasu. Popatrzył w stronę wielkiej skalnej ściany. Strzał padł gdzieś w jej pobliżu.

Hastings podszedł za Hugh.

— Co o tym myślisz? — spytał.

Hugh wzruszył ramionami.

— Znalazłeś Pearce'a?

— Nie.

Czekali. Od czasu do czasu któryś z czekających poruszył się. Jeden z nich zakaszlał. Kolba czyjegoś karabinu uderzyła o taras.

Hastings popatrzył na Hugh.

— Myślisz, że to był on, Kinzie?

Hugh potarł szczękę.

— Strzał padł w pobliżu martwego muła. Na mule było srebro. Myślisz, że Pearce'owi zależałoby na tym srebrze na tyle, żeby tam pójść?

— On miał kradzież w duszy.

Hugh popatrzył w niebo, a potem na ziemię.

— Gdziekolwiek by nie był, doprowadziła go tam jego przeklęta żądza kradzieży.

— Może leży gdzieś ranny.

Hugh popatrzył wzdłuż zbocza płaskiego wzgórza. Była tam słabo widoczna ścieżka, a obok niej wznosiła się stroma ściana prowadząca na szczyt góry.

— Mogę zrobić szybki wypad tamtędy — powiedział cicho. — Być może uda mi się stamtąd zajrzeć do kanionu.

— On nie jest tego wart — odezwał się za nimi suchy głos.

— Zamknij się, Willis — warknął Hastings.

Willis uśmiechnął się.

— Pójdę ze zwiadowcą — powiedział.

Hugh przeskoczył przez niski murek i podał swój karabin Hastingsowi.

— Stąd będziesz nas widział. Nie martwię się, że zaatakują nas od strony płaskowyżu na szczycie wzgórza. Ale mogą przedostać się przez zarośla poniżej ścieżki. Jeśli nas zaatakują, strzelaj przez cały czas między nas a ich.

Willis oparł karabin o ścianę i poluzował colta w kaburze.

— Strzelaj do wszystkiego, co nie nosi kapelusza, sierżancie — powiedział.

Willis ruszył za Hugh stromym zboczem, aż dotarli do ścieżki. Wokół nie było widać żadnych oznak życia. Kanionem niepodzielnie rządziła cisza.

Sto metrów od ruin Hugh obejrzał się przez ramię. Twarz żołnierza była dobrze widoczna w świetle księżyca. W Chandlerze Willisie było coś, co nie do końca pasowało Hugh. Był pracowity i zazwyczaj chętny do pracy. Wykonywał swoje obowiązki, ni mniej, ni więcej. Jednak zawsze wydawał się na coś czekać.

Hugh zatrzymał się w miejscu, gdzie skalne zbocze rzucało głęboki cień na zbocze płaskiej góry. Księżyc rzucał srebrzysty blask na piasek i skały. Skały i zarośla rzucały za siebie cienie. Nie było nawet śladu jakiegokolwiek ruchu.

Willis podrapał się po gardle.

— I co teraz?

Hugh przyjrzał się dnu kanionu. Wyglądał na równie pusty jak krater na Księżycu. Coś ostrzegało go, aby wracał. Nie darzył Dana Pearce'a szczególną sympatią.

— Wracajmy — zaproponował cicho Willis.

— Myślałem, że chcesz odpocząć od reszty grupy — powiedział Hugh.

Willis na wpół zamknął oczy.

— Posłuchaj mnie, zwiadowco — powiedział cicho, — nie masz zamiaru teraz się wycofywać.

Hugh popatrzył w dół do kanionu, próbując zlokalizować miejsce, w którym padł muł.

— Nie masz, prawda? — naciskał go Willis.

— Nie. Ale dlaczego poszedłeś ze mną?

— Nie chcę, żeby coś ci się stało, zwiadowco.

Hugh popatrzył na stojącego obok niego skrytego człowieka.

— Zostań tutaj — powiedział. — Osłaniaj mnie, dopóki nie zniknę z pola widzenia w tej kępie zarośli koło wielkiego uskoku skalnego.

Willis skinął głową. Przesunął w ustach kawałek tytoniu i splunął.

— Bądź ostrożny, zwiadowco. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

— Twoja troska porusza moje serce — stwierdził sucho Hugh.

Prześlizgnął się ścieżką, wykorzystując każdy skrawek ukrycia, aż zrównał się z zaroślami, które znajdowały się na jednym z końców wielkiego uskoku skalnego. Poluzował nóż w pochwie i szybko dotknął rękojeści colta. Następnie przemknął po zboczu w zarośla, poruszając się jak polująca pantera.

Dotarł do początku zbocza skalnego usypiska, które opadało pod kątem do wejścia kanionu. Jakiś czas temu doszło do kolejnego wielkiego obrywu skalnego, który spadł kaskadą w dół pierwszego zbocza, pozostawiając poprzeczny występ z luźnych odłamków skalnych na starszym zboczu. Muł padł prosto za tym występem.

Każdy nerw Hugh zdawał się być wyczulony do granic możliwości. Czuł ostry zapach zarośli, wciąż ciepły od upału dnia, zmieszany z kwaśnym zapachem jego przesiąkniętej potem odzieży. Stał zupełnie bez ruchu, z wyjątkiem oczu, które badały rozświetlony blaskiem księżyca teren przed nim. Od czasu do czasu jego nozdrza drżały, gdy gwałtowniej wciągał powietrze, próbując wyczuć zapachy. Coś go zastanawiało. Muł leżał tam już wystarczająco długo, aby wytworzyły się w nim gazy. Zmysły węchu i słuchu powinny już odebrać ostrzeżenia, ponieważ martwe istoty potrafią szeptać niespokojnie, gdy chłodne nocne powietrze dotyka ich nagrzanego ciała.

Hugh padł na kolana i powoli czołgał się naprzód, wymacując drogę rękami, odsuwając luźne kamienie i ostrożnie stawiając każde kolano. Pot

spływał po jego ciele, a on przeklinał w myślach bolące dłonie i kolana natrafiające na ostre krawędzie skał.

Położył się płasko tuż przed osiągnięciem wierzchołka występu. Nasłuchiwał, po czym podczołgał się dalej do przodu, wsuwając się w cień nachylonej płyty skalnej. Popatrzył w dół odległego zbocza. Wtedy zrozumiał, dlaczego nie słyszał odgłosów ciała muła. Zobaczył światło księżyca błyszczące na wielkich białych kościach. Tusza została ogołocona z mięsa i wnętrzności, równie czysto, jakby pracowały nad nią myszołowy. Apacze uwielbiali słodkie mięso mułów.

Światło księżyca błyszczało ponuro na czymś jeszcze, poza resztkami truchła muła. Wyglądało to na coś w rodzaju szeregu kałuż wody na piaszczystej ziemi. Hugh był zaskoczony, dopóki nie przypomniał sobie o srebrnym serwisie.

Gdzie, do diabła, był Pearce? Może ten krzepki nowojorczyk wcale tu nie szedł. Może strzelano do czegoś innego. Może… Myśl ta uleciała z umysłu Hugh. Powoli odwrócił głowę, by spojrzeć wzdłuż skalnego grzbietu, potem w dół do kanionu, a następnie w górę stromej północnej ściany, by podążać wzdłuż skały, która prawie blokowała wejście. Pewien Mescalero powiedział mu kiedyś coś, co powinien zapamiętać: „Białooki słyszy strzał. Biegnie jak diabli, żeby zobaczyć, co się stało. Tinneh słyszy strzał. Nie biegnie, by zobaczyć. Pozostaje czujny w ukryciu. Czeka. Czeka. Czeka, aż upewni się, że nikt nie czai się w zasadzce.”.

Hugh przeczołgał się w dół zbocza, skrywając się w zaroślach. Położył się płasko obok dużego głazu. Coś znajdowało się przed nim, ledwie widoczne przez splątane zarośla. Coś białego. Przesunął się do przodu po ciepłej ziemi, aż mógł dostrzec, co to było.

Ciało leżało na plecach, gęsta masa kręconych czarnych włosów kontrastowała z bielą skóry. Skóra wyglądała niezwykle biało w porównaniu z mahoniowym brązem wielkich dłoni. Wykrzywiona twarz miała jeszcze inną barwę. Hugh odwrócił na chwilę wzrok. Czaszka została strzaskana, a krew pokryła szeroką twarz ciemną maską. Zakrwawione oczy wpatrywały się beznamiętnie w księżycowe niebo.

Hugh cofał się cal po calu. Jego wzrok przykuło coś jeszcze. Dan Pearce ściskał w prawej dłoni pięknie uformowaną srebrną sosjerkę.

Hugh nie spieszył się w drodze powrotnej, choć ogary strachu biegły w ciszy tuż za nim. Ostrożnie szedł w górę zbocza, aż dotarł do miejsca, gdzie czekał na niego Chandler Willis. Nie trzeba było nic mówić Willisowi. On wiedział.

Szli powoli z powrotem w kierunku domów na skalnej ścianie. Byli już prawie przy rozpadającej się ścianie, kiedy Willis odezwał się cicho.

— Jeden leży na dole — powiedział. — Pozostało nas dwunastu. Kto następny, zwiadowco?

Rozdział 11

Matt Hastings zapisał to w swoim małym notatniku.

— Pearce, D. A., szeregowy - zwolniony ze służby, z powodu śmierci — powiedział. Zapisał godzinę i datę.

— Co oznacza litera A? — spytał Willis.

— Aloysius.

— Jezu — westchnął Willis. — Nic dziwnego, że nigdy mi nie powiedział.

Isaiah Morton stał na skraju tarasu ze złożonymi dłońmi.

— Dlatego tak powiedział Pan Zastępów, Bóg Izraela: Oto Ja nakarmię ich, nawet ten lud, piołunem i dam im do picia wodę pełną żółci.

— Ten w kółko to samo — stwierdził Willis.

Isaiah Morton podniósł głos.

— Rozproszę ich także wśród pogan, których ani oni, ani ich ojcowie nie znali, i poślę za nimi miecz, aż ich pochłonę.

Ludzie spoglądali po sobie z szeroko otwartymi oczyma. Hastings zamknął swój notatnik.

— Morton — oznajmił spokojnie, — tej kompanii J nie przydzielono kapelana, a gdyby tak było, powiedziałbym mu, żeby wybrał z Dobrej Księgi jakieś pocieszające słowa. Jeszcze raz palniesz coś podobnego, a osobiście przerzucę cię przez mur i pójdziesz prosto do tych pogan, których nie znamy ani my, ani nasi ojcowie. Comprende?

Oczy Mortona zdawały się świecić w ciemności. Odszedł w dół tarasu.

— Będą mieli oczy, a nie będą widzieć — zaintonował. — Będą mieli uszy, a nie będą słyszeć.

— Ten człowiek powoduje, że skóra mi cierpnie — stwierdził Hastings. — To jakiś Jonasz.

Słychać było konie i muły. Stevens popatrzył w ich stronę.

— Na Boga, sierżancie — oznajmił chrapliwie — one naprawdę cierpią. Nie mogę już ich dłużej słuchać.

Hastings otworzył usta, aby skląć Stevensa, lecz po chwili je zamknął. Wszyscy byli kawalerzystami. Żadnemu z nich nie podobał się pomysł, by pozwolić koniom cierpieć. Hastings popatrzył na Hugh. Hugh uniósł głowę i przeciągnął palcem wskazującym po chudym gardle.

Hastings skinął głową.

— Powiem kapitanowi — oznajmił.

— Co pan chce mu powiedzieć, sierżancie? — zaczął dopytywać się Stevens.

— Nie twój cholerny interes.

Stevens wystąpił naprzód i opuścił karabinek na lewe przedramię.

— To znaczy, że zamierzamy zabić te konie?

Hastings opuścił prawą rękę na kolbę colta.

— Nie wszystkie. Mamy teraz trzy dodatkowe. Wierzchowca Pearce'a i dwa juczne muły. Bóg wie, że dla tych, które pozostaną, i tak nie starczy wody, ale będziemy mogli poczekać jeszcze dzień lub dwa, zanim wymyślimy, co z nimi zrobić.

Stevens odbezpieczył karabin.

— Nie zabijesz żadnego z nich — powiedział cicho. — Wypuśćmy je. Sami o siebie zadbają.

Hastings popatrzył na żołnierza.

— Posłuchaj, słonko — powiedział — skończyło nam się jedzenie. Nie przepadam za mięsem koni i mułów, ale niech mnie diabli, jeśli zgodzę się głodować, skoro mogę je zdobyć. A teraz odłóż ten karabin i idź na swoje stanowisko, zanim pokażę ci, kto tu jest najważniejszym żołnierzem.

Stevens stał tak przez pół minuty, po czym spuścił kurek karabinu i powoli poszedł w kierunku zachodniego krańca tarasu.

— Ten sukinsyn tak naprawdę myśli więcej o utrzymaniu przy życiu tych przeklętych zwierząt, niż nas — burknął Matt Hastings.

— Kto je zarżnie? — spytał Hugh.

Hastings obrócił się.

— Nie ja!

— Więc kto?

— Ty!

Hugh pokręcił przecząco głową.

— Dwa lata temu zabiłem swojego najlepszego konia, kiedy Komancze odcięli mnie od reszty kolumny. Zestrzeliłem go strzałem między oczy, tak bym mógł go użyć jako osłony w niecce w której tarzały się bizony. Wciąż pamiętam, jak na mnie patrzył tuż zanim posłałem mu kulę.

Hastings przygryzł wargę.

— Tak, tak.

Cała piątka stała w półmroku: Hugh, Hastings, Roswell, Willis i Greer. Hastings odchrząknął.

— Możemy pociągnąć słomki — zaproponował.

— Nie ma potrzeby — odparł Harry Roswell. — Ja to zrobię.

Pozostała czwórka szybko spojrzała na Roswella. Greer zwilżył cienkie wargi, po czym odwrócił się i odszedł. Willis odsunął kapelusz na kark, wzruszył ramionami i ruszył w kierunku wschodniego krańca tarasu.

— Oba muły i jednego z koni — stwierdził Roswell. — Którego konia?

Hastings wzruszył ramionami.

— Wybierz najgorszego. — Uśmiechnął się, spoglądając na zacieniony rząd zwierząt uwiązanych na zachodnim krańcu tarasu. — Stevensa — powiedział.

Roswell oparł karabin o ścianę i sięgnął po swojego colta. Hugh położył dłoń na ramieniu Roswella.

— Użyj noża — powiedział. — Nie możemy marnować amunicji. Poza tym… nie chcemy pobudzić Apaczów.

Roswell skinął głową. Zwilżył wargi językiem. Hugh wyciągnął ciężki nóż i podał go podoficerowi. Roswell wziął go i podszedł do zwierząt.

— Odprowadzaj je pojedynczo od pozostałych! — zawołał Hugh. — Jeśli reszta poczuje krew, zaczną się denerwować.

Roswell skinął głową, nie odwracając się.

— Nie mógłbym tego zrobić — powiedział Greer z cienia.

— Ty nie mógłbyś zrobić niczego — warknął Hastings.

— Oficerom to się może nie spodobać — powiedział Greer.

Hastings splunął.

— Zanim wydostaniemy się z tego piekła, będzie musiało spodobać im się o wiele więcej różnych rzeczy.

Roswell trzymał już pierwszego konia za uzdę. Ktoś się do niego odezwał.

— Czyj to koń? — spytał nagle Hugh.

Hastings wpatrywał się w niego.

— Stevensa - powiedział.

Hugh ruszył do przodu.

— Ten przeklęty głupiec powinien trochę pomyśleć.

Roswell szarpał wodze gniadego konia Stevensa. Nagle rozległ się ostry krzyk Stevensa. Uderzył Roswella kolbą swojego karabinu. Podoficer zatoczył się w kierunku ściany tarasu, upuszczając nóż. Stevens był już na swoim gniadoszu. Wrzasnął jak Komancz i popędził podekscytowanego gniadosza na następnego w szeregu konia. Konie i muły szarpały się na uwięzi. Jeden po drugim zrywały się, rżąc ostro i uderzając kopytami o podłogę tarasu.

Stevens krzyknął przeciągle. Uderzył kapeluszem w najbliższe zady. Jeden z koni przeskoczył mur tarasu i popędził w dół zbocza. Roswell krzyknął, gdy oszalałe zwierzęta rzuciły się w jego stronę. Został przyciśnięty przez nie do muru. Potem konie i muły zaczęły uderzać w mur. Skały kruszyły się, gdy ich kopyta wyrzucały z nich iskry. Po chwili cała ich masa znalazła się za ścianą i runęła w dół zbocza w zgiełku, który odbijał się echem w całym kanionie. W powietrze wzbiła się chmura pyłu i popłynęła w stronę klifów.

Hugh pognał w stronę Roswella. Widział Stevensa pędzącego za mknącymi zwierzętami, machającego kapeluszem i dziko krzyczącego. Grupa koni i mułów dotarła już do dolnej części zbocza i przebiła się przez gęste zarośla. Potem były już wolne, pędząc w kierunku wschodniego krańca kanionu z miarowym stukotem kopyt.

Nettleton biegł ramię w ramię z Hugh.

— Co się stało?

Hugh nie odpowiedział. Przykucnął obok Roswella. Podoficer był nieprzytomny. Krew poplamiła mu twarz i spływała z kącika ust. Jedna ręka zwisała pod niemożliwym kątem. Z jego gardła, przy oddychaniu, wydobywał się bulgoczący dźwięk.

W nocnym powietrzu unosił się gorzki zapach kurzu. Stukot kopyt ucichł, kiedy do ludzi, którzy stali na tarasie dotarł płaski trzask karabinu.

— Ciekawe, co on sobie wyobrażał? — spytała Katy Corse.

— On oszalał — odparł Chandler Willis.

Hugh otarł krew z twarzy Roswella.

— Jest w kiepskim stanie. Pomóżcie mi przenieść go do jednego z pomieszczeń.

Willis i Hastings pomogli Hugh z rannym człowiekiem. Katy Corse weszła do pokoju po tym, jak położyli Roswella na kocu.

— Daj trochę materiału na bandaże — powiedział Hugh przez ramię.

Katy pochyliła się i podciągnęła spódnicę. Spojrzała na podartą i brudną halkę, którą miała na sobie.

— Przyłożenie takiego materiału do ran, w niczym mu nie pomoże.

Hugh wytarł krew z podbródka i szyi Roswella.

— Poproś panią Nettleton o coś z jej rzeczy. Ma ich pełno.

Katy skinęła głową. Wyszła z pomieszczenia. Hastings upuścił wzrok na Roswella.

— Co o tym myślisz, Kinzie? — spytał przyciszonym głosem.

Hugh wstał.

— Jest cały roztrzaskany w środku.

Hastings pokręcił głową.

— Nie sądziłem, że potraktuje mnie poważnie, kiedy kazałem mu zabić konia Stevensa.

Willis stał oparty o ścianę.

— Dobrze wiedziałeś, że zawsze robił to, co mu kazano, sierżancie.

Hastings uniósł głowę.

— Tak. Tak.

Do pomieszczenia wpadł Abel Clymer.

— Hastings! — warknął. — Musimy natychmiast sprowadzić te konie z powrotem.

Daleko w głębi kanionu rozległ się kolejny huk wystrzału, brzmiący niczym trzaskanie szczap w kominku.

— Jeśli pan porucznik powie mi, jak to zrobić — powiedział chłodno Hastings — chętnie spróbuję.

Clymer spoglądał po kolei po trójce stojących przed nim ludzi.

— Kto jest odpowiedzialny za to zamieszanie?

— Gdybyśmy ci powiedzieli, to co byś zrobił, Clymer? — spytał Hugh. — Postawiłbyś go przed sądem wojennym?

— Teraz to już na pewno jesteśmy w pułapce! — warknął Clymer.

Hugh zmierzył wzrokiem pieniącego się oficera.

— Byliście w pułapce, od chwili gdy opuściliście szlak do Fort McLane i zapuściliście się w te góry.

W oczach Clymera pojawiło się zwątpienie. Popatrzył w dół na Roswella.

— Jak poważnie jest ranny?

— Jest cały poraniony w środku, panie Clymer — odparł Hastings.

— Myślisz, że przeżyje?

Hastings wpatrywał się w wielkiego oficera.

— Mam taką nadzieję, panie poruczniku!

Clymer rozejrzał się po ciemnym pomieszczeniu.

— Gdzie jest Greer?

— Gdzieś na zewnątrz.

Clymer odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia.

Hastings poprawił głowę Roswella, kładąc ją z powrotem na zwiniętym kocu.

— Wyglądało to, jakby Clymer chciał, żeby Roswell umarł… Ciekawe dlaczego?

— Przypuszczam, iż doszedł do wniosku, że Roswell będzie teraz tylko ciężarem — odparł Hugh.

Weszła Katy Corse, niosąc na ramieniu halkę.

— Przynieś trochę wody, Willis — powiedziała.

Willis spojrzał na Hugh. Hugh skinął głową. Willis wyszedł z pokoju. Hastings wyjął z kieszeni ogarek świecy i zapalił go, umieszczając we wnęce na ścianie. Migoczące żółte światło zdawało się podkreślać upiorną bladość twarzy Roswella. Katy podała halkę Hastingsowi.

— Porwij ją — powiedziała.

Hastings zagwizdał, gdy poczuł pod palcami delikatny materiał.

— Mój Boże, ale nasza kotka miała piękny długi ogon, Katy. Co powiedziała, kiedy ją o to poprosiłaś?

Katy odgarnęła włosy do tyłu.

— Nie prosiłam jej. Gdybym poprosiła, a ona by mi odmówiła, to i tak bym to wzięła.

Hugh wyszedł na zewnątrz. Abel Clymer znajdował się w połowie zbocza, wpatrując się na zachód, jakby mógł przeniknąć przez gigantyczną skałę, która blokowała tajemnice tamtej części kanionu.

Darrell Phillips podszedł i stanął za Hugh.

— Chciałbym, żeby wybrał się na zwiad w górę kanionu — powiedział cicho.

Hugh spojrzał szybko na oficera.

— Mamy coraz mniej ludzi — zauważył. — Najpierw Pearce. Potem Stevens i Roswell. Morton jest bezużyteczny, a Greer niewiele lepszy.

Phillips machnął ręką.

— Mimo wszystko życzę mu, żeby władował się prosto w pułapkę Apaczów.

— Kto stoi na warcie?

— Nie wiem.

— Niech to szlag!

Hugh obrócił się na pięcie i ruszył pośpiesznie w kierunku wieży strażniczej. Szybko skręcił w wąskie przejście. W ciemności wyczuł jakiś nagły ruch. O skałę zgrzytnęły czyjeś buty. Potem coś rozbiło się i brzęknęło o skalną ścianę. W stronę Hugh popłynął ostry zapach mocnego alkoholu. Rzucił się do przodu, ale ktokolwiek upuścił butelkę, zniknął w ciemnościach przejścia prowadzącego za domami przy klifie.

Hugh wrócił na taras. Hastings i Willis byli z Roswellem i Katy. Nettleton był z żoną. Phillips stał na końcu tarasu i patrzył w dół kanionu. Abel Clymer był w połowie zbocza, spoglądając w kierunku, w którym zniknęły konie i muły. Hugh skinął głową. Podszedł do przejścia, które prowadziło do trójkątnego korytarza za domami. W ciemnościach coś się ukradkiem poruszało. Hugh wyciągnął dużą dłoń i zacisnął ją na kołnierzyku koszuli Greera. Przyciągnął do siebie wyrywającego się małego człowieczka.

Greer rzucił się na Hugh. Ten lekko nim potrząsnął. Greer obnażył żółtawe zęby.

— Nie masz prawa tak mnie traktować!

Hugh przysunął twarz blisko twarzy Greera.

— Ty pijany mały draniu! Skąd to wziąłeś?

Greer się wycofał.

— Na dole, w jednym z tych okrągłych pokoi pod tarasem.

Hugh zgrabnie odepchnął pod ścianę małego ordynansa.

— Jeszcze niedawno nic innego, poza dźgnięciem w zadek widłami Szatana, nie mogłoby cię zmusić do zejścia tam.

Greer drżąco wyciągnął rękę.

— Nie mów kapitanowi — błagał.

— Masz jeszcze jedną butelkę?

— Nie!

Hugh szybko przesunął dłońmi po ciele małego człowieczka. Greer był czysty. Hugh przystawił wielki palec pod nos Greera, jakby upominał małe dziecko.

— Jedno tchnienie alkoholu od ciebie, Greer, i złamię ci cholerny kark jak zapałkę. Rozumiesz?

Greer się wyprostował. Nastroszył swoją chudą szyję.

— Człowiek musi mieć coś pod ręką, żeby podtrzymać swoją odwagę.

— Przede wszystkim, ty nigdy niczego takiego nie miałeś.

— Idź do diabła, Kinzie!

Hugh zrobił krok do tyłu.

— Weź karabin. Wyjdź na taras i miej oczy szeroko otwarte.

Greer obserwował Hugh wracającego w stronę tarasu. Mały sanitariusz pobiegł z powrotem do trójkątnego przejścia. Sięgnął do szczeliny i chwycił butelkę. Szybko, drżącymi rękami, wyciągnął z niej korek. Przechylił butelkę i pozwolił płonącemu trunkowi spłynąć przez otwarte gardło. Przełknął ślinę, jakby smakował mleko matki, po czym zdjął butelkę, zakorkował ją i schował. Wytarł usta grzbietem brudnej dłoni i uśmiechnął się w ciemności.

— Idź do diabła, Kinzie — powiedział cicho.

Hugh podszedł do drabiny, która wystawała z jednego z otworów w podłodze tarasu. Powoli schodził po niej, aż jego stopy dotknęły podłogi na niższym poziomie. Wyjął ogarek świecy i zapalił go, kładąc na jednej z niskich półek otaczających pomieszczenie. Część zawartości pakunków przyniesionych przez muły była przechowywana w tym pokoju. Hugh poruszył kilka rzeczy czubkiem buta, kręcąc przy tym przecząco głową. Pudła z ubraniami, pudła na kapelusze, torby z drobiazgami i kilka obrusów. Wśród znajdujących się tutaj rzeczy nie było żadnego alkoholu.

Coś poruszyło się na tarasie. Hugh zdmuchnął świeczkę i wspiął się po drabinie. Greer był na zachodnim krańcu tarasu, patrząc w dół na kanion. Na tarasie nie było nikogo innego. Hugh usłyszał, jak Harry Roswell jęczy w ciężkim bólu. Podszedł do następnego otworu na dół i zszedł po chwiejnej drabinie. Ponownie zapalił świecę i rozejrzał się po pokoju. Po jednej stronie leżało kilka skórzanych sakw. Hugh uklęknął obok nich i

otworzył pierwszą z nich. Przez słomiane wypełnienie przeświytywały szyjki butelek.

Drabina zatrzeszczała. Hugh odwrócił się. Przez otwór wystawała para ciężkich nóg. Hugh przykucnął na piętach. Szerokie ramiona Abela Clymera przesunęły się przez otwór. Podejrzliwie popatrzył na Hugh.

— Co robisz tu, na dole? — zapytał.

Hugh spojrzał w dół na butelki z alkoholem.

— Rosewell może trochę tego potrzebować, zanim się to skończy — powiedział.

Clymer stał na drabinie, ciężko oddychając. Jego oczy były zmrużone.

— To własność Netlettona — powiedział.

Hugh wstał.

— Przede wszystkim, Roswell jest w kiepskim stanie. Jeśli to pomoże złagodzić jego ból, może wypić cały ten cholerny ładunek.

Clymer zszedł na chropowatą podłogę i podniósł głowę.

— Powiedziałem, że to własność Netlettona.

Hugh oparł się o jeden z niskich filarów podtrzymujących dach z drewnianych belek.

— Czemu nagle tak bardzo przejmujesz się własnością Netlettona? spytał spokojnie.

Clymer zrobił się czerwony.

— Co masz na myśli?

Hugh popatrzył w sufit.

— Nic.

Clymer nie do końca wiedział, co robić. Kinzie nie szanował jego gwiazdek i z pewnością nie bał się go.

— Masz na myśli panią Nettleton? — w końcu z siebie wyrzucił.

Hugh wyglądał na zaskoczonego.

— A niby dlaczego, Abel!

Clymer splunął na bok.

— Ona jest damą — oznajmił. — Jako oficer i dżentelmen mam obowiązek zadbać o to, żeby bezpiecznie dotarła do Santa Fe.

— Brawo! — stwierdził Hugh sucho.

Clymer wyciągnął swą wielką dłoń, wskazując palcem na twarz Hugh.

— Jesteś niczym innym, jak tylko cholernym cywilnym zwiadowcą. Nie podoba mi się twoje nastawienie i nie lubię ciebie. A teraz wstawaj i zajmij się swoją robotą.

Hugh wyciągnął w dół rękę i wyjął jedną butelkę z sakwy. Przeczytał etykietę.

— To wystarczy na początek — powiedział. Minął wielkiego mężczyznę i zatrzymał się u stóp drabiny. Obejrzał się przez ramię.

— A ty jesteś niczym innym, jak tylko cholernym oficerem armii. Nie podoba mi się twoje nastawienie i nie lubię ciebie. Zajmę się swoją robotą, Clymer, i zastanawiam się, czy ty dasz radę zająć się swoją, zanim wydostaniemy się z tego bałaganu.

Hugh wspiął się po drabinie. Podszedł do pokoju, w którym w agonii leżał Harry Roswell. Podał butelkę Katy. Matt Hastings przyjrzał się jej. Chandler Willis zwilżył cienkie usta. Katy spojrzała na butelkę.

— Myślisz, że on może to pić? — spytała.

Hugh odsunął kapelusz na tył głowy. Pot spływał po upiornej twarzy Roswella wielkimi, przejrzystymi kroplami.

— Nic innego nie ma — powiedział.

— Jak długo wytrzyma?

— Quien sabe?

Roswell otworzył oczy.

— Wypełniałem tylko swój obowiązek — powiedział wyraźnie.

— Pewnie. Pewnie — odparł Hastings. Otarł pot z twarzy Roswella.

Roswell wpatrywał się w sufit.

— Zawsze wypełniałem swój obowiązek — powiedział. — Jonas nie miał prawa tego robić. Powinien stanąć przed sądem wojskowym za to, co zrobił.

— Pewnie — powtórzył ponownie — Hastings. Popatrzył na butelkę. — Jak się czujesz, Harry?

Roswell zamknął oczy.

— Źle. Jestem cały rozbity w środku, sierżancie.

Katy podała Hastingsowi butelkę. Pierwszy sierżant zajął się drutem i owijką z korka i wyciągnął go. Wlał trochę alkoholu do blaszanego kubka i delikatnie uniósł głowę i ramiona Roswella. Ranny mężczyzna pociągnął łyk alkoholu. Potem połknął go.

Hugh poklepał Chandlera Willisa po ramieniu.

— Idź na zewnątrz — powiedział. — Greer jest na straży, a ja mu nie ufam.

Willis uśmiechnął się.

— A mnie ufasz, Kinzie? Jak miło! — Wziął karabin i wyszedł na zewnątrz.

Hastings popatrzył na Hugh.

— Co go gryzie?

— Kto wie?

— Myśli o tym, żeby się stąd wymknąć?

— A kto nie myśli?

Hastings wstał.

— Złamię mu cholerny kark, jeśli spróbuje.

— Jeśli go złapiesz, Matt. Poza tym, nie spróbuje tego sam.

— Co masz na myśli?

— Mógł spróbować z Pearce'em. Chce, żebym się zerwał razem z nim.

Hastings przysunął się do Hugh.

— Nawet nie próbuj, Kinzie — oznajmił. — Widziałem już wiele oddziałów z kompani J, ale z tym jest jak dotąd najgorzej. Straciliśmy już trzech ludzi. Jedyny sposób, w jaki ktokolwiek z nas może wyjść z tego żywy, to trzymać się razem. Myślę, że ty mógłbyś to zrobić sam… ale tego nie zrobisz.

— Jak to?

— Masz pewne poczucie honoru.

— To wszystko?

Twarde spojrzenie sierżanta wbiło się w Hugh.

— Zabiję każdego człowieka, oficera, szeregowca lub cywila, który spróbuje uciec sam.

Hugh wzruszył ramionami. Podszedł do drzwi.

— Katy — powiedział — za jakiś czas poproszę panią Nettleton, żeby cię zmieniła.

Katy odgarnęła ciemne włosy. Potem się roześmiała.

— Hugh, są chwile, kiedy okazujesz nieświadome poczucie idiotycznego humoru.

— Przyjdzie tutaj — oznajmił Hugh. Wyszedł na taras.

Matt Hastings przykucnął obok Katy.

— Coś takiego, muszę zobaczyć — powiedział.

Rozdział 12

Marion Nettleton uśmiechnęła się, kiedy Hugh wszedł do pokoju, który dzieliła z mężem. Maurice Nettleton uniósł wzrok.

— Jak tam Roswell? — spytał.

— Nie najlepiej.

Nettleton przygryzł wargę. Pociągnął się za bokobrody.

— Nie możemy sobie pozwolić na stratę kolejnego człowieka, Kinzie.

— Pozwoliłem sobie przywłaszczyć, jedną z pańskich butelek alkoholu. Dla niego. Żeby złagodzić ból.

— W porządku. Biedak. Czy możemy coś jeszcze zrobić dla niego?

— Tak. Panna Corse opiekuje się nim teraz. Chciałabym, żeby pani Nettleton od czasu do czasu odciążała ją w nocy.

Nettleton wstał.

— Absolutnie nie! Pani Nettleton jest zbyt delikatnej postury, by wykonywać taką pracę.

Marion Nettleton popatrzyła na męża.

— Ależ dlaczego, Maurice! — oznajmiła szybko. — Z przyjemnością pomogę. Jestem żoną żołnierza. Muszę nauczyć się wykonywać tego typu prace.

Maurice Nettleton wpatrywał się w swoją żonę. Czasami zastanawiał się nad nią. Kiedyś powiedziała, że nigdy nie będzie miała dzieci z powodu bólu i bałaganu, jaki się z tym wiąże. Uderzyło go to mocno i nigdy o tym nie zapomniał. Teraz zgłosiła się na ochotnika do opieki nad ciężko rannym chorym, który nie kąpał się od kilku tygodni. Maurice Nettleton nie potrafił jej rozgryźć.

Marion popatrzyła na Hugh.

— O której mam tam być?

— Za około godzinę. Katy spędzi z nim większość nocy, ale musi się przespać. Może to pani z nią ustalić.

Uśmiechnęła się.

— Jestem pewna, że tak.

Hugh wyszedł z pokoju. Popatrzył na nią zza drzwi. Spodziewał się po Marion Nettleton czegoś zupełnie innego. Nic dziwnego, że trzymała tego biedaka, swojego męża, pod tą piękną stópką.

****

Myron Greer wyjrzał na zewnątrz przez okno wieży. Księżyc skąpał kanion w czystym, srebrnym świetle. Alkohol delikatnie bulgotał w jego

brzuchu. Uśmiechnął się, opierając się o parapet okna. Ten przeklęty Hugh Kinzie nie był taki, jakim się wydawał.

Greer popatrzył na taras. Kinzie był na drugim końcu z Darrellem Phillipsem. Greer zszedł na kolejne piętro wieży, a potem na pierwsze. Stał tam w ciemności, nasłuchując jak polujący kojot. Był za sprytny, by Kinzie mógł go przechytrzyć. Greer oparł karabin o ścianę i wszedł do korytarza.

Z góry słyszał sporadyczne stukanie kropel wody. Myron Greer nie potrzebował ani jedzenia, ani wody, skoro miał schowaną w zasięgu ręki butelkę alkoholu.

Przedarł się przez zaśmiecone przejście na tyłach domów, pogrzebał we wnęce w poszukiwaniu swojego skarbu, po czym przyłożył otwór butelki do ust. Pociągnął oszczędnie i odłożył flaszkę do schowka. Wrócił przejściem na swoje stanowisko, czując, jak płonie w nim ogień trunku. Może lepiej będzie wypić jeszcze łyczek. Może nie będzie mógł przez dłuższy czas ponownie opuścić stanowiska. Pośpieszył z powrotem do niszy. Wyciągnął butelkę i odkorkował ją, po czym jego ręka zamarła. Coś przemieszczało się korytarzem w kierunku wschodniego krańca budynków mieszkalnych. Zakorkował butelkę i uniósł rękę w stronę niszy. Teraz widział już tego człowieka dosyć dobrze. Był to Abel Clymer. Nikt inny nie mógłby wypełniać swoim ciałem przejścia, jak ten wielki oficer.

Abel Clymer grzebał w stertach zwalonych kamieni i gruzu. Nie patrzył w stronę Myrona Greera. Greer ponownie wyjął korek z butelki i głęboko pociągnął. Zmyślnie ukrył butelkę w innym miejscu. Następnie wrócił na swoje stanowisko, zatrzymując się za rogiem wieży, aby obserwować Clymera. Clymer przyglądał się czemuś, co trzymał przed oczyma. Następnie odłożył to, co miał w dłoniach do dziury i przykrył to kamieniami oraz gruzem. Greer prześlizgnął się za róg i wspiął się po drabinie, na swoje stanowisko. Z wysiłku kręciło mu się trochę w głowie, a jego stopy potykały się o szczeble pozbijanej drewnianymi kołkami drabiny. Wszedł do górnego pomieszczenia wieży i oparł się na chwilę o ścianę. Pokój zdawał się lekko kołysać i wirować, jakby unosił się na wodzie.

****

Księżyc był w okolicach najwyższego punktu na niebie. Jonas Stevens leżał na twarzy, a jego szponiaste palce wbite były w zakrwawiony piasek. Wyglądał na dziwacznie płaskiego. Dostrzegł Apacza, zanim ten wystrzelił. Jonas popędził swojego gniadosza, by wyprzedzić rozszalałe konie i muły, i udało mu się to akurat w chwili, by wylecieć z siodła po uderzeniu ciężkiej kuli karabinowej. Konie i muły dokonały reszty. Te same konie i muły, które Jonas Stevens starał się uratować.

Harry Roswell otworzył oczy i popatrzył w owalną twarz Marion Nettleton.

— Czy to już czas na pobudkę? — zapytał.

— Nie — powiedziała cicho.

Zamknął oczy.

— Wydawało mi się, że słyszałem trąbkę. — Zakaszlał ostro.

Podniosła mu ramiona i głowę. Kwaśny zapach człowieka przyprawił ją o mdłości. Zastanawiała się, jak Katy Corse mogła spędzić ostatnie dwie godziny, siedząc przy tym umierającym mężczyźnie. Położyła żołnierza i przetarła mu twarz wilgotną szmatką. Jego oddech był kwaśny i gęsty od oparów alkoholu. Zaschnięta krew oblepiała mu usta. Wdychane powietrze zdawało się bulgotać gdzieś głęboko w klatce piersiowej rannego. Na jego blade czoło wystąpił pot.

Marion wyciągnęła rękę i zgasiła świecę. Przez małe okna wpadało tylko słabe światło księżyca. Zimny palec strachu zdawał się przesuwać po jej kręgosłupie, prawie tak, jakby w chwili, gdy zgasiła świecę, do pokoju weszła śmierć, i dotknęła jej pleców, aby dać znać, że ona też czeka na koniec.

****

Darrell Phillips stał na warcie na wschodnim krańcu tarasu. W ciągu ostatnich kilku godzin śmierć uderzyła trzykrotnie. Dan Pearce zginął na dole, na piaskach. Jonas Stevens zginął gdzieś w dole kanionu. Harry Roswell walczył ze śmiercią w z góry przegranej bitwie. Darrell Phillips odczuwał chłodną samotność. Sprawy przybierały ostateczny obrót. Bieg wydarzeń zmierzał ku końcowi, który najprawdopodobniej doprowadzi Darrella Phillipsa do śmierci. Nie potrafił stawić temu czoła sam. Musiał mieć obok siebie Katy Corse, aby jej kobieca siła wypełniła luki w jego własnej sile, i aby oboje mogli razem stawić czoła nieubłaganemu końcowi.

****

Abel Clymer, oparty o ścianę, obserwował Hugh Kinziego. Ten przeklęty zwiadowca wściubiał nos we wszystko. Abel zastanawiał się, czy Kinzie zszedł do podziemnego pomieszczenia tylko po to, aby znaleźć alkohol dla Roswella. Kinzie zawsze kręcił się wszędzie, jak cholerny chudy kot.

Kinzie wiedział, co Abel czuł do Marion Nettleton. Kinzie zawsze był tak cholernie pewny siebie. Był to jeden z powodów, dla których Abel musiał przyjąć spokojnie jego zachowanie. W grupie nie było nikogo innego, kto mógłby posłużyć Ablowi Clymerowi tak, jak Hugh Kinzie. We dwóch mogliby wyrwać się z tej śmiertelnej pułapki i zabrać ze sobą Marion Nettleton. Kinziego można by było pozbyć się później, kiedy bezpieczna przystań będzie już w zasięgu wzroku. Na ciele Clymera pojawił się pot. Ręce drżały mu na samą myśl o sukcesie. Z Marion Nettleton i wekslami, które ukrył, będzie największym bohaterem na zachód od Missisipi.

Clymer zwilżył wargi. Było czterech ludzi, którzy mu towarzyszyli, kiedy znalazł ciało Winstona. Kapral Roswell, szeregowi Pearce, Willis i Stevens. Roswell był umierający. Pearce nie żył, Stevens prawdopodobnie też. Pozostał tylko Willis, drań o wyłupiastych oczach, z którym należało się liczyć. Był skryty i przebiegły. Ile wiedział?

Abel Clymer zniknął w ciemności, gdy Hugh Kinzie szedł powoli wzdłuż tarasu, spoglądając na tajemniczy, oświetlony blaskiem księżyca kanion. Kojot zawył cicho ze szczytu przeciwległej skalnej ściany.

****

Isaiah Morton przycisnął swe szczupłe dłonie do rozpłomienionych oczu. W głębi jego duszy płonął ogień, który zdawał się przybierać na sile wraz z upływem dni. Nie odczuwał głodu ani pragnienia, ale jego chęć niesienia Słowa Bożego poganom, którzy trzymali grupę w potrzasku, stawała się coraz bardziej intensywna, na podobieństwo jakiegoś nienasyconego płomienia, szalejącego w jego duszy.

— O mój Boże, dlaczego mnie prześladujesz? — wyszeptał. Splótł ze sobą szczupłe palce i wypchnął dłonie w dół, unosząc głowę i oczy ku górze. Zadrżał lekko w ekstazie pożądania. — Przyniosę im prawdę, i prawda ich wyzwoli. Sprawię, że będą chodzili jako dzieci światłości.

****

Hugh Kinzie szedł wzdłuż tarasu, niosąc torby z alkoholem. Nie widział oczu, które obserwowały go z wieży. Hugh schylił głowę, aby wejść w niskie drzwi pokoju, w którym umierał Harry Roswell.

— Jak on się czuje? — zapytał Marion.

Ze zmęczeniem odgarnęła kosmyk wilgotnych włosów.

— Śpi — poinformowała go.

— Bueno! — Hugh postawił sakwy w kącie.

Popatrzyła na sakwy.

— Nie myślisz chyba, że będzie potrzebował tego wszystkiego?

— Nie, ale tutaj jest to bezpieczniejsze.

— Dlaczego?

Hugh przykucnął obok niej i sięgnął po sakiewkę z tytoniem.

— Jedzenie prawie się skończyło. Straciliśmy dwóch ludzi i wkrótce stracimy kolejnych. Nerwy robią się coraz bardziej napięte. W takich chwilach ludzie sięgają po alkohol, by dodać sobie pijackiej odwagi.

— Odwagi, która szybko się ulotni.

— Tak. Mogę zapalić?

Skinęła głową.

— Jeśli ja też mogę.

Przyglądała mu się, gdy skręcał jej papierosa.

— Nie jesteś zaskoczony?"

Pokręcił przecząco głową.

— Spędziłem zbyt wiele czasu na pograniczu, by przejmować się myślą o palących kobietach.

Umieścił papierosa między jej pełnymi ustami i zapalił go zapałką. Płomień rozświetlił jej owalną twarz. Zdmuchnął zapałkę, nie odrywając od niej wzroku.

Uciekła spojrzeniem na bok.

— Nie zrobiłeś papierosa dla siebie — zauważyła.

Pacnął się w głowę.

— Och!

Patrzyła na jego duże palce, które zręcznie zwijały cylinder z tytoniu.

— Wygląda na to, że ty wszystko robisz dobrze.

Włożył papierosa do ust i zapalił go.

— Wszystko?

— Wszystko co widziałam, jak robisz.

— To już lepiej.

Palili bez słowa. Hugh popatrzył na Harry'ego Roswella. Jego twarz przeszła subtelną zmianę; wydawała się dłuższa i zapadnięta. Wyglądało to tak, jakby czaszka próbowała przebić się przez ciało.

— Myślisz, że jest jakaś szansa? — spytała.

— Nie.

— Nie sądziłam, że tak łatwo się poddasz.

Popatrzył na nią szybko.

— Poddać się? Ja się nie poddaję. Myślałem, że mówisz o Harrym.

— No i?

Usiadł, opierając się plecami o ścianę.

— Niektórym z nas może udać się dotrzeć do Rio Grande.

Mimo woli zadrżała. Tkwił w nim pewien fatalizm, którego się nie spodziewała. Był to jednak człowiek, na którym można było polegać.

Hugh popatrzył na swojego papierosa.

— Moim zadaniem jest zapewnić bezpieczeństwo pani, pani Nettleton.

Była zaskoczona. Wyglądało to prawie tak, jakby czytał w jej myślach.

Hugh wstał.

— Przyznaję, że sytuacja wygląda dosyć czarno, ale mogło być jeszcze gorzej. Nie zostaliśmy tu zaatakowani. Mamy jeszcze trochę wody.

Zgasiła papierosa.

— Nie mamy koni. Garstka ludzi, z których połowa stanowi tylko bezużyteczny balast.

Wzruszył ramionami.

— Powiedziałem przecież, że niektórym z nas się to nie uda.

— Ale ty dasz radę?

— Tak.

Nagle wstała, stając tak blisko niego, że jej pełne piersi dotknęły jego koszuli.

— Kiedyś powiedziałeś mi, że szanse są pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Może mniej. Obiecałeś mi też, że będziesz blisko mnie, na szlaku. Czy ta obietnica jest nadal aktualna?

Położyła smukłe dłonie na jego ramionach i spojrzała mu w oczy. Jej własna obietnica widoczna była w jej oczach. Wiedziała, jak używać posiadanej broni.

Hugh objął ją w talii i przycisnął ją do siebie, czując jej oddech na twarzy. Zadrżała lekko, gdy przysunął twarz blisko jej.

— Nie uważa pani, że to piekielnie paskudne miejsce na zajmowanie się takimi sprawami? — spytał łagodnie. — Z umierającym człowiekiem u naszych stóp i pani mężem niecałe pięćdziesiąt stóp stąd?

Jej twarz zarumieniła się, a potem pojawiło się na niej napięcie. Przygryzła wargę, gdy zdała sobie sprawę, że robi z niej idiotkę. Z trudem próbowała się wyswobodzić. Nagle puścił ją. Podniosła ręce, by rozorać mu twarz krwawymi wstęgami, ale był dla niej za szybki. Pocałował ją tak mocno, że posiniaczył jej wargi, a jego wąsy musnęły jej delikatną skórę. Potem odepchnął ją i podszedł do drzwi. Popatrzył na nią.

— Proszę opiekować się dobrze Harrym — powiedział spokojnie.

— Do diabła z tobą!

Uśmiechnął się.

— Niech pani pamięta, że jest pani damą — stwierdził z silną nutą śmiechu w głosie.

Rzuciła kubkiem w ścianę, gdy zniknął jej z oczu…

Abel Clymer przycisnął swoje wielkie ciało do ściany, gdy Hugh Kinzie przechodził obok niego. Grube wargi Clymera rozchyliły się, gdy popatrzył na szerokie plecy zwiadowcy. Clymer oparł dłoń na kolbie rewolweru. Podsłuchał ich rozmowę w pomieszczeniu. Wycofał rękę. Niech sobie rozmawiają. Oboje stanowili część jego planu, a on nie stanowił części ich. Abel Clymer mógł grać na zwłokę. Jego czas jeszcze nadejdzie…

W kanionie zawył cicho kojot. Jakiś nocny ptak ćwierkał z zarośli. Harry Roswell otworzył oczy i popatrzył na Marion Nettleton.

— Chciałbym… — wyszeptał cicho. — Chciałbym... — Jego głos ucichł. Jego oddech ustał, ale oczy miał szeroko otwarte.

Marion Nettleton z przerażeniem wpatrywała się w martwego człowieka. Wtedy jej samokontrola załamała się. Krzyknęła i po chwili krzyknęła ponownie, budząc w kanionie echa.

Rozdział 13

Pochowali Harry'ego Roswella za rozpadającą się ścianą, w gruzach zawalonego dachu. Na grobie nie było żadnego znaku. „Nikt nigdy nie przybędzie tu, by odnaleźć jego grób”, pomyślał Hugh, patrząc, jak Chandler Willis i Matt Hastings kończą pochówek.

Hastings popatrzył na Hugh.

— Gdzie jest Greer?

— Był na warcie.

— Teraz go tam nie ma.

— A więc, pewnie gdzieś śpi.

Hastings skinął głową. Wyjął swój mały notatnik i zanotował. „Roswell, H. L., kapral - zwolniony ze służby, z powodu śmierci.”

— Co oznacza to "L"? — spytał Willis, ocierając pot ze swojej chudej twarzy.

— Lemuel.

— Jezu.

Isaiah Morton zacisnął swoje szczupłe dłonie i popatrzył w dół na nieoznaczony grób.

— Odszedł z tej ziemi do swojej nagrody w Niebie — powiedział. — Nasza strata jest korzyścią dla Nieba.

— To ten sukinsyn Stevens jest za to odpowiedzialny — stwierdził Matt Hastings.

— Zapisałeś Stevensa w swojej małej książeczce, Matt? — spytał Hugh.

— Tak.

— Jak to oznaczyłeś?

Hastings uniósł wzrok.

— Nieobecny, bez przepustki. Jakże inaczej?

— Mój Boże — stwierdził Hugh. — Zawsze i wszędzie żołnierz.

— Nasza banda zagubionych owieczek zmniejsza się z każdym dniem — oznajmił Morton. Pochylił głowę. — Pan jest moim pasterzem.

— Aż mnie ciarki przechodzą — burknął Willis.

Poranne słońce wpadało do cichego kanionu. Ciepło wsiąkało w skalne klify. Nie było nawet powiewu wietrzyka, który przyniósłby ulgę od upału.

— Wydawałoby się, że oficerowie powinni też się tu pojawić — zauważył Willis.

Hugh skinął głową. Oznaki były oczywiste. Każdy zaczynał myśleć teraz o sobie, włączając w to Marion Nettleton.

Willis rozpiął koszulę i podrapał się po chudym brzuchu.

— Jakieś kłopoty? — spytał Hastingsa.

— Nie.

— To już nie jest wojsko. Człowiek powinien móc odejść w każdej chwili, kiedy tylko ma na to ochotę.

Hastings zamknął książkę i schował ją do kieszeni.

— Taaa — zauważył spokojnie. — Gdyby nie dwie rzeczy.

Willis splunął leniwie.

— A co mogłoby powstrzymać człowieka?

Hastings uniósł do góry dwa brudne palce.

— Po pierwsze — oznajmił spokojnie, — Apacze. Po drugie, ja.

Willis ziewnął. Wyprostował się, po czym zszedł ze sterty gruzu do trójkątnego przejścia.

— On ma rację — zauważył Hugh.

Hastings odwrócił się szybko.

— Co masz na myśli?

— To już nie jest wojsko, Matt. W tej chwili każdy działa już na własny rachunek.

Hastings otarł pot z twarzy.

— Śmiało, Kinzie. Nie będę próbował cię zatrzymywać.

Hugh zsunął się po rozpadającej się kupie gruzu.

— Spróbuję znaleźć jakąś zwierzynę — rzucił przez ramię.

Morton modlił się. Hastings popatrzył na chudego kaznodzieję.

— Jakiś sposób na zdobycie manny z nieba? — spytał.

Morton nic nie odpowiedział.

— A może cud rozmnożenia chleba i ryb? — dopytał Hastings.

Morton nawet się nie poruszył. Hastings wzruszył ramionami i wyszedł z pomieszczenia.

****

Część spłoszonych zwierząt pojawiła się na dole w kanionie, około południa. Było ich pięć. Tylko konie. Pierwszy zobaczył je Darrell Phillips.

— Patrzcie! — zawołał łamiącym się głosem.

Pozostali, z wyjątkiem Myrona Greera, wybiegli z pomieszczeń, w których próbowali uniknąć upału. Przykucnęli za niskim murkiem tarasu i popatrzyli na konie.

— Miały wodę — powiedział Hastings.

— Miały trawę — powiedział Willis.

Mężczyźni popatrzyli po sobie. Abel Clymer oparł wielkie łapy na szczycie muru.

— Dam pięćdziesiąt dolarów każdemu, kto przyprowadzi tutaj jednego z tych koni.

Przez chwilę panowała cisza, po czym Chandler Willis zaśmiał się sucho.

Hugh Kinzie przyjrzał się odległej ścianie kanionu. Nie było na niej widać żadnych oznak życia. Ktokolwiek kierował tą okrutną grą, był prawdziwym geniuszem. Miał idealne wyczucie czasu. Morale i jedność w

małej oblężonej grupie Białookich zaczynały wykazywać poważne ślady pęknięć.

— Sto dolarów — dorzucił Abel Clymer.

— Zamknij się — powiedział Hugh.

Uciekinierzy powoli przemieszczali się w cieniu wielkiego skalnego zbocza. Tak blisko, a jednak tak daleko. Lecz przeprawa przez ten odcinek spieczonej słońcem skały i piasku mogła kosztować znacznie więcej niż sto dolarów. Ceną mogło być życie.

Po południu upał stał się już bardzo silny. W martwym powietrzu nie było nawet śladu wiatru. Nic się nie poruszało, nawet bezpańskie zwierzęta, które stały z pochylonymi głowami w gorącym cieniu skalnego zbocza.

Matt Hastings przejechał językiem po popękanych wargach. Spojrzał na Hugh.

— Co o tym myślisz? — zapytał.

— Nawet tego nie próbuj, Matt.

— Może po zmroku?

— Oni mają słuch jak psy.

— Tak.

Minuty mijały. Hastings wysunął karabin do przodu i sprawdził spłonkę. Położył dłoń na rękojeści rewolweru. Spoglądał na Hugh spod przymrużonych powiek.

Hugh uniósł kciuk i popatrzył w górę spod ronda kapelusza. Wysoko w bezwietrznym powietrzu, niczym skrawek zwęglonego papieru, unosił się myszołów. Jego cień przemykał po żółtawym dnie kanionu.

Matt Hastings oparł głowę na przedramionach.

— Pech — stwierdził.

Stałe bicie serca Hugh zdawało się przypominać wahadło zegara, wyznaczające powolny upływ czasu. Pot spływał mu po ciele i zdał sobie sprawę, że minęło już sporo czasu, odkąd się ostatnio kąpał. Dotknął twarzy. Szczecina na jego szczękach była już całkiem gęsta.

Hastings nagle się roześmiał. Dla Hugh zabrzmiało to na tyle dziwnie, że podniósł głowę i popatrzył na wielkiego sierżanta. Na spalonej słońcem twarzy Hastingsa pojawił się uśmiech, lecz w jego oczach nie było śladu wesołości.

— Co cię tak rozśmieszyło? — spytał Hugh.

Hastings delikatnie dotknął swych popękanych warg, których stan pogarszało rozciągnięcie warg w szerokim uśmiechu.

— Myślałem o starym Dobe-gusndi-he. Był to wódz Apaczów White Mountain. Nigdy nie udało mi się dorwać tego przebiegłego drania. W końcu jeden z jego wojowników sprzedał go za worek kul, rzeźnicki nóż i butelkę taniej whiskey. Dopadliśmy go w pobliżu góry Escudilla. Złapaliśmy go w takim kanionie, jak ten. Nie miał wody. Nie miał jedzenia. Cholernie mało prochu i kul. — Hastings ponownie oparł ze znużeniem głowę na przedramionach.

— I?

Hastings uniósł głowę. Otarł pot z oczu.

— Mieliśmy go... elegancko jak pod kluczem. Lecz on nie chciał się poddać. Nie ten stary diabeł. Ale dorwaliśmy go.

— Jak?

— Nie było sensu atakować go wprost. Był jak osaczony szczur. Naszym oficerem dowodzącym był pan Ballard - dobry żołnierz i matematyk. Zbadał ukształtowanie terenu. Apacze zaszyli się pod wielką jaskinią, podobną do tej, w której my jesteśmy. Z przodu otwarty teren - żadnej osłony. Nie dawało się do nich dobrać ani z boku, ani od góry. Ale dorwaliśmy ich. Wszystkich.

— Opowiadaj dalej. To pozwala zabić monotonię.

— Taaa. Jak już mówiłem, Ballard był matematykiem. Popatrzył na nachylenie dachu jaskini i wykonał parę obliczeń. Mówił coś o tym, że kąt odbicia jest taki sam, jak kąt padania. Nie wiedziałem wtedy, co to znaczy, ale dowiedziałem się cholernie szybko. Ballard kazał nam celować w sufit jaskini. Strzelaliśmy tak długo, aż lufy zaszkliły się od gorąca. Na początku słyszeliśmy krzyki. Później jęki. Potem już nic. Ballard wstał i wszedł jak na paradzie prosto do tej przeklętej jaskini, jakby nikogo tam nie było.

— I co?

Hastings spoglądał przez dłuższą chwilę na Hugh.

— Te pociski odbijały się od dachu jaskini i trafiały prosto w Apaczów za głazami. Jezu, ale to było straszne! Kule wbiły się w nich. Wszędzie porozrzucane były kawałki czaszek z włosami. Żaden z tych biedaków nie żył. Wyglądało to tak, jakbyśmy na bezpośredni dystans poczęstowali ich kartaczem lub szrapnelem z górskiej haubicy. Ale nie straciliśmy ani jednego człowieka.

Hugh poczuł lekkie mdłości.

Hastings zamknął oczy.

— Ballard dostał awans. Później został skierowany do West Point, aby uczyć matematyki.

— To zrozumiałe.

Hastings popatrzył na czerwonawą skałę, która tworzyła dach pieczary nad domami.

— Tamto miejsce wyglądało zupełnie tak samo, jak to.

Hugh oparł się plecami o ścianę tarasu.

— Próbowałem rozgryźć, co znaczy Dobe-gusndi-he.

Hastings zaśmiał się sucho.

— Na tym polega dowcip. To znaczy niewrażliwy.

— Przestań — jęknął Hugh. — Dobijasz mnie.

Hastings przez chwilę wpatrywał się w Hugh, po czym wybuchnął śmiechem.

— To jedna rzecz, jaką zawsze w tobie lubiłem, Kinzie — oznajmił. — Masz najsuchsze na świecie, cholerne poczucie humoru.

Hugh wstał i popatrzył do tyłu, na przesiąknięte upałem domy.

— A propos suchości — powiedział spokojnie. — Idę poszukać Greera.

— Mam nadzieję, że ten sukinsyn gdzieś tam zdechł. Nigdy nie był żołnierzem i nigdy nim nie będzie.

— Możemy go potrzebować, zanim się stąd wydostaniemy.

— Jego? — Hastings splunął na sucho. — Jest tylko ciężarem. Jak ten w kółko wyśpiewujący psalmy gnojek, Morton.

Hugh wzruszył ramionami.

— Niedługo będziemy coś musieli zrobić, Matt.

Hastings potarł szczękę.

— Tak. Ale co?

— Na-tse-kes.

— Co to jest, do cholery?

Hugh popatrzył na kanion, cichy i złowróżbny w blasku słońca.

— Tylko jedna myśl w głowie, w kółko, po wyrzuceniu z niej wszystkich innych.

— Czasami wydaje mi się, że jesteś po części Indiańcem.

— Jedna myśl na raz: jak się stąd wydostać… żywym. — Hugh poszedł w kierunku domów.

Hastings potarł kolbę swojej broni i popatrzył na przeciwległą ścianę kanionu.

— Tak — stwierdził cicho. — Tak. Wiem, co masz na myśli, hombre.

Hugh popatrzył wzdłuż linii rozpadających się domów. Trzynaście osób przybyło tutaj w poszukiwaniu schronienia. Trzy z nich już nie żyły. Schronienie zmieniło się w więzienie, a wyrok dla każdej z pozostałych dziesięciu osób brzmiał: śmierć.

Rozdział 14

Myron Greer leżał w kryjówce, którą sobie znalazł. Tutaj był bezpieczny od wścibskich oczu innych uczestników wyprawy. Skończył mu się właśnie zapas alkoholu i szukał dalszych jego zapasów, kiedy znalazł swoją kryjówkę. Dach zawalił się z jednej strony, tworząc trójkątną kieszeń między podłogą a ścianą. Greer wczołgał się do środka i starannie ułożył kamienie, aby zakryć wejście. Było tutaj duszno i gorąco. Jego ubranie całe przesiąkło potem i drażniło swędzącą skórę. Od czasu do czasu, w jego wnętrznościach zdawały się jęczeć i wyć jakieś białe robaki. W podstawę czaszki uderzał mu miarowo młotek, a otwarcie oczu, nawet w tym półmroku, zdawało się posyłać w głąb głowy lance palącego bólu.

Myron Greer czuł palące pragnienie w gardle i jeszcze straszniejsze pragnienie w duszy. Oparł głowę o szorstką glinianą podłogę pomieszczenia. Z nim zawsze było tak samo. Nigdy nigdzie nie pasował. Jako dziecko był nielubiany, nawet przez swoich towarzyszy zabaw, z powodu swej niezgrabności i braku zdolności nawet do najprostszych sportów i gier. Jego ojciec był wielkim, potężnym mężczyzną z ogromnym ego i determinacją, aby pchać się na szczyt. Matka Myrona chroniła go i broniła, zachęcając do książek i nauki. W każdym bądź razie, był w tym lepszy niż przeciętnie.

W college'u przekonał się, że butelka jest dobrym rekwizytem dla człowieka, którego zawsze cechował brak pewności siebie. Po zakończeniu tego okresu życia, uzyskał stopień naukowy i nieustanne pragnienie, które uniemożliwiało mu utrzymanie jakiejkolwiek pracy dłużej niż przez miesiąc lub dwa. Wszystko było w porządku, dopóki nie dostał pensji, a potem szklane ostrogi - szklanki whisky - przejmowały nad nim kontrolę, a Myron Greer upijał się przez dwa lub trzy dni z rzędu, tracił pracę i przez tydzień cierpiał z powodu skutków kaca. Stopniowo udawało mu się pozostawać w stanie odurzenia przez większość czasu, aby uniknąć kaca i jeszcze bardziej przerażających uporczywych napadów wyrzutów sumienia.

Udał się na Zachód i po pijanemu zaciągnął się do wojska, aby umożliwić w ten sposób wypełnienie miesięcznego limitu przez sierżanta z rekrutacji i udowodnić szyderczo ryczącej grupie pijanych kolegów oraz chichoczących obskurnych i obszarpanych dziewczyn, że Myron Greer jest prawdziwym mężczyzną.

Greer delikatnie stuknął głową o podłogę. Był jeszcze bardziej chory niż kiedykolwiek przedtem, po walce z Johnem Barleycornem. Jedyne, co mogło mu pomóc, to więcej tego samego specjału. Ale Hugh Kinzie zabrał alkohol z pomieszczeń pod tarasem i miał czujne oko na ten cudowny magazyn radości w płynie.

Nagle przypomniał sobie, że poprzedniej nocy widział tego wielkiego sukinsyna Clymera grzebiącego w stercie gruzu. Greer poderwał się gwałtownie i uderzył głową o jedną z antycznych belek stropowych. Skrzywił się. Potem oblizał suche, popękane wargi. Może Clymer schował gdzieś tam butelkę. Warto było spróbować. Ale dopiero po zmroku.

Za jego kryjówką, zazgrzytały czyjeś buty. Greer leżał cicho jak myszka. Szukali go. To było tak, jak wtedy, kiedy był dzieckiem i słyszał stukot stóp ojca wchodzącego po schodach, aby upewnić się, że Myron nie czyta w łóżku. Wtedy Myron kurczył się pod kołdrą i podciągał nogi do brzucha. Obejmował je ramionami i leżał bez ruchu, dopóki ojciec nie odszedł. Powoli podciągnął nogi, a następnie owinął wokół nich cienkie ramiona. Zamknął oczy. Może w ten sposób nadejdzie błogosławiony sen.

****

Słońce zgasło na zachodnim niebie w fantasmagorii różu, purpury i złota. Kanion pogrążał się w coraz bardziej gęstniejących cieniach. Ciepło wciąż go wypełniało, czekając na rozproszenie przez nocne wiatry. Pięć zabłąkanych koni poszło sprzed domów na klifach w dalszą część kanionu, w poszukiwaniu tinaja. Było tam dla nich mnóstwo wody.

Nietoperze prześlizgiwały się przez ciemność, wyłaniając się ze swoich dziennych kryjówek. Króliki śmigały przez zarośla i biegły w stronę wodopoju. Małe szare lisy krążyły bez przerwy w nieustannym poszukiwaniu gryzoni. Lisy polowały na myszy i jaszczurki wzdłuż półek skalnych. To była swoista nocna karuzela: małe zwierzęta zabijały i zjadały mniejsze, by z kolei paść ofiarą jeszcze większych drapieżników. Noc była czasem na łowy.

Hugh Kinzie otarł pot z twarzy. Chandler Willis przesunął bryłkę tytoniu w ustach i splunął.

— Nie widziałem tego małego sukinsyna, odkąd zwolnił mnie z warty na wieży, żebym mógł pomóc pochować Harry'ego Roswella.

— Nie myślisz chyba, że opuścił tę osadę?

Willis uśmiechnął się krzywo.

— On? Ma gdzieś schowaną butelkę. Mały drań nie chciał dać mi się napić. Będzie siedział gdzieś w kącie, dopóki nie wypije całego alkoholu. Ale nawet cały kac świata nie zmusiłby Myrona Greera do wypuszczenia się do tego przeklętego kanionu.

Matt Hastings wyłonił się z ciemności i popatrzył na nich.

— Znaleźliście go? — spytał.

— Nie — odpowiedział Hugh.

Hastings uderzył pięścią w drugą dłoń.

— Skopię mu ten jego obwisły chudy tyłek, aż po środek pleców! — warknął.

Zaczęli przeszukiwać większość z pustych pomieszczeń. Hugh przyświecał sobie drogę suszonymi łodygami agawy, które znalazł na stosie w jednym z pokoi. Zaglądał do jednego pomieszczenia za drugim.

Niektóre z nich były wypełnione ruinami zawalonych dachów, podczas gdy inne były puste jak butelka whisky z zeszłej nocy. Słyszał, jak pozostali również szukają przerażonego małego człowieczka.

Hugh wszedł do trójkątnego przejścia. Z ciemności wyłonił się jakiś człowiek.

— Co ty tu robisz? — spytał Clymer.

— A co do cholery myślisz, że robię? Szukam czterolistnych koniczynek?

Clymer podniósł swą wielką głowę.

— Któregoś dnia — oznajmił ochryple, — wezmę….

— Zejdź mi z drogi — odparł Hugh.

— Znaleźliście Greera?

— Gdybyśmy go znaleźli, nie szukałbym go.

— Skręcę temu pokurczowi ten jego przeklęty chudy kark, kiedy go dorwę.

Hugh pokręcił z niedowierzaniem głową, idąc dalej korytarzem. Wszyscy martwili się o zaginionego małego człowieczka, a jednak każdy z nich groził mu śmiercią, jeśli go znajdzie. Hugh prawie żałował, że mały żołnierz nie zszedł do kanionu i nie zginął szybko.

Abel Clymer położył dłoń na kruszącej się ścianie i wspiął się na stertę gruzu z dachu. Jego wielkie stopy zapadły się nieco w luźnym gruzie.

— Greer! — ryknął przez zaciśnięte dłonie. — Wyłaź! Niech cię szlag, rozerwę cię żywcem na strzępy, kiedy cię dopadnę!

Pięć stóp poniżej Abla Clymera Myron Greer uniósł głowę, słysząc jego stłumiony głos. Strach osiadł na Greerze jak stęchły całun.

Clymer zatupał swoimi wielkimi stopami.

— Zabiję go! — wrzasnął.

Gruzy nagle osunęły się pod Clymerem. Antyczne cedrowe belki dachowe trzasnęły pod ciężarem osiadającego gruzu. Jedna z nich ułamała się ukośnie i ześlizgnęła w dół. Jej czubek wbił się pod lewą łopatkę Greera. Nieubłagany ciężar opadającego zaschniętego błota i kamieni wcisnął ten ostry czubek prosto w serce Myrona Greera.

****

Maurice Nettleton słuchał ze zniecierpliwieniem, jak Matt Hastings opowiada mu o tajemniczym zniknięciu Greera.

— Niech to szlag — warknął. — Ten człowiek nie mógł opuścić ruin! Ona ma jaja jak u myszy.

— Tak czy inaczej, nigdzie nie można go znaleźć.

Nettleton machnął ręką.

— Oznacz go w księdze — oznajmił. — Sierżancie, ktoś musi podjąć próbę przebicia się i sprowadzenia pomocy.

Hastings skinął potwierdzająco głową.

Nettleton popatrzył w twarz Hastingsowi.

— Człowiek, który zgłosi się na ochotnika i odniesie sukces, otrzyma odpowiednią nagrodę, nie wspominając o wdzięczności mojej żony i mojej.

— Rozumiem, panie kapitanie.

Popatrzyli na siebie w ciemności. Nettleton położył dłoń na ramieniu Hastingsa.

— Nie muszę ci mówić, że znajdujemy się w bardzo niebezpiecznym położeniu, Hastings.

Hastings ponownie skinął głową. Odsunął się i zasalutował. Następnie elegancko odwrócił się i odszedł.

— Sukinsyn — mruknął pod nosem.

Hastings pochylił głowę i wszedł przez niskie drzwi do pokoju, w którym czekali na niego Hugh Kinzie i Chandler Willis. Hastings ściągnął koszulę i przetarł nią pachy.

— Kto pełni wartę?

— Morton — odpowiedział Willis.

— On? Jezu! Postradaliście zmysły?

Hugh machnął bagatelizująco ręką.

— Widzi i słyszy, nawet jeśli jest na wpół porąbany. Co powiedział Nettleton?

— Żeby oznaczyć Greera w księdze.

Willis skrobał nożem po brudnych paznokciach, spoglądając od czasu do czasu na Hastingsa, gdy sierżant przy świetle świecy sporządzał wpis w swojej księdze.

Hastings dotknął językiem spękanych warg.

— Greer, M. M., szeregowy – zwolniony ze służby z powodu nieobecności bez przepustki.

Willis nachylił się do przodu.

— Co oznacza drugie „M”, sierżancie?

— Matthias.

— Jezusie.

Hastings zamknął księgę i popatrzył na Hugh.

— Stary chce, żeby ktoś ruszył po pomoc.

— Rozmawialiśmy o tym już wcześniej.

Hastings oparł się plecami o ścianę, krzywiąc się, kiedy gorąca powierzchnia dotknęła jego nagich pleców.

— Nie muszę ci mówić, że znajdujemy się w bardzo niebezpiecznym położeniu, Kinzie.

Hugh spojrzał dziwnie na pierwszego sierżanta.

Hastings uśmiechnął się.

— To były jego ostatnie słowa do mnie — wyjaśnił.

— A jakie były twoje ostatnie słowa do niego? — spytał Willis.

— Sukinsyn. Tylko, że on mnie nie słyszał.

— Szkoda, że nie słyszał.

Hugh sięgnął za plecy i wyjął butelkę z sakwy. Wyciągnął korek owinięty drutem.

— Napijmy się za Starego — powiedział.

Pili w milczeniu. Butelka obiegła kółko trzy razy. Nagle Willis roześmiał się. Pozostała dwójka popatrzyła na niego.

— Opowiedz nam swój dowcip, Willis — powiedział Hastings. — Ja też chciałbym się pośmiać.

Willis uśmiechnął się.

— Kapitan Nettleton — wyjaśnił. — Pierwszy porucznik Clymer. Podporucznik Phillips. Pierwszy sierżant Hastings. Szeregowy Willis! Rozumiecie?

Pozostała dwójka spojrzała na siebie. Potem zaczęli się śmiać.

— O Jezu — stwierdził Hastings. — Zupełnie jak jakaś przeklęta armia meksykańskich rewolucjonistów. Sami oficerowie i podoficerowie… żadnych szeregowców.

Hugh ponownie puścił w obieg butelkę. Następnie zakorkował ją i umieścił w niszy. Chwilę po tym, jak to zrobił, w drzwiach pojawił się Darrell Phillips ze swą przystojną twarzą.

— Co tu się dzieje? — spytał.

Trzy twarze z niewinnymi minami popatrzyły na Darrella Phillipsa.

— Ależ, panie poruczniku — powiedział Hastings — nic. Zupełnie nic. Można powiedzieć, że trochę sobie żartowaliśmy.

Phillips wpatrywał się w nich przez dłuższą chwilę.

— Żartowaliście? Tutaj? — Pokręcił z niedowierzaniem głową i zniknął w ciemności.

— Może powinniśmy zaproponować mu drinka z kapitańskiej gorzały — powiedział Hastings.

— Do diabła z nim — odparł Willis. — Ma co innego na głowie.

— Na przykład?

— Katy Corse.

Hugh popatrzył szybko na żołnierza.

— Co masz na myśli?

Willis uśmiechnął się.

— Widziałem, jak kręciła w jego stronę tym swoim małym tyłeczkiem. Jest dla nas za dobra. Pracuje nad nim. Prawdopodobnie czeka na niego gdzieś tam, w ciemności, na małą przejażdżkę na dwugłowej bestii.

Hugh poruszał się jak kot. Lewą ręką chwycił Willisa za przód koszuli. Podciągnął żołnierza, stawiając go na nogi. Jego prawa ręka uderzała tam i z powrotem z jednej strony na drugą, aż Willis zwiotczał w uścisku wielkiej dłoni Hugh. Hugh upuścił półprzytomnego żołnierza na podłogę i opuścił spojrzenie na krwawą ruinę, którą spowodował. Następnie starł krew z dłoni.

— Jezu — oznajmił Hastings. Spojrzał w dół na Willisa, a potem na Hugh. — Nie miałeś prawa tego robić.

Krwista mgła rozwiała się w umyśle Hugh. Podniósł karabin i wyszedł na zewnątrz. Alkohol kipiał w jego głowie. Był cholernym głupcem, pijąc na pusty żołądek. Podszedł do wieży i wspiął się na górę, stając obok Isaiaha Mortona.

Morton popatrzył na niego.

— Panie Kinzie, czy jesteśmy skazani na śmierć? — spytał cicho.

— Ty, może jesteś. Ja nie.

Na niebie pojawiło się pierwsze słabe światło księżyca. Morton spojrzał na kanion.

— Ręka Pana spoczęła na mnie, wyniósł mnie w duchu Pana i postawił mnie pośrodku doliny pełnej kości.

— I kazał mi je obejść dokoła; i oto było ich bardzo wiele w otwartej dolinie; i oto były bardzo suche.

— I rzekł do mnie: Synu człowieczy, czy te kości mogą żyć? A ja odpowiedziałem: Panie Boże, Ty wiesz najlepiej.

— I znowu rzekł do mnie: Prorokuj nad tymi kośćmi i powiedz im: O wy, suche kości, słuchajcie słowa Pana.

— Tak mówi Pan Bóg do tych kości: Oto sprawię, że tchnienie wejdzie w was i będziecie żyć.

Hugh popatrzył w dół na taras. Katy Corse była z Darrellem Phillipsem. Isaiah Morton uniósł napominający palec.

— Uwielbiała Asyryjczyków, swoich sąsiadów, kapitanów i władców odzianych najwspanialej, jeźdźców na koniach, wszystkich pożądanych młodych mężczyzn.

— Wtedy zobaczyłem, że jest splugawiona, że oboje wybrali jedną drogę.

Hugh odwrócił się.

— Zabieraj się stąd do diabła — powiedział ostro. — Zbierz manierki i napełnij je wodą z tego zbiornika.

Morton cofnął się.

Hugh przyciągnął fanatyka do siebie.

— I zachowaj swoje proroctwa dla siebie. — Popchnął mężczyznę w stronę drabiny.

Morton poprawił przód płaszcza. Otworzył usta, by coś powiedzieć.

— Jazda! — warknął Hugh.

Morton zszedł niezdarnie po zbitej drewnianymi kołkami drabinie.

Hugh popatrzył na Katy i Phillipsa. Oficer był blisko niej, mówił coś szybko i cicho. Hugh chwycił za krawędź rozpadającego się okna i obserwując ich, poczuł, jak opuszczają go resztki sił.

****

Księżyc zaczął srebrzyć piaski i rysować na nich cienie zarośli. Lecz tej nocy na wzgórzach, na północ od cichego kanionu zapanowało inne światło - na tle nocy nieregularnie pulsował czerwonawy blask. Potem wiatr zaczął się skradać w górę kanionu, roznosząc zapach po wzgórzach. Nie był to zapach mesquite i jałowca, ale silny zapach pieczonego mięsa.

Wiatr niósł ten kuszący zapach coraz dalej. Wydawało się, że aromatyczna chmura szuka czegoś niewidzialnymi mackami, aż przeniknęła powietrze w domach na klifie. Dziewięć osób podniosło głowy i wciągnęło ten podniecający zapach do nosa.

****

Chandler Willis otarł krew z poobijanej twarzy. Matt Hastings wyszedł. Willis sięgnął po butelkę. Opróżnił ją do dna i uniósł rękę, by rzucić nią ze złością o ścianę. Po chwili jednak opuścił dłoń. Myśl, która chodziła mu po głowie od jakiegoś czasu, zaczęła nabierać coraz bardziej wyraźnych kształtów. Wstał i zgasił świecę. Wziął karabin i wyszedł na taras. Stali tam wszyscy, spoglądając na kanion, w którym blask ogniska rozświetlał nocne ciemności. Zapach pieczonego mięsa unosił się kusząco nad ruinami.

Willis podszedł do tylnej części wieży i popatrzył na nią. Zauważył, że Hugh Kinzie zniknął. Willis wślizgnął się do pomieszczenia na dole i stanął w ciemności, nasłuchując. Wszedł na pierwsze piętro i znów czekał. Usłyszał stukot butów na górnym poziomie i kapanie wody w naturalnym zbiorniku na ścianie jaskini.

Willis wszedł po drabinie na taką wysokość, że mógł wysunąć głowę przez otwór w podłodze. Na tle jaśniejszego okna widział szerokie ramiona Hugh Kinziego. Willis zwilżył popękane wargi. Wspiął się nieco wyżej.

Hugh Kenzie odezwał się przez ramię.

— Wchodź na górę — powiedział. — Przepraszam, że straciłem panowanie nad sobą.

Willis wdrapał się do pomieszczenia. Oparł karabin o ścianę. Zimny pot przesiąkał przez jego cuchnącą koszulę. Zwiadowca musiał mieć oczy z tyłu głowy i uszy czułe jak pies.

Willis podszedł do zwiadowcy.

— Nie miałem zamiaru obrażać tej pani — powiedział przepraszająco.

— Zapomnijmy o tym.

— Zdarza się, że człowiek mówi czasem bez zastanowienia.

— Wszyscy to czasami robimy.

— Tak. Czujesz mięso?

— A jak mógłbym tego nie zauważyć?

Stali jak dwaj mali chłopcy spoglądający na witrynę sklepu ze słodyczami.

Willis popatrzył na Hugh.

— Mówisz w języku Apaczów?

— Trochę.

— Przyjaźniłeś się kiedyś z nimi?

Hugh popatrzył szybko na Willisa.

— Znałem paru. Dlaczego pytasz?

— Nic, nic. Po prostu się zastanawiam. — Willis odchrząknął. — Wszyscy mówią tym samym językiem?

— Istnieją pewne różnice w dialektach, ale każdy z nich zazwyczaj potrafi przekazać swoje myśli przedstawicielowi innego plemienia.

— Załóżmy, że spotkałeś jednego z nich i chciałbyś się z nim zaprzyjaźnić. Co byś powiedział?

Hugh wzruszył ramionami.

— Nejeunee. To znaczy dobry przyjaciel, albo można powiedzieć schicho, co znaczy ogólnie przyjaciel. Albo schichobe, co oznacza: stary przyjacielu, widzisz mnie!

— Coś jeszcze? — nalegał Willis.

— Sikisn. Brat.

— Dobrze. No cóż. Wiesz coś na ten temat. Gracias, amigo.

Hugh oparł się o ścianę i popatrzył na żołnierza.

— Mogę jeszcze dodać, że dla nich każdy poza Apaczami jest wrogiem. Oni nie ryzykują.

Willis wyglądał na zaskoczonego.

— Ja tylko byłem ciekaw.

W korytarzu na dole, słychać było Mortona. Manierki stukały głucho o siebie. Willis klepnął Hugh w ramię.

— Żadnej urazy?

— Żadnej.

— Gracias. — Willis zszedł przez dziurę w podłodze.

Hugh podrapał się po chudej szczęce. Willis zaczynał zachowywać się dziwnie, podobnie jak niektórzy z innych.

Isaiah Morton zaczął napełniać pierwszą manierkę.

— A lud pragnął tam wody i szemrał przeciwko Mojżeszowi, mówiąc: Czy dlatego wyprowadziłeś nas z Egiptu, aby zabić nas, nasze dzieci i nasze bydło z pragnienia?

— I Mojżesz zawołał do Pana, mówiąc: Co mam uczynić temu ludowi? Są gotowi prawie mnie ukamienować.

— I rzekł Pan do Mojżesza: Wyjdź przed lud i weź z sobą starszych Izraela, a laskę twoją, którą zatrzymałeś wody, weź w swą dłoń i idź.

— Oto Ja stanę przed tobą na skale w Horebie, a ty uderzysz w skałę i wypłynie z niej woda, aby lud mógł pić. I Mojżesz uczynił to na oczach starszych Izraela.

— I nazwał to miejsce Massa i Meriba, z powodu konieczności skarcenia dzieci Izraela i dlatego, że kusili Pana, mówiąc: Czy Pan jest pośród nas, czy nie?

Rozdział 15

Chandler Willis stał przez długi czas w mroku.

Jego umysł przetrawiał pewien śmiały plan. Nie miał wątpliwości, że trzeba uciekać z tej matni, w którą wszyscy wpadli. Nie istniała już żadna organizacja; od teraz każdy musiał dbać sam o siebie i do diabła z tymi, którzy pozostali najbardziej z tyłu. Poza tym był jedynym zwykłym szeregowcem pozostającym z grupy, która weszła do tego przeklętego kanionu oczekującej na nich śmierci

Ci Apacze byli sprytni. Nie stracili w tym całym bałaganie ani jednego wojownika. Jedyne, co musieli zrobić, to siedzieć tam gdzie byli i czekać, aż Białoocy umrą z głodu, a następnie wkroczyć tu i zebrać łupy. Mieli już konie i muły. To była pestka.

Willis dotknął swej posiniaczonej twarzy. Nie spodziewał się ataku ze strony Hugh Kinziego, ale powinien być mądrzejszy. Willis nigdy tak naprawdę nie spodziewał się, że Kinzie rzuci się na niego, a teraz był tego pewien.

Głód gryzł go w brzuch. Nadszedł czas, by dać nogę. Spróbuje wydostać się z kanionu. Jeśli Apacze go zauważą, przemówi do Mimbreno słowami, których nauczył go Hugh Kinzie. Zaoferuje im alkohol, który ukradnie ze skrytki Nettletona. Wszystko będzie dobrze.

Willis wślizgnął się do małego pomieszczenia, w którym zmarł Harry Roswell, tylko dlatego że wykonywał wydane mu rozkazy. Willis wsunął do brudnej koszuli dwie butelki alkoholu. Przypiął do paska manierkę i wyszedł na zewnątrz. Katy Corse i Darrell Phillips wciąż rozmawiali. Piekielnie dobre miejsce na pogawędki. W zasięgu wzroku nie było nikogo innego. Wiatr przyniósł mu zachęcający zapach pieczonego mięsa.

Willis przeszedł na zachodni kraniec tarasu. Hugh Kinzie rozmawiał z Isaiahem Mortonem. Willis przedostał się przez dziurę w kruszącej się ścianie i stanął w cieniu, nasłuchując. Hugh Kinzie poruszał się po pokoju w wieży. Willis położył się na brzuchu, trzymając karabin w zgięciu łokcia, po czym ruszył pod osłoną muru w dół zbocza, aż dotarł do miejsca, gdzie dżungla skał i zarośli pozwalała mu stanąć prosto, pozostając niewidocznym. Obejrzał się za siebie w stronę domostw, po czym skinął w ich stronę czołem. Potem zniknął w gęstych zaroślach, bezszelestnie podążając w kierunku ogromnego skalnego ramienia, które skrywało tak wiele tajemnic przed ludźmi w domach na klifie.

****

Katy Corse stała na skraju tarasu, czując, jak ciepły wiatr porusza jej wilgotnymi od potu włosami. Katy bardziej dawał się we znaki upał niż głód; Lecz Darrell Phillips doskwierał jej znacznie bardziej niż tamte, razem wzięte.

Darrell Phillips stał z pochyloną głową, ściskając dłońmi kruszącą się ścianę. Był chory na skutek uwięzienia w tym obcym miejscu, z krwiożerczymi tubylcami czekającymi w ciemnościach, aby zabijać, torturować i gwałcić.

Stali tam we dwójkę, przez co najmniej trzy kwadranse, a Darrell Phillips wziął na siebie ciężar rozmowy.

Katy położyła mu rękę na ramieniu.

— Naprawdę się boisz, prawda Darrell?

Uniósł głowę.

— W pewnym sensie. A ty nie?

Wzruszyła ramionami.

— Tak. Ale w tobie wydaje się to tkwić znacznie głębiej.

Przysunął się do niej bliżej.

— A więc mnie rozumiesz! A przynajmniej, chcesz mnie zrozumieć.

Uśmiechnęła się lekko.

— Czy to znaczy, że nikt inny cię nie rozumie?

Zarumienił się.

— Nie o to chodzi. Po prostu wydaje się, że ty rozumiesz więcej niż inni.

Przytaknęła i popatrzyła na kanion. Zawsze tak było. Oficerowie przychodzili i odchodzili, a ponad połowa z tych, których spotkała, mówiła jej lub sugerowała to samo. Kiedy jednak wyjeżdżali na służbę w inne rejony kraju, zupełnie o niej zapominali. Zdarzało się to już wiele razy. Jeśli zdecyduje się na to doświadczenie, stanie się to ponownie.

Phillips odwrócił się od ponurego, oświetlonego księżycem kanionu.

— Nieustannie staram się w tym kanionie dostrzec ludzi — powiedział cicho.

— Tak. Wydaje się, że te cienie i poruszające się zarośla są jak postaci z Nocy Walpurgi.

Wzdrygnął się lekko.

— Z ogniami Beltane jarzącymi się na wyżynach.

— Nie możesz dać się ponieść wyobraźni.

— A jak mógłbym temu zapobiec?

Przechyliła głowę na bok.

— Nigdy nie powinieneś był zostać żołnierzem.

Pokręcił przecząco głową i popatrzył na nią.

— Zawsze chciałem być żołnierzem, Katy.

— Dlaczego? Żeby wszystkim udowodnić, że się nie boisz?

Odebrał to tak, jakby wbiła w niego bagnet. Chwycił ją za ramiona.

— Nie! Katy, czym innym jest stawiać czoła białym ludziom w cywilizowanej wojnie, a czym innym walczyć z tymi tygrysami w ludzkiej skórze. Słyszałem historie o tym, co robią z jeńcami. Na samą myśl, robi mi się niedobrze. Tak bardzo, że nie jestem w stanie jasno rozumować. Uwierz mi, kiedy mówię, że nie jestem tchórzem. Musisz mi uwierzyć!

Popatrzyła mu w twarz.

— Tak — powiedziała cicho.

— Jestem w stanie poprowadzić szarżę na umocnienia i ani na moment się nie zachwiać. Potrafię wytrzymać ostrzał artyleryjski i salwy muszkietów. Nie boję się walki wręcz z użyciem szabli i rewolweru. Ale to, co się dzieje tutaj, załamuje mnie. To wieczne czekanie. Cisza. Śmierć Pearce'a, Stevensa i Roswella oraz zniknięcie Greera. Prawie tak, jakby kostucha stała w cieniu, wyciągając od czasu do czasu swój kościsty palec, by dotknąć kolejnego z nas w ramię. To możesz być ty. To mogę być ja.

Dotknęła jego rozgorączkowanej twarzy.

— Opanuj się.

Położył swoją dłoń na jej i przycisnął ją do swojego policzka.

— Katy — oznajmił z napięciem — to nie myśl o śmierci mnie przeraża. Chodzi o sposób, w jaki się umiera.

Jego ciało zaczęło drżeć. Oczy wypełniły mu się łzami. Wzięła go za rękę i zaprowadziła do jednego z pokoi. Usiadła na podłodze i przyciągnęła go do siebie. Położył głowę na jej kolanach. Ataki szlochu pojawiały się ostatnio u niego, w regularnych odstępach czasu.

Hugh Kinzie spoglądał, jak Katy i Darrell Phillips wchodzą do pomieszczenia. Odebrał to tak, jakby w jego sercu pękła fiolka z jakimś kwasem. Przez chwilę myślał o wejściu tam i zabiciu Darrella Phillipsa, lecz po chwili się opanował.

Było spokojnie; zbyt cholernie spokojnie.

Hugh Kinzie podniósł głowę. Niczego nie widział ani nie słyszał, ale przeczuwał, że coś się wydarzy.

****

Chandler Willis szedł przez kanion, szukając schronienia za wielką skałą, która wystawała z jego ściany. Nie było widać ani słychać nawet śladu życia, poza sporadycznym skrzeczeniem małych nocnych zwierząt.

Zimny pot spływał mu po bokach i zatłuścił kolbę karabinu pod uściskiem dłoni. Jego głowa nieustannie obracała się na boki, gdy szedł coraz dalej. Coś zdawało się go ostrzegać, aby zawrócił, ale nie potrafił się do tego zmusić, skoro już podjął decyzję o dezercji. Tak naprawdę to nie zdezerterował, zapewniał sam siebie. Po prostu zadbał o siebie samego.

****

Marion Nettleton poruszyła się niespokojnie przez sen. Maurice Nettleton uniósł się na łokciu i popatrzył na nią. Robiła się coraz chudsza. Pod jej pięknymi oczami pojawiły się ciemne kręgi. Uwięzionym w pueblo zaczynało brakować czasu. Maurice Nettleton położył dłoń na swoim colcie. Będzie miał jeden strzał dla niej i miał nadzieję, że zdąży ją zabić, zanim

ją dopadną. Miał również nadzieję, że potem zdąży zabić samego siebie, aby nie miał zbyt wiele czasu na myślenie o tej strasznej rzeczy, do której został przed chwilą zmuszony.

****

Abel Clymer jadł. Przykucnął w trójkątnym korytarzu, czując, jak pot spływa mu po twarzy, gdy wkładał łyżką do ust tłuste, twarde mięso z puszki peklowanej wołowiny. Zachomikował trzy puszki tego odrażającego wyrobu, aby zachować siły na chwilę, kiedy będzie chciał zerwać z Marion Nettleton. Zerknął na stertę gruzu po swojej lewej stronie. Pod nią znajdowało się coś jeszcze, co musiał zabrać ze sobą.

****

Isaiah Morton umieścił manierki w jednym z pomieszczeń. Nie czuł głodu. Był przyzwyczajony do postów i umęczania samego siebie, starając się wyeliminować z głowy myśli o cielesnym komforcie i pozostawiając ją wolną dla dzieła Pana. Pana. Przykucnął w półmroku i zaczął się modlić.

****

Matt Hastings czyścił swoją broń. Wyciągnął wycior z lufy karabinu i przytrzymał broń pod światło księżyca, aby sprawdzić lufę. Dwa colty, załadowane i zabezpieczone, leżały na jego kocu, świeżo wyczyszczone i naoliwione. Naładował również karabin i zabezpieczył go. Następnie wyjął nóż i zaczął go ostrzyć. Spokojny zgrzyt stali o kamień osełki, pasował do rytmu jego myśli. Żaden tłusty Mimbreno nie dostanie Matta Hastingsa bez piekielnej awantury. Zabierze ich ze sobą wystarczająco wielu, aby pełnili rolę jego tragarzy do piekła.

****

Chandler Willis był już prawie przy skalnym zboczu, wstrzymując oddech i modląc się do Boga, aby kanion nie był szczelnie zamknięty.

Z zarośli zmaterializował się indiański wojownik, jakby był marionetką podniesioną z pozycji leżącej przy pomocy sznurków lalkarza. Znajdował się pięćdziesiąt stóp od Chandlera Willisa. Nie poruszył się, lecz obserwował białego człowieka wielkimi, wilgotnymi oczyma.

Willis zatrzymał się w miejscu, z jedną nogą wysuniętą do przodu. Karabin trzymał w zgięciu lewej ręki. Powoli wyciągnął prawą dłoń w kierunku milczącego wojownika.

— Nejeunee — powiedział wyraźnie.

Wojownik stał jak posąg wyrzeźbiony ze znajdujących się za nim skał.

Chandler Willis przełknął sucho.

— Schicho! — powiedział.

Wiatr jęczał na skalnym ramieniu. Wojownik ciągle stał jak posąg.

Willis uniósł głowę.

— Schichobe! — krzyknął.

W odległości kilku centymetrów od głowy dezertera ryknął muszkiet, roztrzaskując mu tył czaszki. Krew trysnęła na jasną ziemię. Candler Willis padł martwy, zanim zorientował się, co go trafiło.

Huk wystrzału z wielkiego muszkietu rozległ się między ścianami kanionu, po czym powoli ucichł. Wojownik opuścił dymiącą broń i wsunął palec pod ciało martwego mężczyzny. Przewrócił je. Ramiona Willisa wyleciały na zewnątrz. Zabójca splunął i popatrzył na swojego towarzysza.

— Nejeunee! Schicho! Schichobe! — powiedział.

Dwaj Mimbreno roześmieli się.

Zabójca uniósł swój kilt z jeleniej skóry i uderzył w nagi pośladek. Splunął na ciało.

— Yah-tats-an! — powiedział.

****

Hugh Kinzie podbiegł do ściany tarasu i popatrzył w kierunku, z którego padł strzał. Matt Hastings zatrzymał się obok niego.

— Co to było? — spytał.

— Quién sabe?

Nettleton podszedł do nich.

— Kto to był?

Hugh popatrzył wzdłuż tarasu. Marion Nettleton opierała się o ścianę budynku. Isaiah Morton był obok niej. Katy Corse stała obok Darrella Phillipsa. Obejmował ją w pasie. Abel Clymer wyszedł z przejścia i zatrzymał się za Hugh. Hugh wyczuł w oddechu wielkiego oficera zapach jedzenia.

— Gdzie jest Willis? — zapytał nagle Hastings.

Wszyscy popatrzyli po sobie, a potem w dół na cichy obecnie kanion.

— Odznacz to w swojej księdze, Matt — powiedział Hugh

— Jesteś pewien?

Hugh skinął potwierdzająco głową.

— Chciał wiedzieć, jak się z nimi przyjaźnie przywitać — wyjaśnił.

— Dostał na to odpowiedź w najbardziej paskudny sposób — zauważył Hastings, zwilżając popękane usta. — Zanotuję to. — Popatrzył na Hugh. — Nie miał inicjału drugiego imienia” — powiedział. Poszedł do swojej kwatery.

Maurice Nettleton powoli wrócił do żony. Ręce miał splecione za plecami. Bez słowa wziął ją pod ramię i odprowadził do ich kwatery.

Darrell Phillips nagle się odwrócił i podszedł do dalszego końca tarasu.

Katy Corse popatrzyła za Phillipsem, a następnie podeszła do Hugh.

Katy zatrzymała się obok Hugh.

— Czy to był Willis?

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości — odparł chłodno.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

— Co się stało, Hugh?

— Wracaj do niego — powiedział, wskazując kciukiem na Phillipsa.

— Co chciałeś przez to powiedzieć?

Na jego twarzy pojawił się szyderczy uśmieszek, kiedy popatrzył na nią.

Nie miałaś zbyt wiele czasu, żeby cokolwiek z nim zrobić w tym pokoju — powiedział.

Jej prawa ręka plasnęła go w twarz. Odwróciła się na pięcie i pobiegła do swojej kwatery.

Daleko w kanionie wydał głos kojot i odpowiedział mu jeden z jego pobratymców.

Rozdział 16

Księżyc chylił się ku zachodowi. Klify wydawały się równie opustoszałe, jak przed przybyciem grupy. Hugh wbiegł z powrotem do trójkątnego przejścia. Szedł delikatnie wzdłuż niego, aż znalazł miejsce, gdzie coś leżało na ziemi. Uklęknął i przyjrzał się temu. Był to kawałek postrzępionej cyny. Obmacał go, ścierając z niego tłuszcz. Powąchał palce. Peklowana wołowina. Hugh wstał i rozejrzał się. Clymer jadł niedawno. Nikt inny nie miał nawet kawałka jedzenia.

Hugh popatrzył na stertę gruzu. Wyglądała na ostatnio ruszaną. Zaczął usuwać kamienie. Coś zgrzytnęło na ziemi za nim. Odwrócił się akurat w chwili, gdy wielka pięść uderzyła go mocno w szczękę. Upadł i uderzył głową o skałę. Próbował wstać, ale Clymer kopnął go butem w bok. Hugh chrząknął z bólu. Odtoczył się od wielkoluda i stanął na nogi w samą porę, by spotkać się z miażdżącym atakiem. Clymer zadawał ciosy jak tłok parowy, uderzając na przemian w twarz i brzuch Hugh, aż ten został zepchnięty do narożnika, w miejscu gdzie skalna ściana jaskini stykała się z końcem szeregu domów. Głowa Hugh odbiła się od ściany. Zasłonił się uniesioną gardą i obszedł oficera dookoła.

Clymer tańczył na swoich wielkich stopach.

— Ty sukinsynu — warknął ochryple. — Ty wścibski draniu!

Clymer ponownie mocno zaatakował. Hugh parował ciosy łokciami i przedramionami. Ciężar i szybkość ataku Clymera zaczęły działać na jego niekorzyść. Hugh wyprowadził mocne lewe uderzenie, odrzucając głowę Clymera do tyłu. Następnie zadał cios w brzuch. Clymer chrząknął. Cofnął się z rozpostartymi ramionami, dając Hugh czas na mocne i szybkie zwarcie, w którym zwiadowca zadawał kolejne ciosy na brzuch.

Clymer uderzył o ścianę. Otrzymał jeden naprawdę celny cios, ale zapłacił za niego wysoką cenę. Hugh zamachnął się od pasa, wymierzając hak w górę. Zęby żuchwy i górnej szczęki oficera kłapnęły o siebie, miażdżąc wargi. Hugh wymierzył prawy pod serce Clymera. Wielkolud zgiął się w pasie, dokładnie w chwili by złapać go kolejnym zgrabnym uderzeniem pod górę. Zachwiał się i osunął na podłogę.

Hugh cofnął się.

— Ty szalony draniu — powiedział ledwie dysząc.

Clymer przejechał dłonią po poobijanych ustach i otarł krew na skalnej ścianie. Otrząsnął głowę i podniósł się na nogi. Następnie pochylił się do przodu, opuszczając prawą rękę na rewolwer. Hugh zacisnął lewą dłoń na prawym nadgarstku Clymera. Prawą pięść zatopił głęboko w brzuchu Clymera. Kwaśny oddech oficera buchnął Hugh w twarz. Oficer chrząknął z bólu. Hugh opuścił rękę na swojego colta i wyciągnął go z kabury. Wbił lufę w brzuch Clymera i popatrzył prosto w jego szerokie, przerażone oczy.

— Ty skurwysynu — oznajmił spokojnie Hugh — mam ochotę przyciąć cię do odpowiedniego rozmiaru.

Hastings i Nettleton podeszli za Hugh.

— Co to ma być, drodzy panowie? — warknął Nettleton.

Hugh odsunął się na bok, ale trzymał rewolwer w dłoni. Wielki mężczyzna mocno nim wstrząsnął, a Hugh zaczął czuć osłabienie z powodu braku jedzenia.

Clymer popatrzył na Nettletona.

— Ten człowiek zaatakował mnie tutaj bez znanego mi powodu. Ten człowiek jest szalony.

Nettleton popatrzył uważnie na Hugh.

— Co ma pan na swoje usprawiedliwienie?

Hugh wzruszył ramionami.

— Rozglądałem się tutaj. To Clymer naskoczył na mnie bez żadnego powodu.

— Czy to prawda, panie Clymer? — spytał Nettleton.

— Nie.

— On wie, dlaczego się tu rozglądałem — powiedział Hugh.

— A więc? — Nettleton zażądał odpowiedzi od Clymera.

Clymer zwilżył grube wargi. Odwrócił wzrok od swojego dowódcy.

— Miałem tu trochę jedzenia — przyznał.

Nettleton podniósł głowę.

— Jedzenia? Wszystkie zapasy miały zostać przekazane sierżantowi Hastingsowi. Rozmyślnie zignorował pan moje rozkazy, panie poruczniku!

Clymer wyprężył pierś.

— Jestem dużym mężczyzną, panie kapitanie. Największym z nas wszystkich. Chciałem zachować siły na ucieczkę, wiedząc, że to ode mnie będzie zależało, czy pani Nettleton będzie bezpieczna.

— Jezu — powiedział cicho Hastings.

Nettleton podniósł trzęsącą się rękę.

— Proszę uważać się za aresztowanego, panie Clymer.

Clymer wpatrywał się w niego przez chwilę. Potem roześmiał się.

— Aresztowany? Gdzie mnie pan wsadzi? — Roześmiał się ponownie i wyciągnął grube ramię, wskazując na kanion. — Wszyscy jesteśmy więźniami, ty nadęty idioto! Z dziesiątkami strażników spragnionych naszej krwi! Niech cię diabli, Nettleton! Ty nas w to wpakowałeś. Teraz niech jakiś lepszy człowiek wyciągnie cię z tego paskudnego bałaganu! — Clymer odszedł.

Hugh potarł poobijaną szczękę. W jego umyśle zaczęły rodzić się podejrzenia. Clymer nie był na tyle odważny, by zabić człowieka za puszkę peklowanej wołowiny. Było coś jeszcze, co ukrywał.

Nettleton wyglądał, jakby kopnięto go w brzuch. Popatrzył na Hugh, a potem na Hastingsa.

— Nie będziemy więcej na ten temat mówić — polecił.

Hugh skinął głową.

Nettleton zawahał się.

— Znalazłeś jakieś jedzenie? Nie dla mnie, rozumiesz — powiedział pospiesznie — ale dla pani Nettleton.

Hugh pokręcił głową.

— Dla panny Corse też nie — powiedział.

Nettleton szarpnął głową, jakby został spoliczkowany.

— Tak, tak. Oczywiście. — Położył dłoń na ramieniu Hugh. — Powiedz mi, Kinzie, czy jest szansa na ucieczkę?

Hugh popatrzył na niego.

— Nie wiem.

— Spróbujesz przekazać wiadomość?

— Nawet gdyby udało mi się wydostać z tego kanionu, minęłoby wiele dni, zanim zdołałbym sprowadzić pomoc. A gdybym sprowadził pomoc, co zastalibyśmy po dotarciu na miejsce?

Nettleton skinął głową.

— Tak — odparł cicho. — Oczywiście. — Odwrócił się i wyszedł na taras.

Hastings popatrzył na Hugh.

— A jak wygląda prawda, Hugh?

— Niech mnie diabli, jeśli wiem. Zorientowałem się, że Clymer coś jadł. Wszedłem tutaj i znalazłem kawałek cyny z puszki po wołowinie. Szukałem jego skrytki, kiedy zaszedł mnie od tyłu.

— Szkoda, że nie zabiłeś tego wielkiego głąba.

Hugh obmacał swoją szczękę.

— To on prawie mnie zabił.

Hastings popatrzył wzdłuż korytarza i odezwał się przyciszonym głosem.

— Uważaj na siebie, Hugh.

Hugh skinął głową.

— Co teraz zrobimy, Matt?

Hastings splunął.

— Nie zamierzam tu siedzieć i dać się złapać jak szczur.

— No i?

Hastings uniósł głowę.

— Żaden krwiożerczy Apacz nie rozłupie mi czaszki na tyle łatwo, by mój duch go nie nawiedzał.

Hugh spojrzał uważnie na weterana.

— Będę cię potrzebował, kiedy nadejdzie czas, by się stąd wyrwać. Tylko tobie mogę teraz zaufać, Matt.

Hastings cofnął się.

— Tak. — Odszedł.

Hugh wpatrywał się w pierwszego sierżanta. W Hastingsie zaszła widoczna subtelna zmiana.

Hugh podszedł do wieży. Zatrzymał się w półkolistym obszarze na zachodnim końcu przejścia. Jego buty chrzęściły po starożytnych resztkach kolb kukurydzy. Popatrzył w górę na uskok skalny, który został starannie uszczelniony kamieniami i zaprawą. Następnie przeniósł wzrok na sufit jaskini. Musiało być wiele metrów pomiędzy sufitem a wierzchołkiem góry. Ponownie popatrzył na uszczelniony uskok. Przejechał dłonią po gładkiej powierzchni zaprawionych skał. Zadano sobie wiele trudu, aby go uszczelnić. Co się za nim kryło?

Hugh wspiął się na wieżę i przeszedł po belce, którą umieścili aby dojść do zbiornika na wodę. Włożył rękę do cienkiej tafli wody i rozprowadził jej chłodną warstwę po obolałej twarzy. Przykucnął w półmroku, nająć ochotę na papierosa. Głowa mu pulsowała. Ciężko było myśleć. Przyglądał się lśniącej strużce wody. Zdawała się wypływać z samych porów skały. Podczołgał się do niej i przycisnął do niej dłoń, próbując zrozumieć, skąd pochodzi. Spojrzał jeszcze raz na skalny dach. Ile metrów dzieliło go od płaskiego stołu wierzchołka góry?

Hugh zamknął oczy. Wydawało się, że ogarnia go omdlenie. Próbował się otrząsnąć. Walka z Clymerem odebrała mu mnóstwo sił.

Przeszedł przez wąski most, który zrobili, by dotrzeć do wody. Zszedł z parapetu okna i natrafił na miękkie ciało. Marion Nettleton objęła go za szyję.

— Wszystko w porządku, Hugh? Nie mogłam się uspokoić, gdy Maurice powiedział mi, co się stało.

Popatrzył na nią. Dolatywał od niej słaby zapach wonnych perfum.

— Hugh, czy jest dla nas jakaś szansa? — wyszeptała.

— Jedyne co wiem, że może się teraz wydarzyć, to to, że kapitan nas nakryje.

Pokręciła przecząco głową.

— On leży. Dużo teraz rozmyśla. Hugh, że nie może mnie stąd wyciągnąć.

— A ty myślisz, że ja mogę?

Przysunęła się bliżej i poczuł lekko kwaśny zapach jej potu, zmieszany z wonnymi perfumami. Hugh prawie się uśmiechnął. Marion Nettleton nie miała zamiaru śmierdzieć jak reszta pospólstwa. Ale ta kombinacja zapachów była dla niej typowa. Za jej wyglądem i pięknem krył się smród. Zdjął jej ramiona ze swojej szyi.

— Kiedy nadejdzie czas, Marion, wszyscy będziemy wiedzieć, kto dostąpi zbawienia. Jak w Dzień Zmartwychwstania.

Ponownie objęła go za szyję i mocno przycisnęła dolną część ciała do jego.

— Nie odsuwaj mnie — powiedziała cicho.

Hugh czuł pokusę. Piasek czasu szybko uciekał i minęło dużo czasu, odkąd miał kobietę, a ostatnia, z którą był, nie była nawet zbliżonej klasy do Marion Nettleton, może z wyjątkiem faktu, że miała ona pewne poczucie honoru, pomimo swego kodeksu moralnego.

— Lepiej wracaj do męża — powiedział.

Przez chwilę się wahała. Hugh prawie ją objął, ale odwróciła się i wyszła z pomieszczenia. Wzruszył ramionami i poszedł za nią. Katy Corse wyszła z cienia i obrzuciła go spojrzeniem.

— Nie miałeś zbyt wiele czasu, by cokolwiek z nią zrobić w tej wieży — powiedziała.

Hugh podrapał się po szczęce. Potem się uśmiechnął. Następnie jego twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu, a potem roześmiał się głośno. Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował. Potem ją odepchnął.

— Czy on potrafi cię tak całować, Katy? Powiesz mi prawdę?

Przygryzła wargę.

— Niech cię diabli, Hugh Kinzie — rzuciła. Poszła do swojej kwatery.

Darrell Phillips wszedł przed Hugh, gdy ten podążał za Katy.

— Dokąd idziesz? — pytał spokojnie.

— Nie twój cholerny interes, Phillips.

— Nie jestem w stanie z tobą walczyć jak Clymer, ale mogę zaprosić cię na przechadzkę, jak dżentelmen!

Hugh znów się uśmiechnął.

— Jezu Chryste, ale wszyscy są dziś drażliwi. Ona jest cała twoja, Phillips.

Phillips patrzył, jak Hugh idzie na drugi koniec tarasu. Abel Clymer wyszedł ze swojego pokoju i zatrzymał się obok Phillipsa.

— Pewnego dnia złamię mu ten przeklęty kark — warknął.

Phillips zmierzył wzrokiem wielkiego mężczyznę.

— Jeśli to on najpierw nie złamie twojego, Clymer. Prawie chciałbym, żeby to zrobił.

Clymer odwrócił się szybko.

— Rozwalę ci tę twoją śliczną buźkę — warknął.

Phillips cofnął się.

— Najpierw wpakuję ci kulkę w brzuch, Clymer.

Clymer opuścił wzrok na broń Phillipsa. Potem spojrzał w jego pełną napięcia, zimną twarz.

— Niedługo dojdzie do starcia — stwierdził. — Wtedy wszystkie te małe problemy zostaną rozwiązane. Na Boga, Phillips, prawie chciałbym zobaczyć, jak te Apaczki rozprawiają się z tobą nożem i ogniem.

Phillips zbladł. Przygryzł wargę i odwrócił się. W jego gardle pojawiła się kwaśna fala. Za jego plecami Abel Clymer roześmiał się głośno.

Rozdział 17

Darrell Phillips stanął na warcie tuż przed świtem. Zimny wiatr przetoczył się przez kanion, gdy pierwsze oznaki przedświtu zabarwiły wschodnie niebo. Zadrżał lekko i naciągnął koc na ramiona. Czuł tępy ból w żołądku, a głowa lekko mu pulsowała. Podczas swego czuwania rozmyślał o wykwintnych restauracjach, w których jadał na wschodzie. Kiepski sposób na spędzanie czasu przez na wpół zagłodzonego człowieka.

Poczuł się lepiej wraz z nadejściem światła, ponieważ ciemność była wypełniona upiorami, które zdawały się wychylać i bełkotać do niego zza każdej skały i kępy zarośli.

Skulił ramiona pod kocem i pomyślał o Katy Corse. To ona przyniosła mu koc, kiedy szedł na wartę. Z dobroci serca starała się go zrozumieć. To jego przeklęta wyobraźnia sprawiała mu tyle kłopotów. Zawsze tak było. Rzeczywistość zazwyczaj była mniej przerażająca, niż to czego się człowiek spodziewa. Katy dotknęła sedna jego tajemnicy. Wiedziała, dlaczego został żołnierzem. Aby udowodnić światu, że ma w sobie wystarczająco dużo odwagi. Wiedział, że tak naprawdę nie był tchórzem. W każdym razie nie tak bardzo jak niektórzy inni ludzie. Sądził, że nosząc niebieskie i mosiężne barwy udowodni wszystkim, że jest odważny jak mało kto. W Forcie Ayres widział niewiele akcji, ale to, co zobaczył po kilku napadach Apaczów na stacje kolejowe i samotne rancza, wryło się w jego umysł ognistymi literami. Wydawało mu się, że jego duszę oblepił gęsty, zielony śluz strachu.

Światło było teraz lepsze. Popatrzył w dół zbocza. W ciągu nocy wyrosła tam jakaś dziwna roślina. Coś obcego. Wpatrywał się w nią, a potem otworzył usta. Wrzask, który zdawał się nie pochodzić z jego ust, obudził w kanionie echa. Wydawało mu się prawie, jakby krzyczał to nie on, lecz ktoś zupełnie inny.

Hugh Kinzie wybiegł z pokoju, w którym spał, trzymając karabin Sharpa na wysokości bioder. Wpatrywał się przez chwilę w upiornie białą twarz Phillipsa. Oficer odłożył swój karabin na bok, wskazał ręką w dół zbocza, po czym odwrócił się, aby gwałtownie zwymiotować.

Hugh popatrzył w dół zbocza. Leżał tam biały człowiek, rozebrany do naga. Jego głowa była dziwnie zniekształcona. To był Chandler Willis - albo raczej coś, co kiedyś było Chandlerem Willisem.

Hugh chwycił Phillipsa za ramię.

— Upewnij się, że kobiety tego nie zobaczą.

Popchnął Phillipsa w stronę domów. Oficer szedł jak we śnie, zrzucając z ramion koc.

Matt Hastings podbiegł kłusem i popatrzył na Willisa.

— Wiedziałem — stwierdził.

Hugh skinął głową.

— Przynajmniej nie był torturowany — powiedział.

Hastings splunął sucho.

— Na miłość boską, Hugh, jeśli mnie dopadną lub zranią, upewnij się, że zachowasz dla mnie kulkę. Będziesz o tym pamiętał?

— Tak.

— Ja zrobię to samo dla ciebie.

— Gracias — skomentował sucho Hugh.

— Zejdę na dół i obwiążę jego ciało linką do wiązania koni. Przyciągniemy go tutaj i pochowamy.

Maurice Nettleton popatrzył w dół na ciało.

— Kiedy go tam położyli?

— Quién sabe? — odparł Hugh. — Ważniejsze raczej jest, że przeciągnęli to ciało przez kanion i umieścili je niecałe trzydzieści stóp od stojącego na straży człowieka.

Nettleton dotknął gardła. Na jego twarzy widać było strach.

— Gdybym tylko od razu spróbował jak najszybciej dotrzeć do Rio Grande — powiedział.

— Ale pan nie spróbował.

— Być może bylibyśmy już bezpieczni w Santa Fe.

Hugh splunął na ścianę.

— Trochę już za późno, by teraz o tym rozmyślać.

Hastings minął ich, niosąc w ręku zwój liny do wiązania koni. Przeskoczył mur i zsunął się w dół zbocza. Pracował szybko, zerkając od czasu do czasu przez ramię. Hugh klęczał za murem z karabinem w rękach, obserwując przeciwległą ścianę kanionu.

Hastings skończył. Wszedł z powrotem na zbocze, rozwijając za sobą linę. Przyciągnęli poobijane zwłoki do muru tarasu i przenieśli je na drugą stronę. Hugh odwrócił wzrok od roztrzaskanej głowy.

Zakopali Chandlera Willisa w dole za jednym z budynków. Abel Clymer oparty o ścianę, obserwował, jak kończą pochówek. Hastings zapisał śmierć Willisa w księdze.

— Miałem przeczucie, że spróbuje się urwać — stwierdził Matt Hastings.

Hugh skinął głową.

— Pięć na minusie, osiem do końca, jak on by powiedział.

— Przynajmniej ma już za sobą ten cały bałagan.

Hugh podrapał się po szczecinie na twarzy.

— Wszystkie żetony są już rozłożone, Matt.

Hastings oparł się plecami o ścianę. Pod jego oczami pojawiły się ciemne kręgi, a mundur obwisł luźno na jego grubym ciele.

— Gdybyśmy nie mieli ze sobą kobiet — powiedział cicho — wszyscy moglibyśmy jeszcze uciec. Każdy z nas potrafi posługiwać się bronią. Z wyjątkiem Mortona. Wolę zginąć w walce niż jak szczur w pułapce.

— Nie możemy zostawić kobiet, Matt.

— Jest jeden sposób zakończenia tego.

Popatrzyli po sobie.

— Jeszcze nie czas — powiedział Hugh. — Poza tym… kto by to zrobił? Roswell mógłby, on zawsze słuchał rozkazów. Ja tego nie zrobię aż do ostatniej możliwej chwili.

Hastings dotknął swoich popękanych warg.

— Możemy pociągnąć słomki.

— Powiedziałem ci, że teraz tego nie zrobię!

— Możemy uczynić to dla nich lżejszym. Kula w tył głowy, kiedy się tego nie spodziewają.

— Nie!

— Posłuchaj, Hugh! I tak nie wszyscy wydostaniemy się z tego bałaganu. Sześciu ludziom, w nocy, może udać się przedrzeć. Jasne, niektórym z nas się nie uda. Ale jestem na tyle skłonny do ryzyka, aby tego spróbować. Jakiś człowiek może się wydostać. Wolę to ryzyko, niż siedzenie tutaj i czekanie na koniec. Jeszcze jeden taki dzień i wszyscy będziemy za słabi, by przejść na piechotę więcej niż milę.

Hugh przyglądał się, jak Clymer idzie w stronę wieży strażniczej.

— Clymer dałby radę to zrobić.

Hastings sięgnął do rękojeści swojego colta.

— Kiedyś myślałem, że strzelę mu w plecy przy pierwszej akcji, w którą się wpakujemy.

— Nasza strata byłaby zyskiem Nieba, jak powiedziałby nasz drogi Isaiah. Chodźmy porozmawiać z innymi.

****

Zebrali się przed wieżą strażniczą, gdy słońce zaczęło zalewać kanion. Nettletonowi trzęsły się dłonie, kiedy mimo panującego upału zapinał guziki bluzy munduru. Clymer przykucnął, opierając się plecami o wieżę. Na jego szerokiej twarzy malowała się powaga. Phillips wydawał się blady pod opaloną twarzą. Od czasu do czasu zwilżał językiem wargi i spoglądał na pusty kanion. Hastings stał z wielkimi dłońmi złożonymi na lufie karabinu. Isaiah Morton był tam obecny tylko ciałem.

Nettleton popatrzył dokoła.

— Musimy coś zrobić — powiedział nerwowo. — Moja żona nie czuje się dobrze. Nie ma już jedzenia…

— Nie ma też koni — przypomniał Clymer.

— Tak. Tak.

— Gdyby pan mnie posłuchał, ucieklibyśmy stąd już parę dni temu — dodał Clymer.

— Spoglądajmy lepiej w przyszłość, panie Clymer.

Clymer roześmiał się.

— Na co?

— Chciałem wtedy zrobić wypad — przypomniał z kolei Darrell Phillips.

— Tak — burknął Clymer. — Miałeś wyruszyć z kapitanem jako jego pomocnik. A kto miał poprowadzić atak? Ja! No cóż, teraz nie poprowadzę żadnego ataku, synku.

— Nie mamy na to wystarczająco wielu ludzi — zauważył Nettleton.

Spojrzeli na siebie. Nikt z nich nie miał żadnego pomysłu. Świadomość, że śmierć jest pewna, a nie tylko jakimś możliwym ryzykiem, ciążyła na nich.

Isaiah Morton otworzył oczy.

— Być może zdołalibyśmy przemówić do rozsądku naszym czerwonym braciom. Z pewnością jest w nich odrobinę litości. Czyż oni nie są dziećmi Pana, tak samo jak my?

— A proszę, porozmawiaj z nimi — rzucił Clymer.

— O tak! Jestem gotów.

— On nie mówi ich narzeczem — zauważył Hastings.

— Kinzie je zna — dorzucił chytrze Clymer.

Wszyscy spojrzeli na Hugh. Ten pokręcił przecząco głową.

— Oni chcą naszej krwi.

Phillips podszedł do krawędzi tarasu.

— Być może po zmroku, zanim wzejdzie księżyc, dalibyśmy radę wspiąć się na tę stronę kanionu i wciągnąć panie na górę za pomocą lin.

Nettleton potarł szczękę.

— Być może. Co sądzi reszta?

— Brzmi w porządku, panie kapitanie — powiedział Hastings — ale może oni są też tam na górze.

— Tak — odparł Nettleton. Chodził w tę i z powrotem. — Ale możemy tego spróbować. Tak! Zrobimy to!

Hugh wzruszył ramionami.

— To nasza ostatnia szansa — powiedział. Przyjrzał się uważnie pozostałym.

Clymer wstał.

— Ja idę — powiedział.

Hastings skinął głową.

— Zgłaszam się, panie kapitanie.

Isaiah Morton odszedł. Rozejrzał się po kanionie. Do jego uszu zdawały się przemawiać jakieś głosy. Zapomniał o głodzie i pragnieniu, kiedy chodził tam i z powrotem, próbując zrozumieć słowa, które słyszał. Zatrzymał się i długo stał na skraju tarasu, wpatrując się w nieruchome zarośla, które otaczały krawędź odległej ściany kanionu.

Rozdział 18

Pracowali szybko w zapadającym zmierzchu. Nie było już wśród nich niezgody. Liny do mocowania koni wiązane były jedna z drugą i zwijane w kłęby. Paliki do wbijania w ziemię związano razem, aby można je było łatwo przenieść w miejsce, w którym zostaną zaklinowane w szczelinach skalnych jako improwizowane uchwyty. Clymer niósł wiązkę palików. Phillips zaś wziął zwinięte liny. Hastings jako jedyny niósł karabin i dodał do swojego uzbrojenia kolejnego Colta. Nettleton miał pozostać z kobietami. Hugh miał wspiąć się na zbocze kanionu. Morton zniknął w ruinach, aby poobcować ze swoim Panem i samym sobą.

Hugh zdjął koszulę i buty. Spodziewał się, że porani sobie stopy w diabły, ale wspinaczka na bosaka będzie pewniejsza niż w jego ciężkich butach. Poprowadził ich na zachodni kraniec tarasu i przeszedł przez mur, a za nim podążyli pozostali. Hugh ruszył wzdłuż zbocza i zatrzymał się pięćdziesiąt metrów od krańca ruin. Popatrzył na ścianę kanionu. Każde miejsce było równie dobre jak inne. Phillips i Clymer w ciemności podeszli cicho do Hugh. Hastings zniknął na zboczu i zajął pozycję, z której mógł osłaniać zarówno podejście do ruin, jak i grupę wspinaczkową.

Hugh zaczął się wspinać po nachylonej skalnej płycie. Zatrzymał się na jej wierzchołku i wytężył wzrok, badając strukturę skały nad sobą. Ściana wyglądała solidnie, ale były miejsca, w których mróz i deszcz przyspieszyły znacznie proces erozji. Hugh sięgnął do tyłu ręką i wziął od Phillipsa koniec zwiniętych lin. Młody oficer oddychał ciężko. Clymer wręczył Hugh jeden z palików. Uwiązał wiązkę złożoną z reszty z nich na zapasowej lince, a wolny koniec przywiązał do pasa Hugh.

Hugh pomacał powierzchnię czoła skalnej ściany. Wydawała się wystarczająco solidna. Zaczął wspinać się po niej, zalewając się zimnym potem na myśl o tym, że któryś z kołków może zbyt głośno stuknąć o ścianę urwiska.

W pewnej chwili zaklął, kiedy położył dłoń na kępie ciernistych badyli, rosnących w cienkiej warstewce ziemi, na skalnej półce. Gdy wspinał się dalej do góry, dłoń paliła go jak ogień,. Pokonał pięćdziesiąt metrów, zanim musiał wbić palik w szczelinę, aby się na nim oprzeć. Pracował powoli, oddychając szybko, gdy wbijał czubek palika, aż solidnie go zamocował w skale. Podciągnął się na nim trochę i sprawdził działanie ciężaru jego ciała na paliku. Ten lekko się poddał, lecz potem trzymał pewnie. Podciągnął się wyżej na kolejny uchwyt i oparł stopę na paliku. Poczuł, jak wiązka palików lekko ciągnie za koniec linki przypiętej do jego pasa.

Słaby wiatr niósł w dół kanionu słodkawy zapach rozkładu. Hugh otarł pot z piekącej twarzy. To pewnie Dan Pearce dawał o sobie znać, gdy chłodne nocne powietrze obkurczało jego nabrzmiały gazami brzuch.

Hugh wspiął się na wąską poprzeczną półkę i poszukał kolejnego uchwytu. Głuche terkotanie ostrzegło go i cofnął rękę, dokładnie w chwili gdy coś uderzyło w miejsce, w którym przed chwilą się znajdowała. W jego nozdrza wdarł się nieprzyjemny zapach grzechotnika. Cofnął głowę, próbując dostrzec łuskowate ciało. Rozległ się szelest, a potem tępy odgłos skrobania. Pot zaczął napływać mu kroplami do oczu.

Jakiś przeklęty głupiec na dole szarpnął za linkę przymocowaną do pasa Hugh. Jego stopa ześlizgnęła się i zmuszony był ponownie chwycić się półki. Jego palce zacisnęły się na czymś łuskowatym i poczuł pod palcami twarde, grzechoczące guziki. Nie było już czasu na zastanawianie się i odskakiwanie. Chwycił mocno węża tuż nad grzechotkami i szarpnięciem oderwał grube, ciężkie ciało z półki. Kiedy osiągnęło pełną długość, strzelił nim mocno jak biczem. Grzechotnik zawisł bez życia w jego dłoni. Kamyki i ziemia osypały się daleko pod nim. Usłyszał stłumione przekleństwo.

Hugh zawisł na jednej ręce, czując jak jego stopa ślizga się na niższej półce. Chciał upuścić ciężkiego grzechotnika, ale dobrze wiedział, że jeśli to zimne cielsko uderzy któregoś z tych nerwowych ludzi w dole, na pewno rozpęta się piekło. Żonglując grzechotnikiem jedną ręką, chwycił mocno drugą, a następnie zamachnął się wiotkim ciałem na półkę, gdzie uderzył nim mocno. Następnie podążył za nim, opadając na niego płasko, czując zimne łuski pod nagą klatką piersiową i brzuchem.

Ogarnęły go skręcające mdłości. Zastanawiał się, jak bardzo może się jeszcze pogorszyć, zanim wymkną się stąd lub zasłużą na błogosławione zapomnienie śmierci.

Zorientował się, że jest na wysokości co najmniej sześćdziesięciu stóp. Szybko obliczył w myśli, że sufit wielkiej jaskini, w której znajdowały się ruiny puebla, znajdował się co najmniej osiemdziesiąt do stu stóp nad najwyższą budowlą. Szczyt wzgórza położony był co najmniej trzydzieści do czterdziestu stóp wyżej. Pokręcił głową, po czym wytarł krwawiące dłonie o szorstki materiał spodni. Czuł się słaby i oszołomiony, oparł głowę o ciepłą skałę, walcząc z zawrotami głowy, które spazmatycznie pojawiały się i znikały.

Sięgnął po wiszącą mu u pasa linkę i zaczął podciągać ciężką wiązkę palików, popuszczając ją, gdy wiązka zaczynała się zbyt mocno kołysać, próbując uzyskać prosty pionowy kierunek wciągania. Linka wrzynała się w jego poranione dłonie, a sól z potu sprawiała, że czuł się, jakby zanurzał je w kwasie.

Poczuł, że wiązka uderza o krawędź półki i podciągnął ją obok siebie. Niewielki kamień zsunął się nad krawędzią. Odbił się od występu, a następnie uderzył ostro daleko w dole. Hugh zamarł bez ruchu, wytężając ze wszystkich sił słuch.

****

Isaiah Morton stał przy ścianie tarasu. Ciemności były takie gęste, że można je było niemalże namacalnie wyczuć. Wyciągnął chudą, pokrytą brudem dłoń i łapał ciemności, jakby mógł je rozerwać na tyle, by zobaczyć drugą stronę kanionu.

— Moje serce we mnie jest tak zbolałe, a strach przed śmiercią padł na mnie.

— Bojaźń i drżenie przyszły na mnie, i ogarnęło mnie przerażenie.

— I rzekłem: O, gdybym miał skrzydła jak gołębica! bo wtedy odleciałbym i odpoczął.

— Zaprawdę, wtedy błądziłbym daleko i pozostał na pustyni. Selah!

****

Katy Corse siedziała z łokciami opartymi na kolanach i dłońmi otaczającymi jej owalną twarz. Patrzyła prosto przed siebie, prawie nie zdając sobie sprawy z obecności Marion Nettleton, która siedziała naprzeciwko niej. Od czasu do czasu przez mgłę, która zdawała się ją spowijać, do Katy docierał suchy szloch Marion. Szloch stawał się coraz głośniejszy.

— Bądź cicho — syknęła Katy.

— Boję się.

— A kto się nie boi?

— Ale na mnie oddziałuje to mocniej niż na ciebie, Katy.

— Może. Ja myślę o tych ludziach, którzy ryzykują dla nas swoje życie.

— To ich obowiązek.

Katy opadły ręce.

— Ty pewnie możesz tak sobie pomyśleć. Nigdy nie myślisz o nikim innym niż o sobie?

Marion przygryzła wargę.

— Katy Corse, mówisz do damy.

Katy wpatrywała się w nią przez chwilę, a potem odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła się śmiać.

Marion zacisnęła dłoń na kamieniu; tak łatwo byłoby zamknąć jej usta.

— Gdyby nie ty — oznajmiła cicho — ci ludzie mogliby mnie stąd wyciągnąć. Hugh Kinzie zdołałby to zrobić.

— I dać się zabić? Ja bym wolała, żeby mnie zostawił i uratował siebie.

— Dlaczego nie poprosisz Darrella Phillipsa, żeby cię uratował? Z pewnością rzuciłabyś się mu w ramiona! Śmiałabym się, gdyby to nie było takie tragiczne. Ty... dziewka z pogranicza, która myśli, że Darrell Phillips naprawdę się nią interesuje.

Katy wstała. Zacisnęła dłonie. Przez chwilę prawie już sięgała rękoma w dół, by chwycić Marion za włosy i pociągnąć ją za sobą.

— Często zastanawiałam się, jak głęboko sięga twoja tresura — powiedziała spokojnie. — Teraz widzę, że to żałośnie cienka warstwa.

— Panie! — wysyczał Maurice Nettleton od strony drzwi. — Musicie być cicho!

Marion popatrzyła w bok na męża, a potem na Katy.

— Wrócimy do tego jeszcze, innym razem — obiecała.

Katy roześmiała się.

— W każdej chwili.

Maurice Nettleton pokręcił z niedowierzaniem głową. Podszedł do krawędzi tarasu. Słyszał, jak Isaiah Morton mamrocze kolejną ze swoich wiecznie klepanych modlitw.

— Bądź cicho — powiedział Maurice Nettleton z ciemności. — Ci ludzie próbują uratować nam życie!

Isaiah uniósł chude ramiona.

— Zrzuć swe brzemię na Pana, a On cię podtrzyma; nigdy nie dozna wzruszenia sprawiedliwy!

Nettleton wyciągnął rewolwer i odciągnął kurek.

— Niech cię diabli! Ty i te twoje przechwałki i modlitwy! Powinieneś stać tu na straży, podczas gdy ja powinienem im pomagać! A teraz, przynajmniej trzymaj gębę na kłódkę!

Nettleton odwrócił się i pospieszył na zachodni kraniec tarasu, by sprawdzić, czy widać jakieś postępy.

Morton wyciągnął oskarżycielsko palec w stronę Nettletona.

— Ale Ty, Boże, sprowadzisz ich do dołu zagłady: krwawi i podstępni ludzie nie dożyją połowy swoich dni, ale ja będę ufał Tobie.

****

Hugh Kinzie stanął na występie i wymacał, co jest ponad nim. Był na wpół oszalały z przerażenia, że mógłby położyć rękę na kolejnym grzechotniku i stracić resztki szczęścia, jakie wciąż mu pozostały. Jego dłonie obmacywały ścianę na próżno. Wziął kolejny palik i próbował wcisnąć go w trzy różne szczeliny, aż wreszcie wydawało się mu, że uchwyt trzyma się mocno. Popatrzył za siebie przez ramię. Na wschodnim niebie widać było słaby szaro-żółte plamy. Księżyc powoli wschodził. Pracował jednak powoli, zmuszając się do zachowania w czasie wspinaczki spokoju.

Był dobre czterdzieści stóp od wierzchołka, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że lepiej wszystko widzi. Obejrzał się za siebie. Kanion wciąż pozostawał w głębokim cieniu. Ale wschodnie niebo wyraźnie się rozjaśniało.

Przywarł do palika. Popatrzył do góry. Był pewien, że da sobie radę sam i ciągle nie został dostrzeżony przez wścibskie oczy Mimbreno. Pokusa była silna. Szanse na wydostanie reszty były beznadziejnie niskie. Zamknął oczy i przyczepił się płasko do ściany klifu.

Dotarcie na szczyt zajmie mu kolejne pół godziny. Do tego czasu stanie się już widoczny na tle klifu. Mógłby jednak wejść na szczyt i przez resztę nocy tak mylić ślady, że aż w końcu uwolniłby się od prawie niewidocznej pogoni.

Hugh Kinzie powoli otarł pot z twarzy wolną ręką. To nie miało sensu. Nie dałby rady tego zrobić. Musi teraz zejść na dół i trzeba będzie poczekać, aż księżyc zajdzie, aby dokończyć budowę tej niebezpiecznej drabiny ku wolności.

Hugh wymacał kołek pod sobą i opuścił się w dół, aż dotarł do górnej półki. Podniósł ciało węża i przywiązał je sobie na plecach. Następnie poszukał oparcia. Księżyc zaczynał już oświetlać kanion. Mógł już dostrzec zbocze poniżej tarasu. Coś tam się poruszało.

Dotarł do niego czysty głos, który odbił się gromkim echem w całym kanionie.

— Usłysz moje wołanie, Boże, wysłuchaj mojej modlitwy.

— Od krańca ziemi będę wołał do ciebie, gdy serce moje będzie przytłoczone: zaprowadź mnie do skały, która jest wyższa niż ja.

— Bo jesteś dla mnie schronieniem i mocną wieżą przed wrogiem.

— Będę mieszkał w przybytku twoim na wieki, będę ufał pod osłoną skrzydeł twoich. Selah!

Poniżej Hugh rozległ się stłumiony okrzyk. Potem buty zaczęły z tupotem uderzać o ziemię. Po zboczu zaczęły staczać się kamienie.

Hugh popatrzył w dół. Isaiah Morton szedł w dół zbocza z wysoko uniesionymi nad głową rękoma.

Po drugiej stronie kanionu rozbłysło światło. Potem przez ciemność nocy z gracją przeleciała płonąca strzała, ciągnąca za sobą snop iskier. Uderzyła w gęste, suche zarośla i rozpadła się na kawałki płonącego drewna. W jednej chwili zarośla zajęły się ogniem i zaczęły szybko płonąć. Światło ukazało Isaiaha Mortona kroczącego pewnie w kierunku zachodniego krańca wielkiego kanionu.

Phillips i Clymer biegli w stronę domów na skalnym klifie. W tej samej z północnej krawędzi kanionu zaczęły huczeć odgłosy wystrzałów karabinowych, wzbijający obłoczki kurzu w pobliżu obu oficerów.

Hastings wstał.

— Hugh! Będę cię osłaniał! Schodź! W te pędy!

Isaiah Morton szedł przez płonące zarośla, jakby był pogrążony w jakimś transie. Mimbreno nie strzelali do niego. Zamiast tego skierowali ogień w stronę dwóch oficerów, którzy wspinali się ku murowi otaczającemu taras. Pociski szeptały przez dym i uderzały o domy. Nettleton strzelał szaleńczo, z odległości niemożliwej do osiągnięcia dla jego sześciostrzałowca.

Hastings spoglądał na Hugh dzikim wzrokiem.

— Do diabła! Dalej Hugh!

Morton szedł wyprostowany przez piekło karabinów i trzeszczących płomieni.

— Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.

— Daje mi leżeć na zielonych pastwiskach, prowadzi mnie nad spokojne wody.

— On przywraca moją duszę, prowadzi mnie ścieżkami sprawiedliwości przez wzgląd na swoje imię.

Hugh zeskoczył z ostatniej półki i zsunął się po przechylonej płycie skalnej. Pociski uderzały o ścianę kanionu. Hastings wystrzelił z karabinu i szybko przeładował. Następnie wstał i popatrzył na Hugh.

— Biegnij, ty draniu! Biegnij!

Morton potknął się i upadł. Wstał i szedł dalej.

— Tak, choćbym szedł przez dolinę cienia śmierci, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną, Twoja laska i Twój kij są dla mnie pocieszeniem.

Hugh chwycił zwiniętą linkę i resztę palików. Zanurzył się w zaroślach. Płomienie huczały i tańczyły, rzucając dziwne cienie i odbijając światło od ścian kanionu. Zrobiło się jasno, jak w dzień.

Hastings wystrzelił z karabinu. Kule trafiły w jego ciało. Szedł naprzód z coltami w obu dłoniach, lekko się zataczając, gdy kolejne pociski wbijały się w niego. Jego ciałem wstrząsały trafienia.

— Wy czerwone dranie! — krzyknął. — Idę! Idę!

Hugh potknął się i upadł za występ skalny. Leżał bez ruchu, kiedy karabiny trzaskały, w harmonii z płonącymi zaroślami. Ktoś krzyknął od strony domów na klifie. Karabiny zaczęły grzechotać również zza muru tarasu.

Hastings zataczał się po jasnym dnie kanionu, oddając na przemian strzały z obu coltów. W połowie kanionu przewrócił się na twarz i leżał nieruchomo. Jego ciałem wstrząsały uderzenia pocisków.

Isaiah Morton był już prawie koło granitowego ramienia. Odwrócił się i spojrzał za siebie.

— Dobroć i miłosierdzie pójdą za mną przez wszystkie dni mego życia i zamieszkam w domu Pana na zawsze.

Potem zniknął w cieniu pod skalnym ramieniem.

****

Hugh uniósł głowę. Płomienie zgasły, pozostawiając czerwone ogniki mrugające na dnie kanionu. Znów było cicho. Odór spalonych ubrań, krzaków i ludzkiego ciała, mieszał się z gryzącym dymem prochowym.

Kulił się za gzymsem skalnym, kryjąc się i od czasu do czasu nasłuchując. Po ostatnim dzikim wybuchu palby z muszkietów, znów zapadła cisza.

Hugh ruszył w górę zbocza. Za murem otaczającym taras rozległo się szuranie stóp. Pojawiła się czyjaś głowa. Hugh przetoczył się za krzak i czekał co się stanie. Karabin trzasnął ostro, ponownie budząc echa. Odgłos wystrzału zdawał się odbijać coraz dalej od ścian kanionu, po czym ucichł w oddali.

— Nie strzelajcie! — zawołał Hugh. — Tu Kinzie!

Hugh odczekał chwilę lub dwie, po czym podczołgał się do ściany. Szybko się po niej wspiął i osunął się na podłogę tarasu. Z trudem łapał piekący oddech. Oparł głowę o nawierzchnię tarasu. Potem popatrzył w górę na niewyraźną twarz Abla Clymera. Wielki oficer trzymał w rękach karabin.

— No cóż, nie udało się — powiedział Clymer.

Hugh usiadł i przytaknął głową.

Ktoś jęknął w cieniu.

— Kto to? — spytał Hugh.

Clymer splunął na ścianę.

— Phillips. Dostał kulę w lewe udo.

— Źle?

— Kość udowa została złamana.

Hugh otarł pot z twarzy.

Podszedł do nich Nettleton.

— Wszystko w porządku, Kinzie?

— Tak.

— Kto by pomyślał, że ten szalony kaznodzieja mógłby zrobić coś takiego?

Hugh wzruszył ramionami.

— Pomimo wszystko, może on jest mądrzejszy od nas wszystkich.

— Jak to?

— Miał wiarę w cud. I ten się wydarzył.

— Ale będą go torturować i zabiją go.

Hugh pokręcił przecząco głową.

— Jego umysł odszedł daleko — powiedział.

— I co z tego? — spytał Clymer.

— Zorientują się, że nie jest zdrowy na umyśle… a może jest? Nieważne. Zabicie kogoś takiego, to dla nich profanacja.

— No to przecież, umrze w górach — powiedział Nettleton.

— Czy to ma znaczenie?

Clymer popatrzył w stronę domów. Phillips jęknął.

— Teraz mamy kolejny ciężar na głowie — stwierdził kwaśno.

Nettleton podrapał się po gardle.

— Dlaczego Hastings ich zaatakował? — Pokręcił głową. — To było szaleństwo.

Hugh skinął głową.

— Matt nigdy nie znosił dobrze podobnych rzeczy.

— Ale był taki silny.

— Tego rodzaju ludzie, pękają nagle. Ogarnął go amok bitewny - szał zabijania. W sumie, pewnie to dla niego lepiej, podobnie jak dla Mortona.

Hugh wstał. Podszedł do wieży i wrzucił węża do dolnego pomieszczenia. Następnie wspiął się do skalnej misy z wodą i obmył sobie twarz oraz poranione dłonie. Zszedł do małego, zakurzonego pokoju, w którym leżał Darrell Phillips. Katy Corse obcięła mu spodnie i kalesony na lewej nogawce. Wielkie krople potu zrosiły białą twarz Phillipsa. Od czasu do czasu zaciskał zęby, aby nie jęknąć.

Hugh uklęknął obok rannego oficera.

— Kość udowa jest złamana — oznajmiła cicho Katy.

Hugh popatrzył na nią. Na jej twarzy nie było zbyt wielkiej nadziei. Hugh zbadał nogę. Pocisk wciąż w niej tkwił.

— Będziemy musieli go wyciągnąć.

Przytaknęła.

— Mamy alkohol, noże i wydaje mi się, że w bagażu Nettletona mogą być jakieś narzędzia chirurgiczne.

— Przynieś je. Będziemy potrzebować ognia, by nagrzać wody.

— Tak, Hugh.

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem. Uśmiechnęła się.

— Wiedziałam, że przejmiesz dowodzenie — stwierdziła.

Po wyjściu Katy Hugh obmył twarz Phillipsa. Phillips otworzył oczy.

— Gdzie jest Katy? — spytał.

— Zaraz wróci.

Phillips zamknął oczy.

— Przepraszam, że spanikowałem — powiedział. — Tam, na skalnej ścianie, musiało być piekło.

— Było.

Ponownie otworzył oczy.

— Jak bardzo jest źle?

— Dosyć źle. Myślę, że kość jest roztrzaskana.

Uderzył pięścią w koc.

— Bezradny — oznajmił cicho. — Już wcześniej było wystarczająco źle, a teraz to już czyste piekło.

— Nie dopadną cię, Darrell.

Oficer popatrzył na Hugh.

— Nie pozwolisz im na to, prawda, Kinzie?

Hugh pokręcił przecząco głową.

Rozdział 19

Kiedy skończył z Phillipsem, ubranie Hugh było całe przesiąknięte potem. Próbowali otumanić młodego oficera alkoholem, ale mimo to jęczał i wił się pod nożem. Potem na szczęście zemdlał.

Hugh usiadł pod ścianą i przyglądał się, jak Katy bandażuje udo Phillipsa. Świeża krew szybko przebiła się przez cienki materiał. Hugh dotknął falbany, którą Katy wyrwała z ostatniej halki pani Nettleton. Katy popatrzyła na niego. Hugh zarumienił się i poderwał się na nogi.

— Zdobyłem coś do jedzenia — powiedział.

— Skąd?

— Nieważne. Przyniosę.

Teraz pozostało już tylko sześć gęb do wykarmienia. Hugh szedł wzdłuż tarasu. Clymer stał w cieniu z karabinem na lewym ramieniu.

— Co z nim?

— Naprawdę cię to interesuje?

— Jesteśmy w dostatecznie złej sytuacji bez kaleki, który będzie nas hamował.

— Jest z tego pewne wyjście, Clymer.

— Naprawdę?

Hugh skinął głową.

— Idź i wpakuj mu kulę w łeb.

Hugh odszedł. Clymer chwycił karabin i uniósł go. Następnie opuścił broń.

— Jeszcze nie czas — mruknął pod nosem.

****

Hugh otarł pot z twarzy i zaczął kroić upieczone mięso na równe porcje. Położył je na blaszanym talerzu, a następnie kilkoma kopnięciami zasypał ognisko ziemią i gruzem. Popatrzył w górę na tajemniczy dach uskoku nad ogniem. Wytarł nóż o brudne spodnie, oparł się pokusie zjedzenia od razu jednej porcji mięsa, po czym wyszedł na taras.

Clymer pożerał wzrokiem talerz.

— Mięso! Na Jezusa, Kinzie! Nie mogę się doczekać.

— Zjemy wszyscy razem.

Zebrali się w pomieszczeniu, w którym leżał Phillips. Hugh w milczeniu rozdał każdemu po kawale soczystego mięsa.

— Jesteś cudotwórcą — powiedział Nettleton. — Na niebiosa, Kinzie, to jest pyszne!

Zjedli szybko. Clymer otarł usta wierzchem dłoni.

— Jest jeszcze trochę?

— Nie — powiedział Hugh. Skończył swoją część mięsa.

Marion Nettleton skubała swoją porcję, spoglądając na Hugh za każdym razem, kiedy była pewna, że mąż na nią nie patrzy. Katy rozsądnie nakarmiła Phillipsa najlepszymi częściami swojej i jego porcji. Ranny zjadł trochę, po czym położył się, zakrywając bladą twarz prawym ramieniem.

— Co to jest? — dopytywał się Nettleton. — Na niebiosa, mój teść by to pokochał. Muszę mu trochę przywieźć.

Hugh wstał.

— Jest ich naprawdę pod dostatkiem — powiedział. — Powinienem był pomyśleć o tym wcześniej.

Marion Nettleton zatrzymała się z widelcem w połowie drogi do ust.

— Hugh! Co to jest?

— Nieważne. Jedz.

Clymer wstał.

— Odpowiedz pani — warknął ostro.

Hugh ruszył do drzwi. Clymer chwycił Hugh za ramię i obrócił go.

— Odpowiedz pani — powtórzył.

Hugh parsknął.

— Słuchaj, ty wielki worku flaków: ona to je, czyż nie? To jedzenie, nieprawdaż? Bierz je więc i bądź za nie wdzięczny.

Katy wstała i powiodła wzrokiem od jednego do drugiego.

— Ja wiem, co to jest.

— I co? — dopytywała się Marion.

— Grzechotnik — powiedziała Katy.

Marion Nettleton rzuciła talerzem przez cały pokój. Zbladła jak ściana, nagle poderwała się i pobiegła do drzwi, zakrywając usta dłonią.

Clymer zacisnął zęby.

— Niech cię diabli wezmą, Kinzie!

Hugh uśmiechnął się.

— Bóg już z pewnością się tym zajmie — stwierdził. — Najlepsze steki z grzechotnika, jakie kiedykolwiek jadłem.

Hugh wyszedł na zewnątrz. Marion Nettleton wychylała się nad murem tarasu. Zawsze jak dama, pomyślał Hugh. Podszedł do wieży i podniósł zwinięte liny do wiązania koni. Następnie udał się w miejsce, w którym skała została zamurowana. Naparł na nią karabinem. Stuknął kolbą Sharpa w obmurowane głazy. Były równie solidne jak skały Gibraltaru, a przynajmniej tak się wstępnie wydawało. Wspiął się na drugie piętro wieży i spróbował ponownie. Tym razem został nagrodzony głuchym odgłosem.

Hugh popatrzył na ścianę. Mógłby przebić się przez nią kilofem, gdyby takowy miał. Mógłby rozwalić ją młotem, ale jego też nie miał. Przykucnął przy oknie, przyglądając się ścianie. Gdzieś w przeszłości czytał książkę o średniowiecznych oblężeniach.

— A dlaczego nie taran? — spytał sam siebie na głos.

Hugh zaczął zbierać materiały. Ciężka belka dachowa nadawałaby się na taran, ale potrzebował jeszcze jakiegoś sposobu na jej podwieszenie. Wyszedł na taras. Nettleton i Clymer rozmawiali o czymś przyciszonymi

głosami. Przerwali rozmowę, kiedy Hugh zbliżył się do nich. Zwiadowca wyjaśnił im swój plan.

Nettleton potarł swą brudną twarz.

— Myślisz, że dalibyśmy radę się jakoś przebić?

Hugh wzruszył ramionami.

— Zawsze możemy spróbować.

— Jeśli Mimbreno usłyszą hałas, nabiorą podejrzeń.

— Macie jakieś inne pomysły, co do sposobu ucieczki?

Nettleton pokręcił przecząco głową.

— Dobrze, spróbujmy — oznajmił.

Przygotowanie urządzenia zajęło im jakieś dwie godziny. Na górnej kondygnacji wieży zostały zamocowane na sztywno belki, które przedłużono za okno, tak aby opierały się o skalną ścianę. Hugh podwiązał do nich splecione liny, na których wisiała solidna belka, znajdująca się równo z oknem na drugim piętrze. W niewielkim pomieszczeniu nie było wystarczająco dużo miejsca aby belkę dobrze rozhuśtać, ale nie mieli innego wyjścia.

Kiedy skończyli, Nettleton puścił w obieg butelkę.

— Co teraz? — spytał.

Hugh pociągnął spory łyk.

— Będziemy musieli wybrać jak najlepszy moment, aby zacząć rozbijać ścianę.

— Nie minie zbyt wiele czasu, kiedy Mimbreno nas usłyszą — zauważył w zamyśleniu Nettleton.

— A przypuśćmy, że nie rozwalimy muru? — spytał Clymer.

— To cholernie głupie pytanie — odparł Hugh.

Nettleton wypił kolejnego drinka.

— Przygotuję panie — powiedział.

— A co z Phillipsem? — spytał Clymer.

Hugh wstał.

— Będziemy się tym martwić, kiedy nadejdzie czas.

— Martwię się tym już teraz — odparł Clymer.

— To znaczy, że martwisz się o tylko to, aby samemu się stąd wydostać i do diabła z całą resztą nas.

Clymer sięgnął po butelkę.

— Pewnego dnia…

****

Darrell Phillips otworzył oczy, kiedy Katy przetarła mu czoło wilgotną szmatką.

— Jak im tam idzie? — wyszeptał.

— Siedzą na górze już od kilku godzin.

— Powinniśmy byli pomyśleć o tym wcześniej… zanim to wszystko się stało.

— Nie zostawimy cię, Darrell.

— Wiem, że ty mnie nie zostawisz. Ale co z nimi?
Pogłaskała jego szczeciniasty policzek.
— Ja w każdym razie zostanę z tobą — obiecała.

****

Marion Nettleton zebrała wszystkie swoje rzeczy. Jej żołądek wciąż buntował się na myśl o okropnym posiłku, który częściowo zjadła. Zawiązała szalik wokół głowy i zaplotła luźny kosmyk włosów. Do tej pory to Hugh Kinzie trzymał ich razem. Phillips umrze. Maurice, jak zawsze, będzie się miotał i gubił. Clymer, zamiast poświęcać swoją zwykłą uwagę Marion, zajął się czymś innym. Pozostawał tylko Hugh Kinzie. On ją wydostanie z tego. Zabierze ją z powrotem do cywilizacji. Napiła się wody, aby pozbyć się choć trochę smaku mięsa.

— A jeśli potem zginie gdzieś po drodze — powiedziała do siebie na głos, — tym lepiej!

****

Maurice Nettleton, na swój skrupulatny sposób, upewnił się, że wszystko jest gotowe. Nie było zbyt wiele do przygotowania, ale sprawdzenie wszystkiego uspokoiło sumienie Nettletona. Wiedział, że utracił dowodzenie nad grupą jeszcze zanim zostali uwięzieni w kanionie. Człowiek po człowieku umierał lub znikał. Niełatwo byłoby to wyjaśnić teraz, kiedy pierwszy sierżant Hastings leżał martwy w kanionie, ponieważ to on prowadził całą dokumentację. Nettleton pokręcił głową. Czekało go wiele wyjaśnień. Mimo to mogą jeszcze uznać go za bohatera, który uratował resztę swojej grupy. Gdyby tylko ten pyskaty Abel Clymer posłusznie poszedł drogą innych.

Nettleton rozejrzał się. Zebrał dodatkową broń i zaniósł ją do wieży. Napełnił manierki i umieścił je razem z bronią. Spojrzał na taran i skinął głową z zadowoleniem. To będzie niezła historia do opowiadania kolegom w klubach oficerskich, kiedy wróci do służby na wschodzie.

Wyszedł z wieży i usłyszał jakieś odgłosy szurania w głębi trójkątnego przejścia na tyłach budowli pueblo. Ruszył na wschód, w kierunku hałasu. Z ciemności wyłoniła się jakaś duża postać. Był to Abel Clymer, który na kolanach wykopywał coś z gruzów. Nettleton już otworzył usta, lecz po chwili je zamknął. Kinzie oskarżał przecież Clymera o ukrywanie żywności na własny użytek. Nettleton wszedł pomiędzy dwa budynki i otworzył klapę kabury. Clymer wyciągnął coś z wykopanej dziury i otrzepał z kurzu. Popatrzył ostrożnie wzdłuż korytarza, po czym poszperał w kieszeniach. Otworzył odkopaną torbę i zapalił zapałkę. Szybko zaczął wyjmować coś z torby i chować za koszulę.

Nettleton podszedł do niego. Wyciągnął swojego colta i odciągnął kurek rewolweru.

— Panie Clymer — powiedział.

Clymer odwrócił się błyskawicznie. W wielkiej dłoni trzymał plik jakichś papierów. Zapałka zgasła.

— Co to jest, panie Clymer?

— Dokumenty osobiste.

— Jest pan pewien?

— Z całą pewnością!

— Proszę mi je pokazać.

— Nie ma pan prawa, żeby je oglądać.

Clymer wyciągnął kolejne papiery.

— Proszę zapalić zapałkę, panie Clymer.

Abel Clymer wyciągnął i zapalił zapałkę. Nettleton tylko spojrzał na papiery. Następnie popatrzył zimno na Clymera.

— To rządowe weksle z Fort Buchanan. W jaki sposób znalazły się w pańskich rękach?

— Chroniłem je, panie kapitanie.

—Tak? Ja tutaj dowodzę. Proszę oddać mi resztę, panie poruczniku!

Clymer popatrzył za Nettletona. W zasięgu widoczności nie było nikogo innego. Wsunął dłoń pod koszulę. Następnie wykonał błyskawiczny ruch ręką. Wybił rękę Nettletona w powietrze. Jego prawa pięść uderzyła w szczękę Nettletona. Nettleton osunął się na ścianę. Clymer wyrwał colta z omdlałej dłoni Nettletona. Nettleton zatoczył się w stronę Clymera. Clymer wyciągnął swoją wielką prawą rękę i zacisnął masywne palce na miękkim gardle Nettletona. Nettleton zaczął się gwałtownie szamotać. Clymer rzucił mniejszego mężczyznę na kolana. Ostrożnie odłożył gotowego do strzału colta na kupę gruzu. Potem zacisnął drugą dłoń na gardle Nettletona. Nie było słychać niczego poza gorączkowym szuraniem stóp Nettletona po żwirowatej ziemi i ciężkim oddechem Clymera.

Clymer położył martwego człowieka na ziemię. Schował weksle. Następnie podniósł kapitana i zaniósł go do mieszkania. Zwalił na ciało stos gruzu. Potem odstąpił i splunął na zaimprowizowany grób.

****

Hugh Kinzie popatrzył na Marion Nettleton.

— Po prostu nie mogę go nigdzie znaleźć — powiedział.

— Musi gdzieś tutaj być.

— Nie ma go. Szukałem wszędzie.

— Może próbuje wyrwać się sam, przez kanion?

— Jeśli tak, to już tam pozostanie.

— Tak. — Podeszła blisko Hugh. — Jest dla nas szansa, prawda?

— Kto wie? Może się uda. — Popatrzył na nią. — Poszukam go jeszcze raz.

— Zrób to — odparła chłodno.

Hugh wyszedł na zewnątrz. Clymer stał przy rozpadającym się murze.

— Nie ma go — stwierdził Clymer. — Ostatnio widziałem go, jak kręcił się po zboczu, na zachodnim krańcu.

Hugh popatrzył na wielkiego mężczyznę. Gdzieś tutaj, coś było nie tak.

— Najlepiej, bądźmy gotowi — powiedział.

****

Katy Corse obwiązywała łupki przy złamanej nodze Darrella Phillipsa. Wiedziała, że mężczyzna cierpi, ale dopilnuje, żeby zabrali go ze sobą.

Darrell Phillips położył dłoń na miękkich, ciemnych włosach Katy, mgliście zastanawiając się, jak będą wyglądać świeżo umyte, uczesane i z kokardą na środku.

— Czerwona wstążka — powiedział.

Spojrzała na niego.

— O czym mówisz?

— O niczym. — Podniósł głowę. — Czy jest jakaś nadzieja, Katy?

— Wyciągniemy cię stąd.

— Mam na myśli to, czy jest jakaś nadzieja dla nas dwojga?

Odsunęła go z powrotem na koc.

— Bardzo mi przykro, Darrell.

Skinął głową.

— Tak też myślałem.

Wstała.

— Zobaczę, co tam u innych — powiedziała.

Poczekał, aż wyjdzie, a potem wyciągnął swojego colta spod koca. Był świeżo naładowany i zabezpieczony. Odbezpieczył go i wsunął ponownie pod koc…

****

Zajęło im trochę czasu, zanim wydostali Darrella Phillipsa z pomieszczenia i wyciągnęli go na taras. Powstrzymał jęki i na szczęście zemdlał, kiedy Clymer uderzył go mocno w złamane udo.

Umieścili go w przejściu pod przesiąkającą wodą. Hugh otarł pot z twarzy.

— Zablokujemy pozostałe przejścia — powiedział, — żeby nie mogli się przebić.

Clymer skinął głową.

Usypali stos gruzu w trójkątnym przejściu na wschód od wieży, układając go ma znaczną wysokość i tworząc na nim prymitywną barykadę z połamanych belek, wyższą o sześć stóp niż poziom głowy człowieka.

Hugh sprawdził wszystko. Obie kobiety stały w przejściu. Katy Corse trzymała karabin w lewej ręce. Jej szczupłą talię otaczał pas z bronią.

Związała razem paski manierek i umieściła je w najniższym pomieszczeniu wieży.

Marion Nettleton pokręciła przecząco głową, kiedy Katy wyciągnęła w jej stronę rewolwer.

— Nigdy nie nauczyłam się go używać — powiedziała.

— To proste. Odciągnij kurek, tak… wyceluj lufę i naciśnij spust.

— Boję się.

Katy wzruszyła ramionami. Wsunęła dodatkowy rewolwer za swój pas z bronią.

Hugh popatrzył na stojącą przed nim trójkę ludzi.

— Poczekamy do świtu.

— Dlaczego? — spytał Clymer.

— Dwa powody. Po pierwsze, będziemy mieć światło, żeby coś widzieć. Po drugie, musimy dać Nettletonowi jak największe szanse na powrót.

— Jeśli to zrobi.

Hugh popatrzył na Marion Nettleton. Nie wydawała się zbytnio zainteresowana.

Hugh zebrał stos suszonych łodyg agawy.

— Będziemy mogli ich użyć do świecenia — powiedział.

Wszyscy popatrzyli po sobie. W ich umysłach na pierwszy plan wybijała się jedna myśl: Czy to aby nie jest ślepa uliczka?

****

Godziny ciągnęły się jedna za drugą. Nie było ani śladu Mimbreno. Apacze mogli sobie pozwolić na kolejny dzień oczekiwania, a potem bez problemu wkroczyć do pueblo.

Hugh chodził po tarasie z karabinem w zgięciu ramienia. Od czasu do czasu spoglądał w górę na zacieniony dach ogromnej jaskini, zastanawiając się nad tajemniczym, zakończonym murem uskokiem. Nigdzie nie było śladu Maurice'a Nettletona…

Niebo robiło się już nieco jaśniejsze. Hugh ponownie popatrzył na dno kanionu. Dostrzegł tam ciało Matta Hastingsa.

— Żegnaj, amigo — powiedział cicho…

Hugh zatrzymał się obok Phillipsa.

— Jesteśmy już prawie gotowi do tego by zacząć — powiedział. — Zaniosę cię do dolnego pomieszczenia, żebyś cię nie uderzyły odłamki gruzu… jeśli jakieś polecą.

Phillips przesunął się szybko, wyciągając rewolwer spod koszuli.

— Zostanę tutaj — powiedział.

— Chyba oszalałeś!

Phillips pokręcił przecząco głową.

— Nie, nie mogę być dla was ciężarem. Ruszajcie ze swoją pracą. Powodzenia.

Hugh zrobił lekki ruch w stronę młodego oficera.

Phillips uniósł colta.

— Nie. Nawet nie próbuj. Musisz myśleć o Katy.

Hugh odsunął się. Przeszedł obok rannego mężczyzny.

— Muy hombre — powiedział.

Darrell Phillips uśmiechnął się, po raz pierwszy od wielu dni.

****

Clymer przecisnął swoje wielkie ramiona przez otwór wejściowy na drugie piętro. Czekał na Hugh. Położyli ręce na belce i sprawdzili ją.

— Gotów? — spytał Hugh.

Clymer skinął potakująco głową.

Zamachnęli się razem. Koniec belki uderzył o skałę i ciężko odbił się od niej z powrotem. Zamachnęli się raz po raz.

— Nie idzie! — wydyszał Clymer.

— Próbujemy dalej, ty wielki draniu!

Pot spływał z ich ciał. Belka zaczęła miarowo uderzać w upartą ścianę. Hohokam dobrze budowali swe domy…

Wysoko na północnej ścianie kanionu Mimbreno odrzucili swe koce, kiedy tylko usłyszeli dudniący hałas dochodzący z Miejsca Umarłych. Zerwali się na nogi i sięgnęli po broń…

Jakiś kamień pękł i opadł od ściany. Jeszcze inny przesunął się i także spadł. Koniec belki strzępił się i pękał. Raz za razem, niósł się rytm wybijanych uderzeń. Pot spływał z ciał dwóch silnych mężczyzn, a z ich cuchnących ubrań unosiły się paskudne miazmaty, mieszające się z gorzkim zapachem kurzu…

O świcie Mimbreno w milczeniu zeszli ze ściany kanionu, badając powietrze wszystkimi zmysłami. Zatrzymali się na dnie kanionu i zniknęli w niespalonych jeszcze zaroślach…

Belka w końcu przebiła się na wylot. Clymer stracił równowagę i uderzył w ścianę, Hugh zawisł znużony na belce i uśmiechnął się.

— Udało się — powiedział.

Zaczęli uderzać dalej, z nową furią. Skała i starożytna zaprawa kruszyły się pod ich szaleńczym naporem.

****

Darrell Phillips zwilżył wargi, a następnie zaczął czołgać się w stronę muru okalającego brzeg tarasu, powoli przesuwając się, aż wreszcie mógł się podciągnąć na zdrowej nodze. Na zboczu tuż pod nim coś się poruszyło. Z krzaków wynurzyła się rozczochrana głowa. Colt huknął. Wielki pocisk trafił wojownika i odrzucił jego ciało z powrotem w dół zbocza.

Phillips zacisnął zęby. Ból w nodze sprawił, że poczuł się słabo. Oparł łokieć o ścianę i strzelił do pędzącego w jego stronę kolejnego Mimbreno. Wojownik upadł i stoczył się w dół zbocza.

— Zastee! Zastee! Zastee! Zabić! Zabić! Zabić! — skandowali podnieceni wojownicy.

W blasku świtu zajaśniały rozbłyski wystrzałów. Kule zaczęły stukać o ściany domów i niepokojąco blisko śpiewać w powietrzu. Phillips wystrzelił jeszcze dwa razy, dodając kolejny karb do swej kolekcji. Potem stanął wyprostowany i śmiał się głośno.

Mimbreno rzucili się szukać osłony, wrzeszcząc z konsternacji...

Obecnie dziura w ścianie była już na tyle duża, że mógł przecisnąć się przez nią człowiek. Clymer i Hugh pracowali szybko, klnąc jak diabli w szalonym pośpiechu. Wpychali belki do dziury. Marion, wspierana przez Katy, wchodziły już po drabinie.

Słyszeli trzask wystrzałów z karabinów i rewolweru, w pobliżu tarasu. Clymer wychylił się przez zachodnie okno i strzelił kilka razy ze swojego colta.

Hugh zacisnął pas, wsunął kilka łodyg agawy za koszulę, a następnie chwiejnie przeszedł do dziury, niosąc ze sobą karabin. Odwrócił się i popatrzył za siebie. W oknie widać było Katy, pomagającą Marion wejść na chwiejny prowizoryczny most.

Hugh zajrzał w dół do dziury. Było tam kompletnie ciemno. Szybko zapalił łodygę agawy i zamachał nią w powietrzu, żeby się upewnić, że się dobrze rozpali. Popatrzył w dół. Dno jaskini wznosiło się stromo pod górę i było zasłane czymś brązowawym. Poczuł jednak błogosławiony powiew zimnego powietrza na rozgrzanej twarzy. Przez skały było przejście!

Wrzucił do środka palącą się łodygę. W dół do podłoża było jakieś dziesięć stóp. Katy podała Hugh manierki i broń. Hugh wyciągnął rękę do Marion. Kiedy się zbliżyła, jej twarz miała mocno zacięty wyraz.

— Przełóż nogi i zsuń się — powiedział Hugh.

Pokręciła głową.

— Schodź ty, Hugh! — zawołała Katy.

Ponownie rozległa się palba karabinowa. Clymer również strzelał bez przerwy. Hugh zawisł przez chwilę na rękach, a potem zeskoczył, uderzając mocno o coś, co zatrzeszczało mu pod stopami, uwalniając dziwny stęchły zapach. Popatrzył do góry, ledwie widząc Marion.

— Skacz! — krzyknął. — Do diabła, kobieto! Skacz!

Po chwili Marion ciężko wylądowała obok niego i przywarła do jego piersi. Nad nimi słychać było stłumiony huk broni. Katy wylądowała tuż za nimi. Następnie przez dziurę przedarło się wielkie ciało Clymera. Wspięli się po stromym podłożu w stronę dopływu świeżego powietrza, brnąc przez jakiś materiał, który pękał i łamał się pod ich nogami. W pewnej chwili Hugh przewrócił się ciężko. Jego wolna ręka dotknęła czegoś gładkiego i okrągłego.

Clymer zaklął.

— Ruszajcie się! — krzyknął.

****

Darrell Phillips szarpnął się, kiedy kula uderzyła go w prawe ramię. Przełożył colta do lewej ręki i ustabilizował ciężką broń. Jakoś czuł spokój i chłód. Zza ściany pojawiła się rozczochrana głowa. Phillips strzelił i wojownik zniknął mu z pola widzenia.

Uniósł głowę.

— Chodźcie tu, dranie — warknął.

Przez powietrze przeleciał nóż i uderzył go w lewą stronę szyi. Wystrzelił swój ostatni nabój. W tej samej chwili kula trafiła go prosto w czoło i odszedł do wieczności.

****

Strzały ucichły. Hugh z trudem pozbierał się na nogi, wciąż ściskając w wolnej ręce okrągły przedmiot.

— Światło! — ryknął Clymer. Zapalił zapałkę i uniósł rękę w górę. Rozejrzeli się. Marion Nettleton spojrzała na okrągły przedmiot w dłoni Hugh. Potem spojrzała na swoje nogi, zagrzebane aż po kolana w luźnym materiale. Potem zaczęła krzyczeć, raz za razem, podczas gdy zapałka zgasła w przeciągu powietrza.

Hugh odrzucił brązową czaszkę, którą trzymał w ręku. Poruszył się, czując, jak suche kości trzeszczą mu pod stopami. Katy Corse złapała ostro oddech.

Marion Nettleton krzyknęła jeszcze raz, a potem zamilkła.

— Jezu! — wykrztusił Clymer. — To ich katakumby!

Hugh złapał Katy za ramię i pociągnął ją pod górę, wznoszącym się korytarzem. Słyszeli, jak inni miotają się pod nimi.

— Myślisz, że Apacze przejdą przez tę dziurę? — zawołał Clymer.

Hugh mruknął.

— Do środka? Nie zaciągnąłbyś ich na pół mili od tego miejsca, gdyby wiedzieli, że to jest tutaj.

Uderzył głową o ścianę skalną. Wymacał łodygę agawy i zapalił ją. Przejście było wąskie, ledwie na tyle szerokie, żeby mogli się przecisnąć. Wspinał się w górę, aż w końcu poczuł chłód porannego wiatru wokół siebie. Nagle jego głowa wynurzyła się z otworu tunelu na poziomie podłoża płaskiego wierzchołka wzgórza.

— Czekaj! — ostrzegł Katy.

Wypełzł na ziemię i leżał bez ruchu, nasłuchując i rozglądając się. Zarośla kołysały się na wietrze. Nie było widać ani słychać żadnych oznak życia. Pociągnął Katy, aż znalazła się obok niego. Zadrżała z zimna.

— Dzięki Bogu! — powiedziała.

Clymer popychał przed sobą Marion. Jej twarz była blada i ściągnięta. Upadła na ziemię i leżała bez ruchu.

Hugh wziął karabin.

— Pójdę na zwiady — powiedział.

Przeszedł przez szeleszczące zarośla. Nie było widać żadnego z wojowników. Przedostał się na skraj płaskiego wierzchołka wzgórza i ostrożnie popatrzył w dół do kanionu. Tam też nie było nigdzie widać żadnych wojowników.

Wrócił do pozostałych.

— Trzymajcie oczy szeroko otwarte — powiedział do Clymera.

— Dokąd idziesz?

— Na dół.

— Ty chyba oszalałeś?

— Zobaczycie.

Hugh zsunął się po zboczu, marszcząc nos z powodu rozchodzącego się stęchłego zapachu. Popatrzył w górę na dziurę. Słyszał dochodzące z niej niewyraźne głosy. Uśmiechnął się, myśląc o tych przesądnych wojownikach zeskakujących przez dziurę do tej kostnicy. Pozbierał szybko z pół tuzina czaszek i przeciągnął sznur do wiązania koni przez otwory na oczy. Następnie wciągnął je na szczyt płaskiego stołu wzgórza.

— Ty przeklęty głupcze! — warknął Clymer. Zacisnął brudną dłoń na ustach Marion, by stłumić krzyk, który już drżał na jej ustach.

Hugh ściął kilka gałęzie mesquite i związał je razem. Wcisnął jedną w szparę wyjścia i położył na niej czaszkę, zwróconą w stronę otworu.

— Na wszelki wypadek — powiedział. — Chodźmy!

Ruszyli na zachód, trzymając się zagłębień terenu. Hugh przymocował kolejną czaszkę w miejscu, skąd mogli zejść w dół zachodnich zboczy gór.

Rozdział 20

Słońce było już wysoko, kiedy odpoczęli w szczelinie, rozdzielającej na dwie połowy wielki filar skalny. Nie było żadnych oznak pościgu. Hugh pozwolił im odpocząć przez godzinę, po czym poprowadził ich dalej. Zeszli po zboczu ogromnej góry i zatrzymali się ponownie w okolicy środka popołudnia.

Zmierzchało już, gdy dotarli do niewielkiego strumienia. Napełnili manierki i ruszyli dalej, wędrując aż na wschodnim niebie pojawił się księżyc.

Hugh popatrzył za siebie na płaską, stołową górę.

— Góra Głodu — powiedział.

Dotarli do rzeki San Francisco po czterech dniach piekielnej podróży. Przez cały ten czas Marion Nettleton nie odezwała się ani słowem. Katy opiekowała się nią jak dzieckiem, obwiązując jej małe stopy płótnem i karmiąc ją mięsem upolowanego przez Hugh jelenia. Abel Clymer również niewiele mówił.

Przez dwa kolejne dni odpoczywali nad rzeką, po czym wyruszyli na północ wzdłuż jej biegu, trzymając się z dala od słabo widocznych szlaków. Droga była mordercza, lecz Hugh popędzał ich jak bydło.

Po następnych trzech dniach podróży znaleźli obfite źródło. Rozbili koło niego obóz i odpoczęli. Hugh zabił kolejnego jelenia i uszył kobietom proste mokasyny. Czuli się tak, jakby opuścili Ziemię i podróżowali po jakiejś nieznanej im, niezamieszkanej planecie.

****

Brodząc przez strumień, Hugh przez cienkie podeszwy butów czuł kamienie. W pewnej chwili zobaczył swoje odbicie w czystej wodzie i nie rozpoznał się. Miał zmierzwioną i brudną brodę, a ubranie nie nadawało się nawet dla co bardziej szanującego się stracha na wróble. Przysiadł na brzegu strumienia i napił się zimnej wody. Następnie opuścił strumień i ruszył przez ciężkie do przybycia góry, w stronę Rio Grande. Pozostali znajdowali się trzy dni drogi za nim, ukryci w jaskini w pobliżu obfitego źródła.

W pewnej chwili minął ogromny występ skalny i zobaczył przed sobą rozległą równinę, nakrapianą dryfującymi cieniami chmur. Nie dalej niż milę od niego unosiła się nitka pyłu. Słońce lśniło na jakichś metalowych przedmiotach. Drżącymi rękami wyjął lornetkę polową i przyjrzał się obłokowi pyłu.

— Żołnierze! — powiedział. — Na Boga, żołnierze!

****

Poprowadził z powrotem skalistym szlakiem, dwa konie i muły.

— Witajcie tam, w jaskini! — zawołał.

Pojawił się Abel Clymer ze swoim karabinem.

— Kinzie!

Z jaskini wyszła także Katy Corse i zmęczoną ręką odgarnęła włosy do tyłu. Uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła Hugh.

Hugh uwiązał wierzchowce i zdjął z jednego z nich juczną torbę.

— Niewiele mam, jeśli chodzi o jakość — powiedział — ale przynajmniej jest tego dosyć dużo. Spotkałem patrol z Fort Craig. Szukali rabujących grup Apaczów.

— Dlaczego nie przybyli po nas? — spytał Clymer.

Hugh obrzucił spojrzeniem wielkiego człowieka.

— Miałem szczęście, że w ogóle dostałem od nich konie i muły. Tak się składało, że paru z nich musiało jechać podwójnie.

— Jak daleko jesteśmy od Rio?

— Około sześćdziesięciu pięciu mil.

Clymer zajęty był otwieraniem torby.

— Wyruszamy jutro.

— Tak.

Clymer otworzył jeden z pakunków i sięgnął po kawałek suszonego mięsa. Hugh zacisnął dłoń na nadgarstku oficera.

— Pamiętaj o damach — powiedział cicho.

Hugh zaniósł pakunek do jaskini. Marion Nettleton leżała. Usiadła za namową Katy i posłusznie zjadła to, co jej podano.

Jedli w milczeniu, patrząc na siebie.

— Nie sądziłam, że nam się uda stąd wydostać — powiedziała Katy.

— Jeszcze stąd się nie wydostaliśmy — zauważył Hugh.

Marion Nettleton starannie zmiotła okruchy podpłomyka ze swojej brudnej sukienki.

— Chciałabym trochę wiśni na deser — oznajmiła.

Clymer zatrzymał kanapkę w połowie drogi do ust.

— Co, do diabła?

Marion uśmiechnęła się.

— Ze świeżą śmietaną na nich.

Katy wpatrywała się w nią z uwagą.

Marion popatrzyła na Hugh.

— Zawsze jadam wiśnie, gdy jest na nie sezon — powiedziała. Na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz. Dotknęła swoich włosów, po czym oparła się o ścianę jaskini. — Po kolacji każę przyprowadzić mój powozik z kucykami i wszyscy wybierzemy się na przejażdżkę. Mam dwa odpowiednio dobrane kuce szetlandzkie.

— Jezu — warknął Clymer. — Ona zwariowała!

Katy popatrzyła na obu mężczyzn.

— Wynoście się stąd!

Wyszli na zewnątrz. Hugh sięgnął pod koszuli i wyjął paczkę. Rozpakował ją i wręczył Clymerowi trzy cygara. Dwa zatrzymał dla siebie.

— Porucznik Espinosa przysłał je z pozdrowieniami.

Clymer odgryzł koniec jednego z suchych cygar i zapalił. Popatrzył na Hugh przez dym.

— Powiedziałeś mu, co się stało?

— Powiedziałem mu jedynie, że zostaliśmy zaatakowani przez Apaczów i zostało nas tylko czworo. Nie miałem ochoty wdawać się w szczegóły.

— Dobrze.

Hugh obrzucił szybkim spojrzeniem wielkiego mężczyznę.

Clymer machnął cygarem.

— Chodzi mi o to, że skoro teraz ja dowodzę, to ja będę musiał sporządzić raport dla dowódcy oddziału, a niech mnie szlag, jeśli będę chciał się w nim wdawać we wszystkie szczegóły.

— Tak. — Hugh zapalił cygaro. — Zabawna sprawa z tym zniknięciem Nettletona w ostatniej chwili. Chyba nie myślisz, że sam próbował się przebić?

— Do diabła, jasne że nie! — Clymer podrapał się po głowie. — Mówisz, że jesteśmy jakieś sześćdziesiąt pięć mil od Rio?

— Mniej więcej.

— Trudny szlak?

— Nie taki zły.

— Którędy prowadzi?

Hugh ssał cygaro.

— Trzeba minąć ten wielki szczyt na północnym wschodzie. Dalej podąża przez jakiś czas równinami San Augustin na północ, a następnie trzeba się skierować ponownie na wschód między górami Gallinas i San Mateos.

— To wszystko?

— To wszystko.

— Wydaje się cholernie łatwe.

— I jest.

Clymer wstał.

— No dobrze, umyję się trochę.

— W jukach jest mydło.

Clymer skinął głową i odszedł.

— Zastanawiam się, czy ten sukinsyn kiedykolwiek komukolwiek za coś dziękuje — powiedział Hugh do ciekawskiej sójki.

Sójka pokręciła przecząco głową i odleciała. Hugh roześmiał się.

Z jaskini wyszła Katy Corse. Popatrzyła w dół na siedzącego Hugh.

— Dzięki — powiedziała.

— W porządku, Katy. To moja praca.

— Zawdzięczamy ci życie.

— Zapomnij o tym.

Usiadła obok niego.

— Ona wraca do swojego dzieciństwa, Hugh. Właśnie mi powiedziała, że ma więcej sukienek na przyjęcia niż jakakolwiek dziewczyna w mieście i

że będzie rządzić Białym Domem lepiej niż Dolly Madison, kiedy jej ojciec zostanie prezydentem.

Hugh pokręcił przecząco głową.

— Po krótkim odpoczynku nic jej nie będzie.

— Przypuszczam, że to przez stratę Maurice'a.

Obrzucił ją spojrzeniem.

— Marion? Nie bądź głupia. Ona nigdy nie myślała o nikim innym, jak tylko o sobie.

— Wydawała się cię lubić, Hugh.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Wszyscy mnie lubią, Katy!

Wstała i popatrzyła na ruinę swojej sukienki.

— Szkoda, że nie przywiozłeś nam jakichś ubrań — stwierdziła.

— Wracam za chwilkę! — Hugh poderwał się na nogi. — Jestem pewien, że ci kawalerzyści będą mieli co najmniej cztery lub pięć damskich sukien, w swoich sakwach przy siodłach.

— Jesteś głupcem, Hugh Kinzie.

Nagle przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował.

— Wiem — odparł. — Wybaczysz mi, Katy? Dużo o tym myślałem, kiedy byłem sam na szlaku.

Odwzajemniła jego pocałunek.

— Nie ma czego wybaczać, Hugh.

Poszli w stronę jaskini.

— Uważaj na Clymera — powiedziała cicho. — Zachowuje się dziwnie.

— Zawsze tak się zachowywał.

— Pytał mnie, czy jestem pewna, że ona przeżyje wystarczająco długo, aby dotrzeć do Rio Grande.

— Bardzo troskliwy.

— Martwi mnie.

Hugh wzruszył ramionami.

— Wkrótce pozbędziesz się jego towarzystwa — stwierdził.

****

Hugh leżał na swoim kocu, słuchając dobiegających z jaskini głosów Marion i Katy. Katy mówiła do swojej towarzyszki jak matka rozmawiająca z dziesięcioletnią dziewczynką. Wiatr szumiał wśród drzew. Clymer już dawno zwinął się w kłębek i spał dwadzieścia stóp od Hugh. Hugh leżał tam przez długi czas, wsłuchując się w odgłosy nocy. Czegoś mu brakowało. Potem zdał sobie sprawę, o co chodzi. Clymer ciężko oddychał, a jego głęboki oddech podczas snu zawsze denerwował Hugh.

Hugh podniósł się na łokciu i popatrzył w stronę Clymera. Wielki mężczyzna nie wydawał z siebie żadnych dźwięków.

Jeden z mułów zaryczał nagle z dna zagłębienia. Hugh wstał i wziął swojego colta. Ruszył w stronę zagłębienia. Nagle zatrzymał się i popatrzył

na Clymera. Może lepiej byłoby go obudzić, na wypadek gdyby w pobliżu kręcili się Apacze.

Hugh zatrzymał się obok wielkiego mężczyzny i pochylił się, aby położyć mu dłoń na czole, chcąc go obudzić, ale nie przestraszyć. Przypatrywał się przez chwilę śpiącemu porucznikowi, po czym wstał. Szybko schował się za drzewem. Próbował przebić wzrokiem ciemności, nasłuchując każdego dźwięku. Szumu wiatru, szmeru małych gryzoni, plusku potoku.

Hugh przeszedł naokoło za drzewami i dotarł do swojego koca. Szybko zebrał kłąb suchej trawy i ułożył ją w stertę. Narzucił na nią koc i poklepał go tu i ówdzie, aby wyglądał, jakby leżał pod nim śpiący człowiek. W miejscu głowy położył swój kapelusz. Zdjął buty i postawił je obok tak przygotowanego manekina. Następnie skrył się w zarośla i przykucnął jakieś dziesięć stóp od swojego miejsca do spania.

Abel Clymer szedł cicho jak na człowieka jego postury. Słyszał rżenie tego przeklętego muła, ale nie słyszał żadnych odgłosów od strony obozu. Przeszedł przez zarośla, aż zobaczył śpiącego pod krzakiem domniemanego Kinziego.

Clymer wyciągnął nóż i sprawdził jego ostrze na szerokim kciuku. Zwilżył grube wargi i poczuł za koszulą rządowe weksle. Gra była prawie zakończona. Najpierw Kinzie, a potem Katy Corse. Marion Nettleton postradała zmysły. Wszystko w tej sprawie zaczynało pasować do siebie jak ulał.

Będzie największym cholernym bohaterem, na całym południowym zachodzie. Wystarczy tylko powiedzieć, że Kinzie i dziewczyna na ostatnim etapie podróży do Rio Grande, wpadli w zasadzkę. Kinzie wykonał już swoje zadanie. Katy nie dało się sterować ani za pomocą pieniędzy ani gróźb. Umysł Marion odszedł gdzieś daleko, jak to Kinzie powiedział kiedyś o Isaiahu Mortonie. Nikt nie będzie słuchać jej gadaniny, nawet gdyby kiedyś odzyskała zdrowie psychiczne, Clymer zawsze będzie mógł powiedzieć, że wyobraziła sobie mnóstwo rzeczy, które faktycznie nigdy się wydarzyły.

Hugh usłyszał Clymera, zanim jeszcze go zobaczył. Przykucnął niżej do ziemi, by lepiej widzieć wielkiego mężczyznę na tle nieba. Clymer zatrzymał się za drzewem. Wtedy Hugh zobaczył uniesioną rękę i nóż.

— Clymer! — zawołał ostro.

Clymer zareagował błyskawicznie. Obrócił się na pięcie i rzucił się w kierunku, z którego dobiegał głos Hugh. Hugh nierozsądnie poderwał się, aby stawić czoła atakowi. Został odrzucony na bok niczym przez szarżującego grizzly. Colt wyleciał mu z ręki.

Clymer wykręcił i gwałtownie machnął nożem w stronę Hugh. Czubek ostrza zarysował pierś zwiadowcy. Hugh chrząknął z bólu. Clymer roześmiał się. Hugh odskoczył za drzewo, szukając noża w pochwie na plecach. Nie było go tam. Z drzewa przy którym stał Hugh poleciała kora, gdy Clymer ciął gwałtownie.

Hugh odskoczył. Clymer zaszarżował ponownie. Tym razem Hugh chwycił prawą ręką nadgarstek porucznika. Odsunął się i wysunął prawą nogę tuż przed Clymera. Clymer przeleciał przez nią, ciężko upadając.

Hugh rozglądał się za jakimś kamieniem lub kawałkiem gałęzi. Jednak został zmuszony do odwrotu, gdyż Clymer poderwał się na nogi, zaryczał jak niedźwiedź i ruszył ponownie do nieustępliwego ataku. Stopa Hugh poślizgnęła się i upadł pod naporem wściekle szarżującego przeciwnika. Upadek niemalże wydusił mu powietrze z płuc. Clymer próbował pchnąć Hugh w twarz. Ostrze noża wbiło się w ziemię, kilka centymetrów od głowy zwiadowcy.

Hugh trafił wielkoluda w pachwinę. Zaczęli staczać się po zboczu, do rozpadliny, w której znajdowały się zwierzęta. Clymer uderzył głową w drzewo. Otrząsnął się tylko. Natychmiast się poderwał, aby nadziać się na lewy prosty, który odrzucił go do tyłu. Hugh wyprowadził następnie prawy sierpowy. Clymer był nieco oszołomiony, lecz w jego ciele tkwiły ogromne pokłady witalności.

Hugh cofał się coraz dalej. W pewnej chwili jego stopa o coś uderzyła. To był jego colt. Clymer właśnie przeskoczył kłodę i rzucił się na Hugh, wykonując w powietrzu serię cięć nożem. Mamrotał coś do siebie bez ładu i składu.

Hugh strzelił z biodra. Clymer zachwiał się, kiedy kula trafiła w cel. Pokręcił swoją wielką głową i ruszył ponownie. Hugh strzelił jeszcze dwa razy. Huk wystrzałów obudził echa. Ptaki na drzewach, rozpierzchły się we wszystkie strony.

Clymer kołysał się w chmurze prochowego dymu. Wpatrywał się w Hugh wybałuszonymi oczami.

— Niech to diabli! — powiedział. — Nie powinienem umierać w ten sposób. Nie generał Clymer!

Hugh spoglądał na wielkiego mężczyznę. Po chwili Abel Clymer przewrócił się na twarz i leżał bez ruchu, zaś dym prochowy rozwiewał się powoli nad miejscem, w którym upadł.

Hugh wsunął colta za pas. Podszedł do Clymera i odwrócił go na plecy. Zimne zielone oczy już zasnuły się mgiełką śmierci.

Katy podbiegła do Hugh.

— Co się stało?

— Próbował mnie zabić.

Hugh obmacał wielkie jak wół serce mężczyzny. Coś zaszeleściło pod brudną koszulą. Hugh rozpiął guziki i zajrzał pod nią. Jego palce poruszały się w czymś nieprzyjemnie lepkim. Wyciągnął na wierzch gruby plik papierów.

Hugh wstał. Zapalił zapałkę i podał ją Katy. Poparzył na papiery.

— Weksle rządowe — powiedział. Wytarł krew z palców. — Wykonałem swoje zadanie — oznajmił cicho.

— Byłby bohaterem, gdyby przybył do Santa Fe z dwiema kobietami, w tym córką szefa Bennetta, i z wekslami rządowymi wartymi dwadzieścia tysięcy dolarów, w rękach.

— Dwiema kobietami? Chyba nie myślałaś, że zabierze cię tam, żebyś mogła mówić, co Katy?

Zadrżała.

— Zostań ze mną w jaskini, Hugh.

— W jej obecności? — Pokręcił przecząco głową. — lepiej ty zostań ze mną tutaj, Katy.

Popatrzyła na niego.

— Dobrze, Hugh.

Hugh pomógł jej wejść z powrotem na zbocze. Nie oglądali się za siebie…

****

Ściągnęli wodze koni na wzniesieniu i popatrzyli na wschód. Na tle jasnej zieleni i szarości krzewów, rysowała się ciemniejsza zielona linia. Hugh odwrócił się do Katy.

— Rio Bravo — powiedział. — Rio Grande!

Pochyliła się i położyła swoją dłoń na jego.

— Mam więcej sukienek na przyjęcia niż jakakolwiek inna dziewczynka w mieście — oznajmił spokojny głos zza ich pleców.

— Tak, Marion — zgodziła się Katy.

— Musisz mi mówić panno Bennett.

— Panno Bennett.

— Tak lepiej.

Hugh skierował się nieco bardziej na północ, a nie bezpośrednio na południe.

— Wzdłuż Rio są garnizony — powiedział. — Będziemy mogli odbyć podróż do Santa Fe w wielkim stylu.

— Już po wszystkim, prawda, Hugh?

Wzruszył ramionami.

— Oczyściłem z zarzutów mojego brata i sprowadziłem Marion Bennett.

— Pannę Bennett — upierał się spokojny głos z tyłu.

— Pannę Bennett — ustąpił Hugh.

— Teraz dostaniesz swój patent oficerski — powiedziała Katy.

— Prawdopodobnie.

— Będę na ciebie czekać, Hugh.

Uśmiechnął się.

— Wiem, że będziesz. Ale to będzie długie oczekiwanie.

Popatrzyła na niego.

— Mam czekać jako ukochana czy żona, Hugh?

— Jedno i drugie — odparł.

Hugh obejrzał się do tyłu, na odległe góry, zamglone, fioletowe i tajemnicze. Zebrały obfite żniwo od trzynastu dusz, które odważyły się w nie zapuścić.

Potem Hugh przeniósł wzrok na spokojną, opanowaną twarz Marion Nettleton. Zapłaciła wielką cenę, a jednak przy tym najbardziej miłosierną. Popatrzył na energiczną Katy Corse i wiedział, że to odpowiednia żona dla niego. Miał kobietę, którą mógł pokochać i wojnę do stoczenia. To wystarczało każdemu mężczyźnie.

KONIEC